



Agnieszka Janiszewska

OWOCE
ZATRUTEGO
DRZEWA Tom I

zaczytani

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

AGNIESZKA JANISZEWSKA

OWOCE
ZATRUTEGO
DRZEWA

TOM I

zaczytani

ROZDZIAŁ 1

1887

– Od dawna miałam takie paskudne przeczucie, że koniec końców spadnie to na mnie. Choć jednocześnie nie porzucałam zupełnie nadziei, że może jednak będzie mi to oszczędzone. Że mój ojciec dożyje chwili, gdy ta smarkata dorośnie i tym samym nie będę zmuszona brać na siebie tego brzemienia. Ale nie, to byłoby zbyt piękne, aby mogło się ziścić. A teraz... Niech to wszyscy diabli!

Słyszając te słowa, doktor Stefan Burgiewicz mimowolnie się wzdrygnął, choć na dobrą sprawę nie powinien czuć się zaskoczony. Jego żona na ogół dokładała wszelkich starań, by przestrzegać etykiety, by panować nad emocjami i w każdej, najbardziej nawet niesprzyjającej sytuacji zachowywać się jak dama. Nie bardzo jej to jednak wychodziło, on w każdym razie już dawno pozbył się wszelkich złudzeń wobec tej kobiety. Nie powinien zatem i w tej chwili czuć się zaskoczony, a jednak jej słowa i zachowanie dotknęły go tak boleśnie jak nigdy dotąd. Domyślał się, że to zaledwie preludium do całej litanii wyrzekań i skarg i choć nauczył się już je ignorować, tym razem postanowił do nich nie dopuścić. Nie w takiej sprawie.

– Nie masz wyboru – zauważył z gniewem. – Jesteś teraz najbliższą żyjącą krewną tego dziecka.

– Ojciec zawsze jej pobłażał – odparła z goryczą. Oczywiście w tym momencie miała na myśli nie osieroconą siostrzenicę, lecz jej matkę, a swoją zmarłą przed kilkoma laty siostrę. – Ja nie mogłabym pozwolić sobie na to wszystko, co jej uchodziło płazem. Nic dziwnego, że poczuła się bezkarna i w końcu doprowadziła do skandalu. Ale i to jej wybaczył. I za nic miał fakt, że zrobiła z niego pośmiewisko. Zresztą nie tylko z niego, bo przy okazji także z całej naszej rodziny. Boże, cóż to był za wstyd, lecz ojciec zachowywał się tak, jakby niewiele go to obeszło... I jakby tego było mało, wziął potem na wychowanie jej córkę.

– Jak zwykle przesadzasz – zaoponował cicho Stefan. – Postąpił tak, jak należało. Tak jak ty sama powinnaś teraz postąpić. – A widząc, że się obruszyła, dorzucił lodowatym tonem: – Widzisz inne wyjście?

Mówiąc to, doskonale jednak wiedział, że w przypadku teścia nie była to jedynie kwestia obowiązku, braku innego wyjścia. Hipolit Janowski przed kilkoma laty podjął się opieki nad osieroconą wnuczką nie dlatego, że musiał to zrobić – po prostu nawet przez chwilę nie brał pod uwagę, że mógłby postąpić inaczej, czyli pozwolić, by zajęli się nią inni ludzie. I wbrew opinii starszej córki nie stał się obiektem kpin, nawet jeśli przez pewien czas w małym, prowincjonalnym Sulimowie, gdzie mieszkał, plotkowano na temat jego rodziny, to w żadnym wypadku nie mogło być mowy o śmiechu i niewybrednych żartach. A w męskim gimnazjum, w którym wykładał, nadal cieszył się sympatią i autorytetem. W jednej jednak sprawie Maria się nie myliła – jej młodsza o dwa lata siostra Klara była ulubienicą ojca, jego oczkiem w głowie, radością i dumą. Nie znaczyło to, że nie kochał starszej córki, niemniej w ich wzajemnych relacjach brak było tej iskry, tej spontaniczności w okazywaniu sobie przywiązania. Dostrzegali to zresztą wszyscy, którzy ich znali.

– Klara to takie żywe srebro – mawiała niania dziewczynek, a nikt nie

zaprzeczał jej słowom. – Nawet jak psoci, robi to z takim wdziękiem, że doprawdy trudno się na nią gniewać. Ma szczerę i dobre serduszko. A Marysia, jak nieraz łypnie okiem, to człowieka aż ciarki od tego przechodzą. Mówi jedno, ale w taki sposób, jakby równocześnie myślała co innego.

Owa szczerść, spontaniczność i wdzięk zaprowadziły – zdaniem Marii – jej siostrę na manowce. Co oczywiście oznaczało, że nie tylko ją jedną, ale przy okazji skompromitowały także resztę rodziny. Samo wspomnienie Klary wystarczyło, by w sercu Burgiewiczowej odezwała się stara zadra, której dotąd nie zdołała się pozbyć. Nawet nie próbowała, wiedząc, że to dodatkowo rozjątrzyłoby dawną ranę. Niemniej dopiero co wypowiedziana uwaga męża ponownie wyprowadziła ją z równowagi.

Po śmierci ojca to oczywiście na nią miał spaść obowiązek zajęcia się osieroconą siostrzenicą. Takie było życzenie Hipolita Janowskiego, które wyraził pod koniec ciężkiej i nieuleczalnej choroby, tego też spodziewali się po niej wszyscy wokół. Nie miała zatem wyboru. Na samą myśl krew się w niej burzyła.

– Przecież Niwiński miał podobno jakąś rodzinę – sarknęła. O swoim zmarłym szwagrze nigdy nie wypowiadała się w inny sposób, jak tylko wymieniając (z wyraźną niechęcią) jego nazwisko. – Czemu oni nie mieliby się tego podjąć? Jak by na to nie patrzeć, to także ich krewna.

– Bez wątplenia. Ale jak wytłumaczysz się z tego przed ludźmi? Tymi, na których towarzystwie tak ci zależy? Zgadnij, jak to przyjmą? – odbił z irytacją Burgiewicz.

Wiedział, że odwoływanie się do takich pojęć jak odruch serca i współczucie byłoby teraz tylko stratą czasu. Ale na opinii tak zwanego towarzystwa, czyli wszystkich tych ludzi, którzy regularnie – jego zdaniem zdecydowanie zbyt często – przychodzili z wizytą do ich domu (przy tej

okazji skutecznie zakłócając mu spokój), zależało jej jednak jak na niczym innym. W oczach świata (to znaczy środowiska, w którym się obracała) chciała uchodzić nie tylko za wytworną, ale także szlachetną damę. To zaś jednoznacznie rozstrzygało sprawę. W takiej sytuacji nie mogła odwrócić się od małej Kingi, tego by jej bowiem nie zapomniano. A niewykluczone, że plotki obrosłyby dodatkowo całym brudem przesadzonych, a nawet kłamliwych informacji.

Jego żona spurpurowiała jeszcze bardziej i zacisnęła wargi. Ponure spojrzenie kobiety nie zapowiadało niczego dobrego. Przede wszystkim dla ośmioletniej dziewczynki, którą mieli przyjąć pod swój dach. Wziąwszy to pod uwagę, Burgiewicz postanowił złagodzić ton.

– Zresztą pomyśl także i o naszych dzieciach. Czas najwyższy, by lepiej poznały swoją kuzynkę. To im wszystkim może wyjść na dobre. Zwłaszcza Klementynie – dorzucił, choć nie był pewien, czy z tym argumentem nie przeszarżował.

W odpowiedzi rzuciła mu ukośne spojrzenie, od którego natychmiast przeniknął go chłód. Uznał, że nie ma sensu przedłużać tej rozmowy.

– Wracam do moich zajęć – oświadczył oficjalnym, niemal służbowym tonem. – Powiedz Tomaszowej, aby przygotowała pokój dla dziewczynki, no i... wszystko, co się z tym wiąże. – Na moment zawahał się, wreszcie wzruszył ramionami. – Sama zresztą wiesz, co masz robić.

Nie odpowiedziała, w milczeniu odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zamknął za sobą drzwi. I dopiero wtedy sięgnęła po leżący na stole list, pismo, w którym umierający ojciec wyrażał swoje życzenie, by zajęła się jego wnuczką, a jej jedyną siostrzenicą.

Cokolwiek zdarzyło się w przeszłości, nie może bez końca rzutować na przyszłość – pisał Janowski. – Jeszcze raz Cię proszę, Drogie Dziecko, abyś wzięła sobie do serca moją radę, a zarazem prośbę. Najwyższy czas uwolnić

się od dawnej urazy. Nawet jeśli nie da się zapomnieć, trzeba spróbować wybaczyć. To przyniesie Ci spokój, wierz mi...

I dalej cała strona podobnych rad i mądrości. Ojciec miał ich w zapasie cały arsenał, zgromadzony przez lata pracy w gimnazjum. Oto do czego doszedł w życiu i co go chyba w pełni zadowalało – posada nauczyciela i prowadzenie stancji dla uczniów prowincjonalnego męskiego gimnazjum w Sulimowie, małym miasteczku, na którego wspomnienie Maria wciąż, mimo upływu lat, czuła dreszcz niechęci i obrzydzenia. Ojciec nigdy nie buntował się przeciwko losowi, a nawet okolicznościom, które pozbawiły jego rodziców rodzowego majątku. Posiadłość tę zmuszeni byli sprzedać za śmieszne pieniądze po powstaniu w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. Nie pozostawało im nic innego, jak się cieszyć, że jej po prostu nie skonfiskowano, jak to spotkało wielu innych ziemian. Za tę sumę nabyli niedużą kamienicę i utrzymywali się z wynajmu kilku mieszkań i pokoi, sami zaś zajęli jedno niewielkie lokum. W rezultacie dziadkowie nie tylko nie dali rady odzyskać majątku, ale do samej śmierci musieli się liczyć z każdym groszem. Nigdy jednak nie żalowali wcześniejszych wyborów, które tak zaważyły na ich pozycji, a swoją przeszłość zawsze wspominali z dumą i wzruszeniem. Ich jedyny syn, wyłącznie dzięki własnemu samozaparciu i umiejętności oszczędzania dosłownie na wszystkim, zdobył wykształcenie umożliwiające mu objęcie posady nauczyciela. Lecz, podobnie jak jego rodzice, nie uważał tego za upokarzającą degradację w porównaniu ze stanowiskiem, jakim cieszyła się niegdyś rodzina. Podobnie jak rodzice, wspominał z dumą tamte czasy, lecz w jego wspomnieniach nie było żadnego sentymentalizmu. Zaakceptował teraźniejszość i nie bał się przyszłości. Potrafił – jak mawiał – się dostosować. Maria nie potrafiła i nie miała zamiaru się tego uczyć. I ona podzielała dumę z rodzinnej przeszłości, której nie pamiętała, lecz chłonąc opowieści babki o dużym, pełnym służby

majątku, nie mogła pojąć i wybaczyć ojcu, że teraz tak łatwo zadowalał się byle czym. Że nie był wierny dawnym tradycjom – przynajmniej tak zakładała, obserwując, z jakim zrozumieniem, tolerancją i chyba nawet z pewną sympatią podchodził do nowych idei, poglądów, jak zaczytywał się w sprzyjającej tym ideom publicystyce. Świat nie stoi w miejscu, mawiał. Nie sposób ignorować przemian. Trzeba wyjść im naprzeciw. Nie obrażać się, poznawać, dyskutować.

Ona nie miała zamiaru go w tym naśladować, w przeciwieństwie do Klary – toteż nic dziwnego, że na skutki nie trzeba było długo czekać.

Na dobrą sprawę ojciec aż się prosił o ten skandal, do którego dopuściła jego ulubienica, zżymała się w duchu Maria. Nie było to jej pierwsze spostrzeżenie w wiadomej kwestii i wiedziała, że jeszcze nie raz do niego powróci. Nie mogła się pogodzić z tym, co zrobiła siostra, i nie zamierzała jej tego ani wybaczyć, ani zapomnieć. Zaciśnęła dłonie, zgniatając trzymany w nich list od ojca.

Czas, aby nasze dzieci poznały swoją kuzynkę – przypomniawszy sobie słowa męża. Tak jakby to miało im wyjść na dobre. I jeszcze śmiało dodać tę uwagę na temat jej ukochanej Klementyny. Na samą myśl o tym omal nie wybuchnęła gniewem, powstrzymała się jednak i przygryzła wargi.

Niedoczekanie, pomyślała. Sierota, którą jej właśnie narzucono, to owoc zatrutego drzewa i nic ani nikt już tego nie zmieni. Tak właśnie uważała i postanowiła, że taki punkt widzenia przyjmą także jej dzieci.

ROZDZIAŁ 2

1897

Skręciwszy w ulicę Kruczą, Kinga zwolniła kroku. Słońce schowało się już za horyzontem, zapadał wczesny jesienny mrok, ale powietrze było łagodne, bezwietrzne, zachęcające do przechadzki po mieście, toteż spacerowiczów nie brakowało. Tylko oczywiście ja muszę wracać do czterech ścian, zżymała się w duchu Kinga. Ciotka od samego rana zdążyła jej już przynajmniej piętnaście razy powtórzyć, aby wróciła do domu przed szóstą. Z powodu zaproszonych na dzisiejszy wieczór muzyczny gości – co podkreśliła z dumą.

Słyszając to, Kinga przewróciła oczami.

– To twoi goście, droga ciociu. Naprawdę nie uważam, aby moja obecność była konieczna.

– Nie zachowuj się impertynencko – oburzyła się Burgiewiczowa. – Przybędzie bardzo szacowne towarzystwo. Gdybyś się nie pojawiła, okazałabyś brak szacunku wobec tych ludzi. Młoda panna wychowana w przyzwoitym domu powinna pewne sprawy rozumieć, a nie wiecznie okazywać fanaberie. I niby w jaki sposób wytłumaczyłabym twoją nieobecność? Przecież z nami mieszkasz.

Zarówno słowa, jak i ton, którym zostały wypowiedziane, zwłaszcza zaś niechęć bijąca z ostatniego zdania, jedynie wzmogły w Kindze wewnętrzny

opór.

– Ależ ciociu, mogłabyś powiedzieć swoim gościom cokolwiek. Na przykład, że czuję się niezdrowa...

– Podczas gdy od rana przynajmniej tuzin znajomych osób widział cię w parku, na ulicy i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Wczoraj zresztą było podobnie. Doprawdy przydałaby ci się choćby szczypta rozumu. Jakby nie dość było strapienia z tobą każdego dnia. Jakby mało było komentarzy, że całymi dniami włóczysz się sama, bez opieki. Jeszcze by tylko brakowało, abyś zaczęła ignorować przyjęcia organizowane w moim własnym domu, do którego przecież przed laty cię przyjąłem. A skandal to ostatnia rzecz potrzebna naszej rodzinie. Jakby i bez tego ich wcześniej nie brakowało – dorzuciła znacząco. – I w ogóle koniec dyskusji! Gdybym ja tak zuchwale odpowiadała mojej matce albo babce, dopiero bym dostała za swoje. Czy stale muszę ci przypominać, że mogłabyś okazać nam choć odrobinę wdzięczności za to, że przygarnęliśmy cię pod nasz dach? Bóg jeden wie, jak nie cierpię uciekać się do podobnych argumentów i perswazji, ale bez ustanku zmuszasz mnie do tego. Z Klementyną nigdy nie było takich problemów, a przecież obie was wychowywałem jednakowo.

– Dobrze, obiecuję, że wrócę na czas – ustąpiła niechętnie Kinga. Jak zawsze, gdy ciotka uznawała za konieczne przypomnieć jej, że przed laty, wskutek przykrych okoliczności, musiała podjąć się nad nią opieki. Drugim powodem, dla którego Kinga rezygnowała z dalszej dyskusji z ciotką, był argument w postaci kuzynki Klementyny, córki Burgiewiczowej. Chodzącego ideału i uosobienia wszelkich cnót – przynajmniej w przekonaniu matki. Co do Kingi, to od dziecka, ilekroć stawiano jej za przykład cioteczną siostrę, zawsze doświadczała niemiłego wrażenia, jakby jedzenie podchodziło jej do gardła. Nie znaczyło to, by kuzynka wywoływała w niej uczucia niechęci, antypatii czy wręcz odrazy. Po prostu niewiele miały

ze sobą wspólnego – i nie zmieniał tego fakt, że od lat mieszkały pod jednym dachem. Klementyna bez wątpienia spełniała wszelkie wymagania pozwalające uważać ją za dobrze wychowaną młodą damę, która ani razu nie złamała ścisłych reguł i zasad obowiązujących w środowisku, w którym się wychowała. Bez polotu i błyskotliwej umysłowości, za to grzeczna i posłuszna, podobna była do tysięcy innych młodych panien i kobiet, które bez szemrania, a nawet w poczuciu zadowolenia, wypełniały swoje rodzinne i towarzyskie zobowiązania. Trudno też ją winić, że stale stawiana była za przykład do naśladowania swojej młodszej, krnąbrnej kuzynce. Tym zresztą Kinga przestała się już przejmować. Od dawna bowiem wiedziała swoje.

Nie chciała być taka jak Klementyna. Ani nawet choć trochę do niej podobna. Sama taka, nawet czysto hipotetyczna, ewentualność była po prostu nie do zniesienia. Oznaczałoby to ni mniej, ni więcej przespanie własnego życia. Zmarnowanie go ze szczętem. A do tego przecież nie mogła dopuścić, zwłaszcza że życie ma się tylko jedno. Szansy na powtórzenie go już nie będzie.

Dzisiejszy wieczór także się nie powtórzy, pomyślała, rozglądając się ze smutkiem po ulicy. Widziała uśmiechniętych, zajętych rozmową ludzi. Zapewne wybierali się do kawiarni, cukierni, może do teatru, byli wolni. Zazdrościła im z całego serca. Czuła się jak skazaniec, który dostał szansę, aby raz jeszcze popatrzeć na piękny świat, zanim zatrzasną się za nim bramy więzienia. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nie powinna snuć podobnych rozważań, że być może ciężko grzeszy, myśląc w taki sposób, ale perspektywa nudnego wieczorku w salonie ciotki Marii wywoływała w niej przewrotną ochotę do grzechu.

Na razie musiała jednak poprzestać na ochocie. Z westchnieniem poczłapała po schodach na pierwsze piętro, czując się tak, jakby wdrapywała się na szczyt samego Kilimandżaro. Już na progu mieszkania przyszło jej

zmierzyć się z gniewnymi pomrukiwaniami Tomaszowej.

– Na litość boską, panna Kinga chyba już zupełnie sumienia nie ma. Toć nasza pani od zmysłów prawie odchodzi. Większość gości jest już w salonie, lada chwila przyjdą pozostali, a panienka gania nie wiadomo gdzie.

– Jak to nie wiadomo gdzie? Przecież miałam lekcję muzyki. – Kinga nie mogła sobie odmówić pewnego sarkazmu w głosie. – Trudno, abym poganiała biedną pannę Adamską. Dla niej każdy grosz jest na wagę złota.

– A właśnie że powinna była panienka zakończyć wcześniej tę lekcję. – Tomaszowa była nieprzejednana. Z jedynie sobie znanych przyczyn nie ufała samotnym kobietom, zwłaszcza zaś samotnym starym pannom, które zamiast szukać rezydencji i opieki, choćby u najdalszej rodziny, zarabiały na życie i samodzielnie wynajmowały mieszkania. I w dodatku miały zły wpływ na młode panny z dobrych domów, o prostych dziewczętach już nawet nie wspominając. Jakby i bez tego nie brakowało zepsucia w dzisiejszym świecie. – Przecież Adamskiej i tak zapłacono z góry za lekcję, więc krzywdy by nie miała – dodała wyniośle, nie starając się ukryć niechęci w głosie.

– Nic nie poradzę na to, że Tomaszowa jej nie lubi – odgryzła się Kinga. Jej zdaniem stara służąca za wiele sobie pozwalała, lecz – niestety – robiła to za pełną aprobatą Burgiewiczowej. Niemal we wszystkim się zgadzały, a fakt przynależności do dwóch różnych stanów społecznych nie miał tu najmniejszego znaczenia. Obie też gardziły wszelką słowną utarczką, zresztą i tak nie dały się nigdy nakłonić do zmiany zdania.

– Nie ma teraz czasu na mecyje i mądralowanie się. Niechże się Kinga jakoś ogarnie, przebierze i do salonu. O mój Boże, czy ja muszę takie rzeczy przypominać?

Drzwi prowadzące do salonu otworzyły się i równie szybko zostały zamknięte. W każdym razie Kinga nie zdążyła umknąć przed gniewnym spojrzeniem ciotki.

– No nareszcie! Raczyłaś wrócić. Spójrz, która godzina. A upominałam i przypominałam, jakie to ważne, abyś się nie spóźniła. Za nic masz wszelkie zobowiązania wobec rodziny, która cię przygarnęła, o moich prośbach już nie wspomnę.

– Bardzo przepraszam – odparła cichutko Kinga. W istocie słowa, które kłębiły jej się w głowie, nie nadawały się do wypowiedzenia teraz na głos. Nie mogła sobie na nie pozwolić. Może kiedyś to zrobi, ależ tak, uczyni to z prawdziwą satysfakcją, ale na razie to niemożliwe. – Przebiorę się i za pięć minut będę w salonie – dodała grzecznie.

Nie ugłaskała tym jednak ciotki.

– Z taką fryzurą?! Niechże Tomaszowa uczesze panienkę albo przyśle Zosię. Trudno, już i tak jesteś spóźniona. I jak zwykle, gdyby nie pomoc kochanej Klementyny, znalazłabym się teraz w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Klementyna? – Kinga, która już zmierzała w kierunku swojego pokoju, zatrzymała się w pół kroku. – Jednak... przyszła?

– Tak. Zupełnie niespodziewanie złożyła nam wizytę. Czy to nie nadzwyczajny zbieg okoliczności?

Zdaniem Kingi nie było tu żadnego nadzwyczajnego ani też zwyczajnego zbiegu okoliczności. Od czasu swego ślubu, przed dwoma laty, Klementyna wciąż więcej czasu spędzała w domu rodziców niż w swoim własnym gospodarstwie. I w związku z tym nie ominęła ani jednego wieczorku muzycznego, recytatorskiego, proszonej herbatki, uroczystego obiadu tudzież innego przyjęcia u Burgiewiczów. Przychodziła zresztą niemal codziennie, także i wtedy, gdy nie było ku temu specjalnej okazji. Nie byłoby zatem nic dziwnego, że zjawiała się także i dzisiaj, gdyby nie fakt, że w najbliższych dniach wybierała się ponoć w podróż do Krakowa, by wraz z mężem i dzieckiem odwiedzić wreszcie mieszkającą tam rodzinę Aleksandra. Zresztą niedawno narzekała, że miała przy tym mnóstwo zajęcia – od rana do

wieczora. Cóż więc się stało, że jednak zostawiła pakowanie kufrów, wizyty u krawcowych i wszelkie inne przygotowania do zamknięcia mieszkania na dwa tygodnie?

Kinga miała to pytanie na końcu języka, w ostatniej jednak chwili zrezygnowała z zadania go na głos. Na wszelki wypadek wołała też nie pytać, czy Aleksander tym razem zdecydował się towarzyszyć swojej żonie w wizycie u teściów. Na ogół starał się tego unikać – Kinga nie mogła pozbyć się wrażenia, że na dobrą sprawę pojawiał się tylko wtedy, gdy zwykle względy kurtuazji nie pozwalały mu postąpić inaczej. Czy jednak wieczorek muzyczny u teściowej był aż tak ważną okolicznością, by zrezygnować dla niego z innych, z pewnością bardziej koniecznych, a już bez wątplenia przyjemniejszych zajęć? Rozsądek jej jednak podpowiadał, by również o to nie pytać. Już jakiś czas temu Kinga zauważyła, że ciotka spogląda na nią z dezaprobatą i wyraźnie pochmurnieje, gdy choćby jednym słówkiem wspomina o mężu kuzynki.

Zamiast więc pytać o szwagra, Kinga postanowiła zagadnąć o wuja.

– Jak zwykle jest bardzo zajęty, ale obiecał, że wróci do domu tak szybko, jak zdoła – odparła oschle Maria Burgiewiczowa. – A teraz dość już tego gadania po próżnicy. Zmień suknię i za kilka minut chcę cię widzieć w salonie.

Biedny wuj także robi, co może, aby unikać tej nudnej salonowej maskarady, bez której jego żona nie potrafi się obejść, westchnęła w duchu Kinga. Z drugiej jednak strony sama myśl, że oboje z wujem patrzą w podobny, a niejednokrotnie identyczny, sposób na pewne sprawy, poprawił jej humor. Doktor Stefan Burgiewicz najlepiej czuł się w swoim laboratorium, w sali wykładowej, wśród studentów czy kolegów profesorów i asystentów. Tam był po prostu sobą, tam też objawiały się jego aktywność i energia, tam byli ludzie, którzy inspirowali go do wciąż nowych pomysłów

i z którymi mógł rozmawiać na interesujące go tematy. Praktykował też w szpitalu, skąd nierzadko wracał późną nocą lub nawet nad ranem, lecz słyszeć nie chciał o porzuceniu tego zajęcia. Lekarz medycyny, który zamyka się wyłącznie w środowisku uczelnianym i nie ma bezpośredniego kontaktu z chorymi, w gruncie rzeczy niewiele wnosi do nauki, jest jedynie teoretykiem, a to zdecydowanie za mało – mawiał. – Podobnie jak prowadzenie własnego gabinetu w domu. Dopiero szpital daje możliwość pełnego wglądu w cały szereg zagadnień związanych z procesami chorobotwórczymi.

Kinga podejrzewała jednak, że nie była to jedyna przyczyna, dla której wuj Stefan wzdrygał się przed prowadzeniem gabinetu w domu. Najpewniej zdawał sobie sprawę, że nie uniknąłby wówczas czujnej kontroli ze strony małżonki. Gdy tylko pojawiał się w domu, nie spuszczała zeń oka. Tak, szpital, laboratorium i sale wykładowe dawały mu bez porównania więcej swobody. A przy okazji idealną wymówkę, by pobyt w mieszkaniu na Kruczej ograniczyć do niezbędnego minimum.

Tego ostatniego Kinga zazdrościła mu z całego serca. Gdyby tak ona mogła zniknąć stąd na całe dni! Niestety, było to poza jej zasięgiem. Młode panny mogły sobie co najwyżej pomarzyć o takiej swobodzie, bowiem musiały się liczyć z opinią starych, znudzonych życiem matron, które bezustannie je obserwowały, szpiegowały i zawzięcie plotkowały na ich temat. A jeśli wierzyć utyskiwaniom zarówno ciotki i kuzynki, a także Tomaszowej – a raczej można było założyć, że w tym względzie nie mijały się z prawdą – już sam fakt, że Kinga pozwalała sobie na częstsze niż w przypadkach innych dziewcząt samodzielne wyjścia z domu, był podobno tu i ówdzie żywo komentowany. Przy czym ona sama podejrzewała, że być może straciłaby nawet tak niewielki margines samodzielności, gdyby nie interwencja wuja. Gdy kiedyś wprost go o to zapytała, oczywiście do niczego

się nie przyznał, a nawet wyraził zdumienie, że taki pomysł w ogóle zaświtał jej w głowie, Kinga jednak nie zrezygnowała ze swoich domysłów. Poza tym szóstym zmysłem odgadywała, że wuj Stefan ją rozumiał i choć rzadko zabierał głos w sprawach domowych, zapewne nieraz bronił jej przed swoją żoną. No bo jaki mógł być inny powód, że ciotka nie zabroniła jej jednak kategorycznie długich, samotnych spacerów po mieście, tym samym dając jej bez wątpienia więcej swobody niż własnej córce? Choć oczywiście o takiej swobodzie, jaką z kolei cieszył się Zbyszek, syn Burgiewiczów, nie mogło być mowy. Ale cóż, Zbyszek, jako młodzieniec, podlegał innym metodom wychowawczym, toteż matka łatwiej pogodziła się z faktem, że od dawna chadzał własnymi drogami. W dodatku od kilku miesięcy praktykował w kancelarii, w Petersburgu, a tam jej czujne oko już nie sięgało.

Kinga zazdrościła kuzynowi praktyki adwokackiej i swobody, z jaką wiązało się przebywanie z dala od domu rodzinnego, choć w jej zazdrości nie było nawet krzty zawiści. Lubiła ciotecznego brata. O ile z kuzynką Klementyną nigdy nie znalazły wspólnego języka, o tyle ze Zbyszkiem ani razu nie mieli żadnej, nawet najmniejszej scysji. Wprawdzie ich wzajemne stosunki trudno byłoby nazwać przyjaźnią – Zbyszek chadzał swoimi drogami, z mniejszym lub większym dystansem traktując wszystkich domowników – niemniej w stosunku do niej zachowywał się uprzejmie i po koleżeńsku. I choć w domunie był specjalnie gadatliwy, to zdecydowanie chętniej zagadywał do kuzynki niż do siostry. Co, rzecz jasna, dodatkowo pogłębiało niechęć jego matki do Kingi. Burgiewiczowa wyraźnie nie życzyła sobie tego koleżeństwa i robiła, co mogła, by ograniczać kontakty syna i siostrzenicy. Między innymi dlatego nie ograniczała Zbyszkowi swobody w innych kwestiach, tym bardziej że – przynajmniej w jej przekonaniu – nie stało to w sprzeczności z ogólnie przyjętymi normami. Takie jednak metody wychowania, jak najbardziej dopuszczalne

w przypadku chłopców, w odniesieniu do dziewcząt mogły prostą drogą prowadzić do niebezpiecznego awanturnictwa i zepsucia obyczajów. Zwłaszcza w przypadku ubogich sierot żyjących na łaskawym chlebie krewnych.

W każdym razie po wyjeździe kuzyna do Petersburga jedyną pociechą Kingi były lekcje fortepianu i pogawędki z panną Adamską. A także życzliwość, jaką okazywał jej wuj Stefan, czego była zawsze świadoma, nawet jeśli rzadko do niej zagadywał.

Wielka szkoda, że wuj się spóźni, pomyślała teraz z rezygnacją. Perspektywa uczestniczenia w przyjęciu ciotki ponownie zwarzyła jej humor. Bez większego zainteresowania zaakceptowała niebieską organdynową suknię, którą młoda pokojówka Zosia wyjęła z szafy. Podobnie, bez żadnego entuzjazmu, poddała się zabiegom mającym na celu poprawienie jej faktycznie potarganej fryzury.

– Może przydałoby się użyć żelazka i porobić kilka loczków z tych kosmyków, co tak bez ładu opadają panience na uszy? – zafrasowała się Zosia.

– Niech cię ręka boska broni, żadnego żelazka! – zaprotestowała Kinga, budząc się z zamyślenia. – Już dawno pogodziłam się z faktem, że mam proste włosy. Jakie to ma znaczenie? To tylko włosy. Wolę mieć takie niż przypalone lokówkami.

– Dobrze, ale jak pani doktorowa będzie miała pretensje, że się nie wywiązałam... – nadąsała się Zosia.

– Wtedy wezmę całą winę na siebie. Uroczyście przysięgam. O nic się nie bój. Boże, przecież to zwykłe przyjęcie, a nie jakiś wielki bal. Zresztą, nawet z powodu balu nie pozwoliłabym na żelazko przy moich włosach.

Zosia słowem już tego nie skomentowała, choć po jej wyrazie twarzy można było poznać, że przywykła do dziwacznych zwyczajów panny

Niwińskiej. Kinga zaś, nie starając się nawet zapanować nad pełnym rezygnacji westchnieniem, wyprostowana jak struna ruszyła do salonu.

ROZDZIAŁ 3

Wieczór muzyczny zgromadził w salonie pani Borgiewiczowej około trzydziestu osób, przeważnie weteranów podobnych zgromadzeń. Niekiedy pojawiały się nowe twarze, na ogół krewni lub znajomi stałych bywalców; tacy jednak rzadko ponawiali później swoje wizyty. Całe spotkanie zazwyczaj uświetniał występ jakiegoś pianisty, skrzypka, śpiewaka czy deklamatora (płci obojga), przeważnie mniej lub bardziej uzdolnionych amatorów. Profesjonalni artyści pojawiali się raczej sporadycznie i nie byli to w żadnym wypadku ci najbardziej znani wykonawcy pierwszoplanowych ról na scenach warszawskich teatrów, lecz aktorzy dalszego planu, których prawie nikt nie kojarzył z żadną rolą. Najczęściej jednak spotkania „artystyczne” sprowadzały się do popisów kilku panien na wydaniu, potem zaś odbywała się uroczysta kolacja. Czasem ktoś z towarzystwa próbował zarekomendować jakiegoś początkującego literata – wówczas po kilku muzycznych występach lub deklamacjach następowała krótka prezentacja onieśmielonego adepta (zdecydowanie rzadziej adeptki) połączona z odczytem fragmentu artykułu lub noweli jego (lub jej) autorstwa. W takich okolicznościach zapraszano także żurnalistów związanych z „Kurierem”, „Gazetą Ilustrowaną” czy też innym pismem lub dziennikiem. Zdaniem Kingi dopiero wówczas zebrania w salonie ciotki nabierały rumieńców, a przynajmniej można było poznać zdecydowanie bardziej interesujących

ludzi. Sama nigdy nie zgodziłaby się na żaden występ – w przeciwieństwie do Klementyny, która, zanim wyszła za mąż, uświetniła swym śpiewem kilka wieczorów. Na szczęście jednak jak do tej pory ciotka nie czuła potrzeby, aby w taki sam sposób zaprezentować talenty siostrzenicy. Żyjącej, jak powszechnie było wiadomo, na łaskawym chlebie w jej szacownym domu.

Siedząc obok kuzynki, Kinga z trudem powstrzymywała ziewanie. Tym razem Burgiewiczowa nie zaprosiła żadnego literata – zresztą ich obecność też nie zawsze gwarantowała, że będzie można usłyszeć cokolwiek bardziej oryginalnego – za to widownia została uraczona śpiewem panny Klotyldy Wolskiej, córki radcostwa Wolskich, która dopiero co wróciła z podróży zagranicznej, gdzie ponoć szkoliła głos i zapoznawała się z nowinkami świata artystycznego. Zdaniem Kingi zdecydowanie lepiej wypadła młodziutka akompaniorka, która wraz z matką przyjechała do stolicy z zapadłej wioski gdzieś na Polesiu, aby spędzić kilka tygodni w Warszawie. I to właśnie jej gra sprawiła, że dało się jakoś wytrzymać nieznośnie piskliwe tony udające sopran, a wydobywające się z gardła panny Wolskiej.

Rzucając coraz mniej dyskretnie spojrzenia na zasłuchane audytorium, Kinga próbowała odgadnąć prawdziwe myśli i refleksje kłębiące się w głowach słuchaczy. To także nie było szczególnie interesujące i ambitne zajęcie – choć już wielokrotnie wcześniej się do niego uciekała – niemniej przynajmniej ratowało ją przed zaśnięciem w pozycji siedzącej. A nie wszystkim się to udało. Na przykład stara pani Perlicka już drzemała i dopiero jej synowa, podchwyciwszy rozbawione spojrzenie Kingi, trąciła teściową ramieniem. Niewiele brakowało, a Kinga parsknęłaby śmiechem, w ostatniej chwili powstrzymał ją na wpół rozżalony, a na wpół karcący wzrok ciotecznej siostry. Trudno było oprzeć się spostrzeżeniu, że pod pewnymi względami Klementyna była uderzająco podobna do matki – oczywiście z czasów, gdy Maria Borgiewiczowa była dwadzieścia,

trzydzieści lat młodsza. Świadczyły o tym zachowane fotografie. Jednak nawet i teraz podobieństwo wciąż było widoczne. Klementyna odziedziczyła po matce wysoki wzrost, kształtną, wyprostowaną sylwetkę (w przypadku Borgiewiczowej już wyraźnie zaokrągloną), gęste, kręcone, upięte nad karkiem blond włosy, a także duże, zielone oczy, w których jednak czaił się zupełnie inny wyraz. Stanowczy i uważny w przypadku Marii Borgiewiczowej, zaś znacznie łagodniejszy, nierzadko wręcz wylękniony – u jej córki. Odzwierciedlało to zresztą różnicę w charakterach obu kobiet, choć Klementyna robiła, co mogła, by naśladować matkę. Nie miała jednak jej siły i energii, nie miała w sobie nawet krzty przedsiębiorczości, z której jej rodzicielka była powszechnie znana, a ponieważ córka zdawała sobie sprawę z tych braków, często nie potrafiła zdobyć się na bardziej stanowcze działania i odwagę. Kinga czasami nawet z tego powodu współczuła kuzynce, choć wiedziała, że niepotrzebnie. Klementyna jakoś odnajdywała się w swojej roli i z pewnością nie przyjęłaby najmniejszych uwag ani wskazówek ze strony ciotecznej siostry. W każdym razie Kinga uznała, że nie warto podejmować takiej próby. No cóż, to ostatecznie twoje życie, twoja sprawa, kuzynko, myślała niejednokrotnie. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Czy nie szkoda ci jednak poświęcać życia wyłącznie na to, by wiecznie próbować wszystkich zadowolić? A mówiąc bez ogródek: by zadowolić matkę? Tak jakbyś niczego już więcej nie pragnęła w nim osiągnąć. Zresztą, twoja wola.

Już dawno porzuciła myśl, aby zaprzyjaźnić się z Klementyną. Kiedyś o tym marzyła – gdy jako ośmioletnia dziewczynka została przygarnięta przez wujostwo, początkowo najbardziej zależało jej na zdobyciu sympatii kuzynki. Nie znaczyło to, że nie dbała o akceptację pozostałych członków rodziny – przeciwnie, dokładała wszelkich starań, aby tak się stało, ale Klementynie przeznaczyła specjalne miejsce w swoim sercu. Dwa lata starsza kuzynka miała być towarzyszką zabaw, powierniczką sekretów, prawdziwą

przyjaciółką. Tak się jednak nie stało. Kinga dość szybko się zorientowała, że Klementyna nie była zainteresowana zacieśnianiem więzów między nimi, bo nie życzyła sobie tego jej matka. A życzenie matki było dla niej święte. Nawet jeśli odbierało jej własną wolę. Tak czy inaczej, Burgiewiczowa dopięła swego, jej córka nie zbliżyła się do swojej ciotecznej siostry, nawet nie czuła takiej potrzeby. Kinga pogodziła się z tym faktem, a żal, który początkowo z tego powodu odczuwała, z biegiem lat stawał się coraz mniej dotkliwy, aż wreszcie prawie zupełnie zniknął. Teraz co najwyżej dziwiła się, że tak jej niegdyś zależało na tej przyjaźni. Wystarczyło dłużej przebywać w towarzystwie kuzynki, słuchać jej, by pragnęła znaleźć się daleko. Co nie było łatwe, zważywszy na częste wizyty Klementyny, podczas których wręcz wyłaziła ona ze skóry, by naśladować i zadowolić matkę.

– Nie powinnaś spóźniać się na przyjęcia wydawane przez drogą mamę – odezwała się z nutką przygany w głosie, gdy tylko popis radcówny Wolskiej dobiegł wreszcie szczęśliwego końca. – Biedna mama była tym bardzo strapiona. Wystarczy, że ojciec tak lekko traktuje jej starania; ty przynajmniej mogłabyś jej tego oszczędzić.

Kinga, która nie przyłączyła się do gromkich oklasków, z trudem stłumiła kolejne ziewnięcie.

– A jakie to starania masz na myśli? – spytała z pozorną uprzejmością. Widząc zaś, że jej pytanie wprowadziło Klementynę w lekką konfuzję, dodała nieubłaganie, jakby chciała o czymś przypomnieć: – Wspominałaś coś o wysiłkach swojej matki, mogłabyś to sprecyzować?

Zirytowała tym Klementynę, która popatrzyła na nią z oczywistą przyganą.

– No wiesz, nie udawaj, że nie rozumiesz. Moja droga mama robi, co może, by jej salon był atrakcyjnym miejscem spotkań. I może gdybyś rozejrzała się wokół...

– Zrobiłam to. To znaczy rozejrzałam się wokół. Musiałam się czymś zająć, by nie zasnąć – odparła z udanym spokojem Kinga, choć tym razem i ona się zirytowała. – I wiesz co? Wciąż widzę te same twarze, tych samych mało interesujących ludzi. Wszyscy inni, którzy od czasu do czasu się tu pokazywali, więcej już nie wracali. I nie łudź się, wcale nie dlatego, że po raz drugi już ich nie zaproszono. Jest tyle innych salonów w tym mieście, nawet nie masz pojęcia, ile ciekawych rzeczy się w nich dzieje.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć... – Lekki rumieniec na twarzy Klementyny świadczył o tym, jak dotknęła ją ta opinia.

– Nie żyję przecież na pustyni. To i owo wpadnie mi w ucho.

– Czy wtedy, gdy godzinami snujesz się nie wiadomo gdzie?

– Gdybyś ty więcej wychodziła i przebywała wśród ludzi, także niejednego byś się dowiedziała – odparła.

– Wychodzę do ludzi i przebywam w towarzystwie! – Klementyna oburzyła się na tak jawną niesprawiedliwość.

– Nie, kuzynko. To nie to samo. Zamknęłaś się lub pozwoliłaś się zamknąć w szklanej bańce w towarzystwie podobnych do siebie ludzi. To powoduje, że nie dostrzegasz, jak bardzo interesujący mogą być ci wszyscy, których nie chcesz poznać.

– O mój Boże, te twoje określenia – skrzywiła się z nieskrywanym niesmakiem Klementyna. W tym momencie wyglądała jak matrona, i nie tyle była podobna do matki, co wręcz taka sama. Różnica dwudziestu paru lat między nimi jakby przestała istnieć.

Patrząc na nią, Kinga nie mogła zapanować nad uczuciem grozy, ale i pewnej... litości.

– Nie widzę twojego męża – odezwała się po krótkiej chwili milczenia. – Nie mógł przyjść? – Musiała w duchu przyznać, że zabrzmiało to złośliwie. Zwłaszcza że nieobecność Aleksandra wcale jej nie zaskoczyła.

– Nie. Jest bardzo zajęty w swoim gabinecie – odparła chłodno Klementyna, wachlując się przy tym energiczniej, niż pozwalały zwyczaje.

Kinga poszła jednak jej śladem; w salonie zrobiło się wyjątkowo duszno. Ciotka, póki mogła, strzegła domu przed przeciągami i wychłodzeniem, tym razem jednak nieco przesadziła w tych staraniach. Świadczyły o tym zaczerwienione twarze niektórych dam i kropelki potu na czole Klementyny.

– Poproszę, aby otworzono okna – rzekła Kinga. Policzki kuzynki wydały jej się bardziej purpurowe niż pozostałych zebranych. Nawet ją to zaniepokoiło. – Słabo ci, kuzynko?

– Nie, proszę, nie rób zamieszania, nic mi nie jest – zaproponowała natychmiast Klementyna, rozglądając się z pewnym zaniepokojeniem i zawstydzeniem. Reakcja ta zresztą nie zaskoczyła Kingi; kuzynka nie lubiła zwracać na siebie uwagi. Niedysiejsze występy podczas wieczorków muzycznych kosztowały ją zawsze wiele nerwów, by nie rzec udręki, tyle że nigdy nie potrafiła odmówić matce. W każdym razie Kinga postanowiła dać jej już spokój.

– Dobrze. Jak sobie życzysz. A jak przebiegają przygotowania do podróży?

– Do podróży? – Wachlarz w dłoni Klementyny na moment się zatrzymał.

– Do Krakowa. Przecież niedawno utrzymywałaś...

– Nie jadę do Krakowa.

– Nie jedziesz? – Tym razem Kinga nie potrafiła ukryć zaskoczenia. – Wydawało mi się, że bardzo cieszyłaś się perspektywą wyjazdu. Czy... Czy coś się stało?

W odpowiedzi Klementyna rzuciła jej spojrzenie, w którym można było dostrzec zarówno wahanie, jak i zażenowanie, lecz niewykluczone, że przemogłaby się w końcu i powiedziała coś więcej na temat zmiany swoich

planów, gdyby ni stąd, ni zowąd nie pojawiła się przy nich Burgiewiczowa. Ciotka nie posiadała zbyt wielu godnych uwagi cech – na ogół była dość pospolita i raczej przewidywalna – poza jedną bez wątpienia niezwykłą, acz irytującą zdolnością. Otóż potrafiła w najmniej spodziewanym momencie pojawić się tam, gdzie nikt jej akurat nie oczekiwał. Dosłownie wyrastała spod ziemi. Czym, rzecz jasna, wprawiała w konfuzję osoby prowadzące na przykład bardzo poufną konwersację.

Tym razem zarówno Klementyna, jak i Kinga drgnęły, jakby przyłapano zostały na czymś nieczym, co oczywiście nie uszło uwadze pani domu. Niemniej, jak gdyby nigdy nic, czule pogłaskała córkę po policzku.

– Jak się czujesz, kochanie? Czy ci nie za gorąco? Nie za duszno? Odniosłam wrażenie, że coś cię zaniepokoiło. – Mówiąc to, popatrzyła z lekką przyganą na Kingę, jakby to ją obarczała winą za domniemane zdenerwowanie czy też niedyspozycję ukochanej córki.

Kinga była zresztą przyzwyczajona do podobnych uwag ze strony ciotki. Odkąd zamieszkała u wujostwa, zawsze była podejrzewana o wszelakie złośliwości wobec kuzynki. Szczęście w nieszczęściu podejrzewania te były wysuwane jedynie przez Burgiewiczową i Tomaszową – wuj nigdy się do nich nie przyłączył, tak samo Zbyszek – dlatego na ogół spływały po dziewczynie jak po kacze. Także i tym razem powstrzymała się od komentarzy, zareagowała za to Klementyna.

– Droga mamó, zaniepokoję się dopiero wtedy, gdy obie sprawicie, że wszyscy w tym salonie zaczną mi się przypatrywać. Nie chcę tego. – Przygryzła wargi i spąsowiwała jeszcze bardziej.

– Dobrze, już dobrze, kochanie. Ale jako matka sama przecież rozumiesz, że mam prawo troszczyć się o ciebie. I naprawdę bardzo żałuję, że nie przyprowadziłaś dziś Krzysia.

Kinga, która także lubiła siostrzeńca, wcale się jednak nie zdziwiła, że

kuzynka tym razem nie przyszła razem ze swoim rocznym synkiem. Gdy ostatnio tak zrobiła, mały nie był w stanie usiedzieć spokojnie podczas towarzyskiego zebrania. Piszczął, pokrzykiwał, w końcu zaczął wierzgać nogami i domagać się, aby pozwolono mu przemierzać niepewnymi krokami salon, czym skutecznie odwracał uwagę słuchaczy i przeszkadzał jakiejś „sopranistce” i jej nieszczęsnej akompaniatorce. Szwagier, który wyjątkowo był wówczas obecny na przyjęciu, oświadczył na odchodnym, że nie ma najmniejszego sensu, aby jego dziecko było zmuszane do wizyt u dziadków, jeśli w tym samym czasie odbywają się tam koncerty, przy czym słowo „koncerty” zaakcentował w sposób, który każdy zrozumiał jednoznacznie, nawet teściowa. I właśnie ona pozwoliła sobie nie zgodzić się ze zdaniem zięcia. Wyraziła nawet pogląd, że im wcześniej dziecko jest przyzwyczajane do uczestniczenia w poważnych zebraniach towarzyskich, tym lepiej się w nich odnajduje. A dotyczy to zwłaszcza spotkań o charakterze intelektualnym (tak właśnie to ujęła), jako że w przyszłości bez wątplenia zaowocuje to zamiłowaniem do literatury i muzyki. I kto wie! Może kochany Krzyś zostanie znanym pisarzem albo muzykiem i kompozytorem, w każdym razie wielkim artystą!

Aleksander powstrzymał się przed skomentowaniem słów teściowej, grzecznie się pożegnał i zarządził odwrót swojej rodziny do domu, a skonfundowana Klementyna podążyła wtedy za nim bez słowa. Kinga opisała całe zdarzenie w liście do Zbyszka, ten zaś w odpowiedzi zaznaczył, że dawno się tak nie ubawił i niezmiernie żałuje, że na własne oczy nie mógł tego wszystkiego widzieć i słyszeć. Tego jednego mu żal, bo generalnie to raczej nie tęsknił za zebraniem w salonie drogiej *maman*. Sam wielokrotnie miał ochotę postąpić w identyczny sposób jak mały Krzyś. Chwat chłopak, wdał się w swego wuja, napisał. Mając oczywiście na myśli siebie.

Nie tylko w wuja, pomyślała Kinga, gdy obserwowała teraz zarówno

zakłopotanie Klementyny, jak i ogromne rozżalenie na twarzy jej matki. Na litość boską, czyżby ciotka naprawdę myślała, że jej córka postąpi wbrew zdaniu swojego męża i przyprowadzi dziecko na nudny wieczór muzyczny? Aby mały ponownie zdeorganizował całe spotkanie? Choć z drugiej strony bez wątpienia bardzo by je urozmaicił.

– Jeśli pozwolisz, droga mamo, przyjdę z dzieckiem wtedy, gdy będzie to wizyta w ścisłym gronie rodzinnym – wyszeptła coraz bardziej speszona Klementyna, a na jej czole pojawiły się kolejne krople potu.

Kinga popatrzyła na nią ze współczuciem, ale wolała ugryźć się w język. Nie mogła przecież wykluczyć, że w przeciwnym razie ciotka gotowa ją oskarżyć o współdziałanie z zięciem.

– Oczywiście, dobrze wiesz, że zawsze jesteście u nas mile widziani, co nie zmienia faktu, że dziecko powinno być przyzwyczajane do odpowiedniego zachowania w większym towarzystwie – odparła chłodno Burgiewiczowa, co sprawiło, że młoda kobieta straciła resztki pewności siebie i gdyby mogła jeszcze bardziej się zaczerwienić, z pewnością by to zrobiła. Matka popatrzyła na nią z przyganą, po czym nagle zmieniła ton. To również była jej zwykła taktyka, z którą Kinga nauczyła się już sobie radzić. W przeciwieństwie do biednej Klementyny. – Ale cóż, z drugiej strony z chłopcami bywa różnie, czego przykładem jest twój brat – dodała oschle. Słowa „a także twój mąż” bez wątpienia wisiały w powietrzu, nie zostały jednak wypowiedziane na głos. – Miejmy nadzieję, że twoje drugie dziecko będzie dziewczynką, w dodatku podobną do ciebie i bez wątpienia łatwiejszą w wychowaniu. A wtedy... – Tym razem tembr jej głosu zabrzmiał już zdecydowanie łagodniej.

– Mamo – jęknęła Klementyna, która miała w tej chwili taką minę, jakby się chciała zapaść pod ziemię.

– Drugie dziecko? – powtórzyła bezwiednie skonsternowana Kinga.

Zaraz jednak została zagłuszona przez stojące nieopodal, lecz także zaskoczone panie.

– Doprawdy?

– Ach, co za niespodzianka!

– Jakże się wszyscy cieszymy!

Pełne entuzjazmu gratulacje rozlegały się tu i ówdzie.

– Mamo – wymamrotała Klementyna. Jej pucołowata twarz stawała się coraz bardziej purpurowa, zarówno z powodu duchoty panującej w salonie, jak i z zażenowania.

– Ależ moje drogie dziecko! Czemu to robić z tego tajemnicę? Przecież to wielka radość w rodzinie, w każdym razie ja nie posiadam się ze szczęścia.

– Ależ oczywiście! To wielkie szczęście! – Panie rzuciły się teraz w kierunku nieszczęsnej młodej kobiety, która w pewnym momencie zachwiała się niebezpiecznie i kto wie, co by się stało, gdyby nie podtrzymało ją silne ramię ojca. Stefan Borgiewicz, który właśnie wkroczył do salonu, od razu rozeznał się w sytuacji.

– Wyjdźmy do mojego gabinetu – oznajmił spokojnie, całkowicie ignorując resztę towarzystwa. – Za dużo tu hałasu, a za mało powietrza.

W pierwszym odruchu Klementyna chciała zaprotestować, kiedy jednak matka i reszta zgromadzonego towarzystwa zaczęła usłużnie rekomendować jej odpoczynek na kanapie w salonie, zawzięcie ją przy tym wachlując i udzielając setek rad – zmieniła zdanie.

– Dobrze, papo – westchnęła z rezygnacją.

W salonie zapadło milczenie, w którym kryło się zdumienie i zakłopotanie. Nie trwało to jednak długo, bowiem pani domu postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i zapanować nad sytuacją. Nie okazując żadnych emocji związanych z tym, co się wydarzyło, przybrała jeden ze swoich najbardziej uprzejmych uśmiechów i zaprosiła gości do stołu. Tym samym

cel swój osiągnęła, bowiem zgromadzeni w salonie wyraźnie się ożywili, odzyskali głos i rezon.

Jedynie Kinga się nie poruszyła i nie oderwała wzroku od drzwi, za którymi zniknęła jej kuzynka.

Drgnęła, gdy tuż nad uchem usłyszała suche polecenie ciotki.

– Mam z tobą do pomówienia.

– Słucham, ciociu – odparła niezadowolona dziewczyna. Z doświadczenia wiedziała, że czekała ją kolejna bezsensowna potyczka słowna (do tego bowiem sprowadzała się każda wymiana zdań między nimi dwiema), a zatem musiała się nastawić na kolejną porcję bezzasadnych wymówek. Być może niejeden by się do tego przyzwyczaił, ona jednak wciąż nie potrafiła.

– O czym rozmawiałyście?

– O czym rozmawiałam z Klementyną?

– Tak. Co tym razem powiedziałaś mojej córce? – indagowała Burgiewiczowa, której apodyktyczny ton niezbitcie dowodził, że istotnie była rozdrażniona. Jej gniew zwrócony był głównie w kierunku męża, ponieważ jednak nie mógł go osiągnąć ani w tym momencie, ani w żadnym innym, całą swoją frustrację skierowała na siostrzenicę. – Była zdenerwowana. Jak zawsze... Odkąd pamiętam... Po każdej rozmowie z tobą. Stale jej tylko dokuczałaś i nawet teraz...

– Przecież to nie ja ją teraz zdenerwowałam, ciociu – odparła cierpko Kinga, a jej spojrzenie było zdecydowanie bardziej lodowate od spojrzenia Burgiewiczowej.

Ty stara flądru, nawet nie próbuj swoich dawnych sztuczek. Już na mnie nie działają, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, pomstowała w duchu. Ale nie było to do końca prawdą. Sposób, w jaki Burgiewiczowa od lat ją traktowała, jej nieuzasadnione, bzdurne pretensje wciąż ją jednak dotykały. Choć

oczywiście już nie w taki sam sposób jak wówczas, gdy była jeszcze małą dziewczynką, która wychodziła wprost ze skóry, by zadowolić swoją ciotkę i zyskać jej sympatię, a może nawet miłość. I nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej wysiłki spotykały się nieodmiennie z wrogą, a przynajmniej niechętną reakcją tej kobiety. Wtedy cierpiała, i to bardzo. Płakała w nocy do poduszki, a potem od rana ponownie podejmowała wysiłki, by zdobyć przychylność ciotki – i zajęło jej sporo czasu, zanim wreszcie pojęła, że wszystko to skazane było z góry na porażkę. Nie od razu się z tym pogodziła, w końcu jednak przyszedł taki dzień i ku swemu zdumieniu poczuła wtedy ulgę. Jakby zrzuciła z siebie przygniatający ją ciężar. No cóż, jakkolwiek paradoksalnie by to nie zabrzmiało, pożegnanie się ze złudzeniami może czasem oznaczać wyzwolenie. Bo gdy tylko pojęła, że cokolwiek by zrobiła albo czegokolwiek nie zrobiła, i tak nie zadowoli ciotki, łatwiej jej było radzić sobie z tą kobietą. W każdym razie przestała znosić bez słowa protestu jej docinki i krzywdzące uwagi. Bywało, że podnosiła rękawicę – choć jednocześnie skłamałaby, twierdząc, że sprawia jej to przyjemność. Jak choćby dziś, gdy ponownie (który to już raz!) była zmuszona odpiierać wydumane wyrzuty o rzekome dokuczanie Klementynie.

– Obserwowałam was podczas występu panny Wolskiej i zauważyłam, że coś jej szeptałaś do ucha, a ona zaraz zaczęła się denerwować – drażnyła poirytowana Burgiewiczowa.

– Pewnie dlatego, że podobnie jak ciocia zaproponowałam, że otworzę okna – odparła niechętnie Kinga. – Klementyna wpadła wtedy w popłoch, bo nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Nie chciała, aby wszyscy już dziś dowiedzieli się o jej stanie, dopowiedziała sobie w duchu. I choć niejednego mogłaby nawet rozbawić taka postawa, takie zawstydzenie młodej matki, Kinga jednak trochę ją rozumiała. Na miejscu kuzynki czułaby się podobnie. Za nic w świecie nie

życzyłaby sobie, aby towarzystwo zgromadzone w salonie ciotki miało głośno debatować na jej temat.

Odpowiedź Kingi tym razem udobruchała Burgiewiczową.

– No tak, nie wiem, czemu Klementynka tak nerwowo do tego podchodzi – rzekła. – Pewnie dlatego, że zawsze była taka skromna, delikatna i wrażliwa.

– Pewnie tak. – Kinga była gotowa przynajmniej pozornie przyznać rację, byle tylko nie przedłużać tej żenującej wymiany zdań. Niebawem, że ciotce nigdy nie było szkoda czasu na równie jałowe rozmowy.

– I to wszystko? – Maria ponownie przybrała ostrzejszy ton i przypatrzyła się dziewczynie. – Nic więcej nie mówiła? Ani ty jej?

Kindze przypomniały się wszystkie dochodzenia, które ciotka przeprowadzała w przeszłości, gdy była przekonana, że siostrzenica jest odpowiedzialna za każde wymaginowane lub prawdziwe pogorszenie nastroju ukochanej Klementyny.

– Nie zdążyliśmy ze sobą dłużej porozmawiać – odparła chłodno.

Oczywiście nie powiedziała całej prawdy. Klementyna zdążyła jej napomknąć, że nie wybiera się z mężem do Krakowa. Przy czym najwyraźniej nie chciała drążyć tej kwestii. Teraz przynajmniej było jasne dlaczego. Zapewne ze względu na jej stan lekarz odradził podróż, co mogło sprawić, że czuła się rozczarowana. Jak by na to nie patrzeć, wyprawa do Krakowa oznaczała jakieś urozmaicenie w jej dość monotonnym życiu, w którym jedyną rozrywkę stanowiły wizyty w rodzinnym domu. Wprawdzie Klementyna nigdy się nie skarżyła na swoje życie (a już z pewnością nie zwierzałyby się z tego kuzynce), nie sprawiała też wrażenia kobiety znudzonej, mającej jakieś wyższe aspiracje, nie znaczyło to jednak, by od czasu do czasu nie pragnęła jakiegokolwiek odmiany. Kinga w każdym razie gotowa była to zrozumieć – sama niemal o niczym innym już nie marzyła.

Lecz w zachowaniu Klementyny było coś jeszcze. Od pierwszej chwili, gdy Kinga usiadła obok niej, kuzynka sprawiała wrażenie wyraźnie rozdrażnionej. Nie podobało jej się również, że Kinga zapytała o Aleksandra. Dlaczego nie przyszedł do teściów. Inna sprawa, że mogłam ugryźć się w język – przyznała w duchu Kinga. – Faktycznie, chciałam trochę się z nią podrażnić. Odpowiedź była przecież łatwa do odgadnięcia. Darowałabym to sobie, gdybym tylko wcześniej wiedziała, że spodziewa się dziecka.

Burgiewiczowa przypatrywała się jej tak, jakby się tego wszystkiego domyślała, zanim jednak zdążyła zareagować, podeszła Tomaszowa, która oznajmiła, że goście przeszli już do jadalni i czekają na gospodynię.

– Tak, tak, oczywiście. – Burgiewiczowa skinęła głową i odwróciła się tyłem do siostrzenicy, która uznała, że tego wieczora nie będzie mile widziana przy stole.

– Mogłabym dostać kolację do pokoju? – spytała Tomaszowej, gdy ciotka zniknęła na drzwiach jadalni.

– Niech Kinga pójdzie do kuchni i załatwi to z kucharką. – Tomaszowa zwróciła na nią pełne nagany spojrzenie. – Ja nie mam teraz czasu spełniać paninych grymasów.

– To dobry pomysł. Dziękuję. – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, choć najchętniej dałaby starej prztyczka w nos.

Nauczyła się jednak zadowalać jedynie samą chęcią wymierzenia sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ 4

Skrzywił się, gdy usłyszał pukanie do drzwi do gabinetu. Wiedział, że ta chwila nastąpi, żywił jednak nadzieję, że stanie się to znacznie później.

– Proszę. – Nawet się nie starał ukryć niechęci w głosie.

W progu zobaczył Tomaszową, jakżeby inaczej.

– Pani prosi, aby pan doktor przyszedł do niej do buduaru – odezwała się skrzekliwie. To znaczy on tak postrzegał brzmienie jej głosu. Nie cierpiał tej baby od samego początku, to jest odkąd zaczęła pracować w tym domu i szarogęścić się za pełnym przyzwoleniem jego żony. Dzięki Tomaszowej Maria czuła się zwolniona z wszelkich obowiązków dotyczących zarządzania gospodarstwem, co pozwalało jej na realizowanie własnych życiowych pasji polegających głównie na plotkowaniu z przyjaciółkami, zwłaszcza zaś na urządzaniu przyjęć i wieczorów, które on z kolei zawsze uważał za wyjątkowo uciążliwy dopust boży. Tak bardzo chciała wierzyć, że jej salon jest prawdziwą kuźnią talentów, ośrodkiem myśli twórczej, bez mała Parnasem, na który zapraszany chce być niemal każdy intelektualista. Przy okazji rościła sobie pretensje do tego, by uważano ją za wielką damę, do której garnie się śmietanka towarzyska Warszawy. Inna rzecz, że stali bywalcy (zwłaszcza bywalczyńie) wydawanych przez nią przyjęć skwapliwie ją w tych wyobrażeniach utwierdzali. Ale trudno, to jeszcze nauczył się znosić, tak samo jak wszystkie niedogodności, które napotykał na swojej

życiowej drodze. Gorzej, że sam od czasu do czasu był zmuszony – jako pan domu i małżonek – uczestniczyć w tych nudnych i piramidalnie głupich zgromadzeniach. Traktował ten obowiązek jak pańszczyznę, którą przyszło mu odrabiać. Zaciskał jednak zęby i ustępował. Trudno, tłumaczył sobie, takie są skutki, że przed laty skapitulował wobec matki i oświadczył się tej kobiecie. Potem zaś nie było już odwrotu – tak przynajmniej sam sobie wmawiał, a fakt, że niezbyt mu się to udawało, dawno już stracił jakiegokolwiek znaczenie. Tak czy inaczej, co się stało, już się nie odstanie, po tylu latach uznał, że nie ma sensu łamać tym sobie głowy. Skoro w przeszłości okazał się nie dość stanowczy, czy raczej nie dość skuteczny, teraz nie pozostaje mu nic innego, jak znosić tę kobietę i menażerię, która od czasu do czasu tłumnie nawiedzała jego dom. Dzięki Bogu, że miał pracę, która stała się jego życiową pasją. I dwoje dzieci, do których był szczerze przywiązany, choć jak na dłoni widział pewne niedostatki ich charakteru. Lecz z drugiej strony, któż nie ma wad?! Prawda też, że skoro oddał się bez reszty pracy, siłą rzeczy mniej czasu poświęcał dzieciom, tym samym i w tej kwestii otwierając pole do popisu swojej żonie. Nie mógł zatem mieć pretensji do syna i córki, że pod niektórymi względami nie spełniali jego oczekiwań. Przede wszystkim jednak starał się i o tym zbyt często nie myśleć. Rzadko też interweniował, gdy dochodziło do jakichś domowych problemów lub nieporozumień. Dziś jednak nie wytrzymał. Tego wieczoru Maria przekroczyła granice, na które do tej pory gotów był przymykać oczy.

– Czy wszyscy goście już wyszli? – spytał chłodno.

– Tak, niecałą godzinę temu i dlatego pani prosiła...

Nie tylko brzmienie głosu tej starej go drażniło – także jej uparte, świdrujące spojrzenie.

– Jestem zajęty. Czytam. – Wskazał na książkę. – Proszę powiedzieć pani, że przyjdę później.

– Kiedy już jest późno, a pani chciałaby się położyć... – odparła spokojnie Tomaszowa.

– Skoro pani czuje się zmęczona, porozmawiamy jutro. – Wiedział, że zabrzmiało to uszczypliwie, ale taki był przecież jego zamiar. – To wszystko, nie mam nic więcej do dodania – dorzucił, bo zaczynał podejrzewać, że Tomaszowa była zdecydowana perswadować mu do skutku wolę pani. W odpowiedzi jednak skinęła jedynie głową i zamknęła drzwi. On natomiast ponownie sięgnął po książkę, ale nie mógł się skupić na czytaniu, zwłaszcza że i wcześniej jego myśli krążyły wokół innych spraw. No cóż, trudno. Chyba nie pozostało mu nic innego, jak przełknąć tę żabę, czyli niezwłocznie pomówić z żoną.

Cisza, za którą tęsknił, odkąd wrócił do domu, tym razem nie wróżyła niczego dobrego. Goście wprawdzie – dzięki Bogu – opuścili to mieszkanie, ale wszystkie znaki na niebie i ziemi jasno dawały mu do zrozumienia, że małżonka nie jest w najlepszym nastroju. A mówiąc wprost, czuje się głęboko zraniona i dotknięta. Do takich określeń się uciekała, gdy wylewała przed nim swoje żale i pretensje. Dlatego też i tym razem nie zdziwił go widok jej ponurej miny i rozgoryczonego spojrzenia. Przez chwilę nie odpowiadała na jego ukłon i dopiero gdy zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia, skinęła lekko głową.

– Może raczysz mi wreszcie powiedzieć, w jakim celu zostałem wezwany? – odezwał się cierpko. – Nie mam czasu stać tu w nieskończoność bez celu.

– Oczywiście. Chyba nie przypuszczasz, abym zapomniała, jak cenny jest twój czas – odparła chłodno. – Jak go zawsze skąpiłeś, i nadal skąpisz, najbliższej rodzinie.

– O co tym razem chodzi? – wtrącił niecierpliwie. Nie zależało mu na jej odpowiedzi, był niemal pewien, że i tak ją zna, ale uznał, że chyba nie ma

innego wyjścia, jak pozwolić żonie mówić. Oczywiście poradzi sobie z pretensjami, z żadnej dyskusji z nim nie wyszła zwycięsko, ale sam fakt, że będzie zmuszony do kolejnej tego typu rozmowy, powodował, że ogarniała go irytacja. Ileż to cennego czasu stracił w tym małżeństwie!

A jednak tym razem nie odgadł trafnie, co mu miała do powiedzenia i jaka to pilna sprawa spowodowała, że żona wezwała go o tej porze do swojego buduaru. Wcale bowiem nie chodziło o fakt, że spóźnił się na przyjęcie, ani nawet o to, że na oczach zgromadzonych gości wyprowadził córkę z salonu niczym z ula pełnego rozsierdzonych os. To znaczy pośrednio także o to, ale sedno problemu było w czym innym.

– Uważam, że czas najwyższy, aby Kinga opuściła ten dom – zaatakowała bez żadnych wstępów. A przynajmniej on tak to odebrał – jako niespodziewany atak.

Na moment osłupiał, potrzebował minuty, a może i dwóch, by zebrać myśli i przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszał. W końcu mu się udało, zdążył jednak zauważyć wyraz satysfakcji na twarzy żony. Przez chwilę była górą. Tak się przynajmniej czuła. Nie zamierzał jednak pozwolić, aby zbyt długo tkwiła w tym przekonaniu.

– Chcesz, aby Kinga opuściła nasz dom? – powtórzył, aby ostatecznie się upewnić, że dobrze ją zrozumiał. – Co to ma niby znaczyć?

– To, co usłyszałeś. – Zmrużyła oczy. – A jeśli potrzebujesz dodatkowych wyjaśnień...

– Tak, do diabła, przydałyby się – przerwał jej gniewnie. – Jako że zupełnie tego nie pojmuję. Kinga jest naszą bliską krewną, podopieczną...

– Dla ścisłości, jest moją krewną – odparła gniewnie Maria. – Przypominam, że właśnie do takiego argumentu uciekłeś się przed laty, by nakłonić mnie do wzięcia jej na wychowanie. A zatem bądź konsekwentny. Ten argument nie uległ przecież zmianie, nie przestała być moją krewną

i w związku z tym mam prawo podejmować decyzje w jej sprawie. Uważam, że wypełniłam wobec niej swój obowiązek. Nastał czas, aby stąd odeszła.

Patrzył na żonę bez słowa, mając nadzieję, że może sam wyraz jego twarzy zniechęci ją do kontynuowania tej rozmowy. Że przynajmniej da jej do myślenia, co on sądzi o tym absurdalnym pomysłe. Nie mógł się jednak oszukiwać. Tym razem będzie mu trudno ją przekonać i obalić jej argumenty. Oczywiście nadal miał dobre karty w ręku, ale to nie w jego rękawie znajdował się as. Niestety, Kinga była jej siostrzenicą, nie jego. Przynajmniej ta kwestia nie podlegała dyskusji.

– Wtedy, przed laty chodziło o osierocone dziecko – dodała po chwili. – Teraz to już dorosła panna. Skończyła osiemnaście lat. I dlatego uważam...

– Że może zamieszkać na ulicy – dokończył sarkastycznie. – Albo zapracować na swoje utrzymanie. Nie to chciałaś mi powiedzieć?

Natychmiast spostrzegł, że jego słowa dotknęły ją do żywego.

– Czemu nie, skoro sama tyle razy dała mi do zrozumienia, jak bardzo tęskni do samodzielności? – odparła z ironią graniczącą z lekceważeniem. – Zawsze z takim uznaniem wypowiadała się na temat panny Adamskiej. Można by nawet pomyśleć, że jej zazdrości. A poza tym co jakiś czas daje mi także do zrozumienia, jak to ograniczam jej swobodę. Mam prawo przypuszczać, że mój pomysł spotkałby się z jej zadowoleniem.

Nie odpowiedział. Wymówki nie miały już sensu. Nigdy nie przyjmowała do wiadomości, że niewłaściwie zajmowała się dziećmi. Także swoimi własnymi, nie tylko siostrzenicą. Tyle że swoim przynajmniej okazywała serce, a w przypadku Kingi nigdy nie miało to miejsca. Nie przyjmowała jednak do wiadomości podobnych zarzutów. Nie przyjmie ich i tym razem.

– Z pewnością jednak nie wyrzuciłabym jej na ulicę – kontynuowała urażonym tonem. – Jak mogłeś tak pomyśleć? I oczywiście nie każę jej pracować na swoje utrzymanie, bo w przeciwieństwie do tej zarozumiałej

dziewczyny nie mam cienia wątpliwości, że nie dałaby sobie sama rady. A poza tym, o czym już była mowa, to moja krewna, więc nie dopuszczę do żadnych plotek ani na jej, ani na nasz temat. Mogłaby jednak wyjść za mąż – dodała niespodziewanie.

– Za mąż? – powtórzył z sarkazmem. – A zatem, jak mniemam, znalazłaś już odpowiedniego kandydata?

– Na przykład taki pan Milewicz... Nie tylko ja spostrzegłam, że wyraźnie ją adoruje, choć ty jak zwykle niczego nie zauważyłaś. Pan Milewicz mieszka na prowincji, ma tam podobno ładny kawałek ziemi, lecz od czasu do czasu przyjeżdża w interesach do Warszawy. Ma doskonałą opinię, zarówno w kręgach kupieckich, jak i wśród obywateli ziemskich. To bez wątpienia porządny, a do tego miły człowiek. Nie przeszkadza mu, że Kinga nie ma posagu. Dla panny w jej położeniu to idealne widoki na przyszłość. Ptasiego mleka jej przy nim nie zabraknie. Druga taka szansa może jej się już nie nadarzyć.

Ponownie go zaskoczyła. Choć przecież, jak poniewczasie w duchu przyznał, powinien był jednak przewidzieć, że coś podobnego wpadnie jej do głowy. Na razie, kompletnie zbity z tropu, zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Przy czym nie chodziło tylko o sam pomysł wydania Kingi za mąż, lecz także o osobę kandydata na męża. Milewicz? Z tego, co mówiła żona, wynikało, że to jakaś znaczna figura, lecz on, choć wyteżał umysł i pamięć, nie był w stanie skojarzyć tego człowieka.

Słyszając tę uwagę, Maria wzruszyła ramionami i odpowiedziała oskarżycielskim tonem:

– No cóż, w zasadzie nie powinno mnie dziwić, że nie wiesz, o kogo chodzi. Traktujesz ten dom jak hotel, a własną rodzinę jak innych hotelowych gości. Nic cię nie obchodzimy, jedynie ja troszczyłam się o przyszłość dzieci. Tak, całej trójki, także mojej siostrzenicy, choć zawsze byłeś w tej sprawie

innego zdania. Ty jedynie uznałeś, że powinniśmy przyjąć ją do tego domu, i na tym skończyła się twoja troska i dobroć.

– Rzeczywiście nie znam tego człowieka. – Czuł, że musi jakoś przerwać jej słowotok. – Czyżby ten... pan składał już jakieś deklaracje? Rozmawiał z Kingą? A może ty z nią o tym mówiłaś?

Na samą myśl o podobnej ewentualności aż się wzdrygnął. W gruncie rzeczy nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by Kinga zwierzała się ciotce z podobnych spraw. By w ogóle z czegokolwiek jej się zwierzała. Choć równocześnie w głębi duszy nie mógł zaprzeczyć, że w zarzutach żony kryło się ziarno prawdy. Nie było wprawdzie tak, że rodzina go nie obchodziła, nie ulegało jednak wątpliwości, że starał się jak najrzadziej przebywać w domu. I choć nie dzieci były tego przyczyną, siłą rzeczy one także ponosiły konsekwencje. Nie był wprawdzie wyjątkiem – mężczyźni, którzy utrzymywali swoje rodziny, na ogół całe dni przebywali poza domem i nikt się temu nie dziwił – niemniej w jego przypadku w grę wchodziły także inne powody, czego zresztą przed żoną nie ukrywał.

– Nie, nie mówiłam z nią o panu Milewiczu – odparła cierpko Maria. – Od dawna nie potrafię się z nią porozumieć, wszelkie podejmowane przeze mnie próby natrafiają na mur. Dobrze o tym wiesz. Nie zmienia to jednak faktu, że trzeba w końcu coś postanowić. Młoda panna powinna zrobić to, czego oczekują od niej opiekunowie, to chyba oczywiste. A poza tym naprawdę uważam, że otwiera to przed nią bardzo korzystne perspektywy. Niewykluczone, że inna okazja już się nie pojawi.

– Niby dlaczego? – podchwycił z ironią. – Dlaczego z góry zakładasz, że na nic lepszego ta dziewczyna nie może już w życiu liczyć? Ma dopiero osiemnaście lat... i wszystko przed sobą.

– Przecież już to wyjaśniłam! – uniosła się. – Ale skoro koniecznie chcesz to ponownie usłyszeć, dobrze, niech i tak będzie. Ta dziewczyna jest

sierotą bez żadnego majątku. Nic na to nie poradzę, że moja siostra wyszła za niewłaściwego mężczyznę, wskutek czego zarówno ona, jak i jej córka skończyły z niczym. Tak wybrała, jej sprawa, ale nie widzę powodu, abym to właśnie ja przez resztę swoich dni miała ponosić tego konsekwencje. Swój obowiązek spełniłam, zrobiłam dla Kingi więcej niż ktokolwiek inny w tej rodzinie. Ale na tym koniec. Nawet ty nie masz prawa dłużej tego ode mnie wymagać. A poza tym naprawdę uważam, że ubogie krewne nie powinny wybrzydzać.

Przez chwilę obserwował ją w milczeniu. Dzisiejszy wieczór musiał wyprowadzić ją z równowagi, skoro zdecydowała się na tak otwarty atak. Co właściwie się stało? Przecież nie mogło chodzić tylko o to, że spóźnił się na jej przyjęcie, a potem wyprowadził Klementynę z salonu. Co to miało wspólnego z Kingą? Chyba że coś przeoczył, tego przecież nie mógł wykluczyć.

– Ubogie krewne nie wybrzydzą – powtórzył cicho. – No tak, nie powinienem zapominać, że tak właśnie od początku ją traktowałam. Tym właśnie dla ciebie była, niczym więcej.

– Wszystko upraszczasz – prychnęła. – Tak ci wygodniej.

Wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że nie widzi sensu, by kontynuować rozmowę. Pomysł, aby wydać Kingę za męża za jakiegoś kompletnie mu nieznanego człowieka z prowincji, uważał za bzdurny. Podejrzewał też, że jedyną osobą naprawdę zainteresowaną tym projektem była jego żona. W każdym razie bardziej niż ów kandydat na męża. W przeciwnym razie człowiek ten z pewnością znalazłby sposób, aby dotrzeć również do niego, do głowy rodziny. To prawda, że dużo pracował i często przebywał poza domem, ale – na litość boską – nie znaczyło to bynajmniej, że nigdy tu nie bywał.

– Jesteś zmęczona i rozdrażniona – mruknął, odwracając się do drzwi.

W gruncie rzeczy nie wierzył w jej zmęczenie – niby czym miała się tak utrudzić? – ale rozdrażnienie było faktem. Nic nowego pod słońcem w przypadku tej kobiety. Kątem oka zdążył jeszcze zauważyć, jak niezadowolenie na jej twarzy przekształca się we wściekłość, ale nie mogło go to zatrzymać, wręcz przeciwnie.

Nie zdążył jednak opuścić pokoju, a dogoniły go jej słowa. Takie, których nie mógł zignorować.

– Chodzi mi o Klementynę – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – O jej szczęście i spokój.

– Boże, daj mi siły – mruknął bardziej do siebie niż do niej, ale, rzecz jasna, usłyszała go. – Znowu zaczynasz – dodał już głośniej. – Bezustannie wtrącałaś się do ich zabaw i rozmów, gdy obie były jeszcze dziećmi. I potem, gdy dorastały. Skutecznie zepsułaś wszelkie szanse, by się zaprzyjaźniły lub przynajmniej polubiły. I nawet teraz, gdy Klementyna ma już własną rodzinę, wciąż nie dajesz spokoju, tak jednej, jak i drugiej.

Spochmurniała. W źrenicach jej oczu zapaliły się niebezpieczne błyski.

– Nie chcę, aby moja córka musiała przechodzić przez to samo, co ja... przed laty. – Jej głos zabrzmiał teraz matowo i jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż wcześniej. – A tak może się stać, jeśli ta dziewczyna nie wyjdzie za mąż i stąd nie wyjedzie. Właśnie za takiego człowieka jak pan Milewicz, który z pewnością będzie miał na nią odpowiedni wpływ.

Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że mężczyzna pokroju owego Milewicza z pewnością potrafi okiełznać tak hardą dziewczynę jak Kinga. Tak to przynajmniej zrozumiał Stefan Burgiewicz. Ale nie tylko to nim wstrząsnęło. To, co przed chwilą powiedziała o sobie i Klementynie, na moment niemal pozbawiło go tchu. Ach, więc o to chodziło. To było przyczyną jej niechęci do siostrzenicy, od samego początku. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Choć niewykluczone, że jednak podświadomie

musiał to kiedyś brać pod uwagę, tyle że w pewnym momencie skutecznie zepchnął podejrzenia na dno świadomości.

– Chyba oszalałaś – szepnął, bo nie był w stanie mówić głośniej. – To jakiś obłąd.

A potem nie zważając na protesty żony, opuścił buduar. Szedł powoli, powłócząc nogami, jakby nagle przybyło mu lat. Jakby był starym, niedołężnym człowiekiem, który ostatecznie pogrzebał wszelką nadzieję, że spotka go jeszcze coś dobrego w życiu. Nie ma co się dłużej oszukiwać, nic takiego już się nie wydarzy. To, co było w jego życiu dobre, bezpowrotnie minęło.

Równocześnie odezwał się w nim dawny ból, który w ciągu minionych lat jakoś oswoił, a w każdym razie skutecznie zagłuszył dzięki ciężkiej, przynoszącej radość i satysfakcję pracy. Dziś jednak przypomniał o sobie ze zdwojoną siłą. Taką, której trudno będzie się oprzeć.

Gdy wreszcie dotarł do swojego gabinetu i ciężko opadł na fotel, zniechęconym i zniecierpliwionym ruchem odsunął od siebie książkę, nad którą wcześniej planował spędzić wieczór. Teraz jednak nie miał ochoty na lekturę, szczerze mówiąc, nie miał ochoty na nic. Oparłszy się łokciami o blat biurka, ukrył twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 5

Dźwięk otwieranych w korytarzu drzwi wyrwał Klementynę z zamyślenia. Chwilę potem usłyszała głos męża, który wymieniał krótkie informacje ze służbą. Zerknęła na zegar, a potem na bawiącego się u jej stóp synka, który w tym samym momencie odłożył na bok drewnianego konika i zapatrzył się na matkę.

– Tata? – spytał, jakby do końca nie dowierzał temu, co usłyszał.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi bawialni otworzyły się i do pokoju wmaszerował doktor Aleksander Jankiewicz. Skinął głową żonie, ale pierwsze kroki skierował do Krzysia, porywając go w objęcia.

– Tata! – zapiszczało rozradowane dziecko.

– Jak się masz, mój olbrzymie?! – Jankiewicz uniósł syna wysoko i zakręcił nim kilka razy, wywołując kolejny wybuch entuzjazmu u dziecka, jak również protesty żony i służącej Janiny, która równocześnie pełniła obowiązki niani. Obie, jedna przez drugą zaczęły go zaklinać, aby dał już spokój tej niebezpiecznej zabawie.

– To raczej wy dajcie spokój – roześmiał się Aleksander. – Ma z niego wyrosnąć mężczyzna, prawdziwy rycerz. Prawda, olbrzymie? – Ostatnie słowa ponownie skierował do uszcześliwionego malca.

– Rycerz – powtórzył skwapliwie chłopczyk, który właśnie przypomniał sobie ostatnią zabawę z ojcem, zanim ten przed tygodniem wyjechał do

Krakowa. Skoro jednak wrócił, czemu mieliby jej nie kontynuować? – Chodź! – Wskazał na leżące na dywanie zabawki.

– Tak, zaraz będziemy się bawić – roześmiał się ponownie doktor, stawiając dziecko na ziemi, ku widocznej uldze obu kobiet. – Tylko daj mi trochę czasu. Dopiero wróciłem, muszę się doprowadzić do porządku, zajmę się tobą później.

Takie rozwiązanie nie spodobało się jednak dziecku, które chciało się bawić z ojcem teraz, natychmiast.

– Daj mi chociaż kilka minut! – roześmiał się Aleksander, lecz widząc, że Krzyś wykrzywił buzię do płaczu, ustąpił. – Dobrze, możemy teraz. Ale krótko. Potem musisz pozwolić, abym się umył i przebrał. Zgoda?

– Nie. – Tym razem zaprotestowała Klementyna. Chłodnym, nieuznającym sprzeciwu tonem. Takim, jakiego nauczyła się od matki i którego używała zawsze, gdy próbowała zdyscyplinować dziecko. – Tata dopiero wrócił z podróży, musi się najpierw przebrać, zjeść i wypocząć. A poza tym jest już za późno na zabawę. Pora spać.

Oczywiście, tak jak można się było spodziewać, Krzyś przyjął ten werdykt wybuchem płaczu, tupaniem i krzykiem.

– I po co robić z tego taką sprawę? – zaproponował Aleksander, podczas gdy Janina usiłowała uspokoić opierającego się i wierzgającego chłopczyka. – Czy to taki wielki dramat, jeśli zostanie położony do łóżka kilka minut później?

– Chodzi o zasady – odparła ostro Klementyna, dając znak piastunce, aby wreszcie zabrała dziecko.

– Jakie zasady? – spytał gniewnie mąż, gdy zostali już sami, a krzyki dziecka coraz bardziej cichły w oddali. – Masz pewnie na myśli zasady twojej matki?

W pierwszej chwili zamierzała zareagować oburzeniem, ale się

powstrzymała. Jak zawsze, gdy dochodziło do jakiejś scysji z mężem, przypominała sobie nauki matki (a także Tomaszowej), aby powstrzymać się od wybuchu, od krzyku i głośnych lamentów. Mężczyźni często prowokują nas do tego, ale nie należy dawać im tej satysfakcji, perorowała Maria Burgiewiczowa, a Tomaszowa skwapliwie to potwierdzała. Dama nie awanturuje się, dama zawsze i wszędzie zachowuje się dystyngowanie. Nie znaczy to, że ma we wszystkim ustępować mężowi, lecz nawet jeśli czuje się głęboko dotknięta, może to okazać na wiele innych sposobów, nie tracąc przy tym godności. Lamenty, głośne wyrzekania, a nawet wrzaski, do których często uciekają się proste kobiety, po prostu nie licują ze stanowiskiem prawdziwej damy. I choć Klementyna na własne oczy widziała i słyszała, że matce nie zawsze udawało się zastosować takie rady w praktyce, to i tak dokładała wszelkich starań, by w jej przypadku starania te były uwieńczone sukcesem. I na ogół osiągała swój cel – przede wszystkim dlatego, że nie miała wybuchowego temperamentu ani energii matki. Burgiewiczowa, wpajając jej swoje nauki, reguły i zasady, wyhodowała posłuszną córkę, zarazem jednak istotę słabą i bojaźliwą, która bardzo rzadko zdobywała się na okazanie własnej woli i wypowiedzenie własnego zdania. Nie potrafiła też skutecznie bronić swoich racji, toteż z niemal każdej słownej szermierki wychodziła pokonana. Dlatego i teraz, choć odważyła się postawić na swoim, także wolała nie wdawać się w dalszą dyskusję z mężem, zwłaszcza z nim. Bóg jeden wiedział, ile kosztowały ją te wszystkie nieporozumienia, które, szczególnie w ostatnim czasie, zdarzały się między nimi. Przecież kochała go tak samo mocno i żarliwie, jak wówczas, gdy jeszcze jako młody współpracownik jej ojca przychodził z wizytami do ich domu. Podobał jej się od samego początku, już tamtego dnia, gdy ojciec po raz pierwszy przyprowadził go i przedstawił swojej rodzinie, wiedziała, że to ten jedyny i nikogo innego nie będzie chciała. Wciąż tak myślała, upływ czasu niczego

tu nie zmienił... przynajmniej jeśli chodziło o jej uczucia. Czy z nim było tak samo? Za to ręczyć nie mogła, a co gorsza, nachodziły ją w tej kwestii nie najlepsze niestety przeczucia. Czasem przychodziło jej do głowy, że najzwyczajniej w świecie już mu... spowszedniała. Chłopy szybko się nudzą, za żadnego nie można ręczyć – taką opinię usłyszała kiedyś od kucharki, która pracowała w mieszkaniu na Kruczej. Zdaniem poczciwej skądinąd Janowej rzadko który mężczyzna potrafił być wierny jednej kobiecie, a większość z tych, którzy jednak dotrzymywali przysięgi małżeńskiej, robiła to jedynie ze strachu przed konsekwencjami. Tak, najzwyczajniej w świecie po prostu nie chcieli znaleźć się na ludzkich językach, bali się reakcji rodziny, a także – ma się rozumieć – własnych małżonek. Tak, niektóre kobiety wiedzą, jak nauczyć chłopca chodzenia na palcach. I z takich kobiet inne powinny brać przykład. A już na pewno nie można mężczyźnie wierzyć w ciemno. Janowa chętnie kontynuowałaby te mądrości – uwielbiała bowiem pouczać innych – gdyby jej Tomaszowa cierpkim tonem nie kazała zamilknąć. Przy młodych pannach nie wypada mówić takich rzeczy, oznajmiła. A z drugiej strony młode panny nie powinny tak chciwie słuchać podobnych dyrdymałów. W ogóle niezamężne dziewczęta o pewnych sprawach nie powinny wiedzieć, zaznaczyła surowo, patrząc przy tym z przyganą nie tylko na Janową – która niewiele sobie z tej reprimendy robiła – ale także na Klementynę i Kingę. Akurat tego popołudnia pomagały piec ciastka z wiśniami, Burgiewiczowa bowiem uważała, że dobrze, jeśli panny na wydaniu mają jakieś pojęcie o prowadzeniu domu, by w przyszłości, już po wyjściu za mąż, potrafiły zarządzać gospodarstwem i nie dać się oszukiwać służbie.

Tak czy inaczej, Klementyna, choć nigdy się do tego na głos nie przyznała, lubiła popołudnia spędzane w kuchni, a opowieści Janowej uważała za bardziej interesujące niż wymuszona i niejednokrotnie sztywna

konwersacja w salonie matki. Lecz, mimo że chętnie słuchała kucharki, nie brała jej słów do siebie. Przeciwnie, już wówczas, zakochana po uszy w młodym asystencie ojca, była święcie przekonana, że te wszystkie przestrogi jej nie dotyczą. W jej przypadku takie prognozy na pewno się nie sprawdzą, nie mają prawa. Dziś już tej pewności nie miała, naszły ją za to nie najlepsze przecucia i wątpliwości. A przecież była mężatką od niespełna trzech lat!

W przeszłości uważano ją za urodziwą pannę. Komplementowano kształtną figurę, gęste blond włosy, jasną cerę, duże, zielone oczy. Uchodziła też za dobrze wychowaną dziewczynę, która umiała odpowiednio się zachować w każdej sytuacji, miała w małym palcu zasady etykiety i stosowała się do konwenansów, a do tego była miła, grzeczna i łagodnego usposobienia. I nawet fakt, że tak rzadko wypowiadała własną opinię, uznawano za przejaw uroczej nieśmiałości.

Nie mogła narzekać na brak konkurentów. Niezależnie bowiem od wszystkich przymiotów potrafiła sprawić, że każdy mężczyzna czuł się w jej obecności mądrzejszy i bardziej błyskotliwy, niż był w istocie. Każdego słuchała z uwagą – a przynajmniej sprawiała takie wrażenie – każdemu potakiwała, uśmiechając się przy tym uroczo. Pod tym względem, i nie tylko pod tym, stanowiła całkowite przeciwieństwo Kingi, która na ogół zbywała takich kawalerów milczeniem i postawą pełną rezerwy. To zresztą sprawiało, że mało który był zdecydowany wytrwale zabiegać o jej względy. Tymczasem otoczona wieńcem adoratorów Klementyna marzyła wyłącznie o doktorze Jankiewicz, a kiedy wreszcie cel swój osiągnęła, była przekonana, że zawdzięczała to właśnie swojemu wychwalanemu powszechnie urokowi i zaletom charakteru. Po kilku zaledwie latach nie miała już jednak większych złudzeń. Nawet jeśli w nieodległej przeszłości jej mąż naprawdę był nią oczarowany, teraz nie mogło być o tym mowy.

A ponure tyrady kucharki Janiny zaczynały się jawić jako przygnębiające proroctwo. Aleksander się mną znudził, myślała z goryczą Klementyna. Spowszedniałam mu, straciłam urok nowości. To wszystko dlatego, że po urodzeniu pierwszego dziecka zbrzydłam. A każde kolejne sprawi, że będę wyglądała coraz gorzej. I w końcu zupełnie stracę figurę. Zestarzeję się, spotka mnie to samo, co inne kobiety.

W każdym razie druga ciąża z pewnością nie dodała jej urody, wręcz przeciwnie. Przekonywała się o tym za każdym razem, gdy spoglądała w lustro, a fakt ten dodatkowo źle wpływał na i tak już marne samopoczucie, wywołując w Klementynie irytację i frustrację, których nigdy dotąd nie odczuwała. Uroczą, nieśmiałą, łagodną dziewczyną należała już do przeszłości, tak jak i cała jej niegdysiejsza uroda. Nie tylko lustro to potwierdzało – także spojrzenie męża nie mogło napawać otuchą. Tyle w nim było chłodu, obojętności i właśnie... znudzenia. A to potrafiło zboleć nawet bardziej niż jawnie okazywana niechęć.

Nikommu za nic w świecie nie zwierzyłaby się z tych rozterek. Nawet sobie nie wyobrażała, że mogłaby coś takiego wypowiedzieć na głos. Zresztą przed kim miałyby się wyżalić? Na pewno nie przed matką. Kochała ją i podziwiała, ale o pewnych kwestiach nie potrafiła i nie chciała z nią rozmawiać. Czuła, że mogłoby to tylko pogorszyć jej i tak już skomplikowane relacje z mężem. Kiedyś słyszała, że do rozmów na takie tematy najbardziej nadawały się przyjaciółki – cóż jednak z tego, skoro ona żadnej nie miała!

Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak zмагаć się z tym samej, to jednak powodowało, że czasem napięte do granic wytrzymałości nerwy nie wytrzymały. Karciała wtedy służące, próbowała dyscyplinować dziecko, ale potem tego żałowała i dla odmiany starała się ich wszystkich obłaskawić, z różnym zresztą skutkiem. Urządzanie awantur mężowi nigdy jednak nie

wchodziło w rachubę.

Dlatego i tym razem nie podjęła rękawicy, gdy rzucił ewidentnie prowokacyjną uwagę, jakoby wobec Krzysia stosowała metody wychowawcze wymyślone przez jej matkę. Choć oczywiście oburzyły ją te słowa.

– Dziecku nie powinno się ustępować na każdym kroku i we wszystkim pobłażać – oznajmiła, z trudem panując nad drżeniem głosu.

Bała się, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem.

– Twoja matka tak uważa? – zakpił.

Zacisnęła dłonie.

– Ja tak uważam. – Podniosła trochę głos i pewnie dlatego oboje usłyszeli w nim łzy. – Na wszystko mu pozwalasz, spełniasz każdą jego zachciankę. Rozpieszczasz go, a potem wychodzisz z domu na cały boży dzień albo wyjeżdżasz gdzieś na dłużej, a ja i cała służba próbujemy nad nim zapanować. W taki sposób to dziecko nigdy nie nauczy się dobrych manier. Co tam manier! Nie nauczy się zasad elementarnej grzeczności. Zamiast dokuczać mi i robić uszczypliwe uwagi mojej matce, mógłbyś choć raz przyznać nam rację – dorzuciła żałośnie.

– Czyli miałem rację. Naprawdę chodzi o was obie, o wasze racje i zasady. – Wzruszył ramionami i skierował się do drzwi. – Zresztą, już jakiś czas temu przestało mnie to dziwić.

– Dokąd znowu idziesz? – zawołała, wycierając pośpiesznie spływającą po policzku łzę.

– Jak to dokąd? Umyć się i przebrać po podróży, czyli zrobić dokładnie to, co powiedziałaś Krzysiewi. I mam nadzieję, że dostanę jeszcze coś do jedzenia – dorzucił już w progu.

– Poczekaj... – Nie wytrzymała. Głos jej się na chwilę załamał, ale zdołała nad nim zapanować. – Nawet się ze mną nie przywitasz? – Zdawała

sobie sprawę, jak błagalnie zabrzmiał jej głos, ale trudno. Nie chciała, aby mąż w tym momencie wyszedł z pokoju. Bez jednego dobrego słowa skierowanego do niej. – Nie zapytasz... jak się czuję? – dodała już znacznie ciszej.

Zawahał się, ale przymknąwszy drzwi, ponownie do niej podszedł. A następnie ujął i pocałował jej dłonie.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się łagodnie. To na ogół zawsze wystarczyło, by miękła jak воск. – Cieszę się, że cię widzę. Mam nadzieję, że w dobrym zdrowiu.

– Ja też przepraszam. – Otarła następną łzę. Nie chciała okazać się taką płakusą, ale nic nie mogła poradzić na to, że w ostatnim czasie była skłonna do płaczu. – Jesteś zmęczony po podróży, to całe nieporozumienie było zupełnie niepotrzebne. Nie powinnam była...

– Nie ma o czym mówić. – Poglądził ją po policzku. Wolałaby wprawdzie, aby ją porwał w ramiona i pocałował, ale dobre i to. Najważniejsze, że znowu patrzył na nią z troską i dobrocią. Znowu był taki serdeczny. – Ale teraz naprawdę muszę pójść i się otrzepać z kurzu – zażartował.

– Oczywiście. Powiem kucharce, aby odgrzała ci kolację – zaświergotała radośnie. – Nie zapowiadałeś, czy wrócisz dziś, czy dopiero jutro, i dlatego... Ale Janowa zaraz się wszystkim zajmie. A w razie czego osobiście jej pomogę. – Teraz i ona pokusiła się o bardziej żartobliwy ton.

W odpowiedzi mrugnął do niej wesoło.

Potem, gdy siedzieli już przy stole, paplała jak najęta, zaznajamiając go ze wszystkimi nowinami z minionego tygodnia. Jedząc, słuchał jej w milczeniu – a przynajmniej zakładała, że jej słuchał – jedynie od czasu do czasu rzucając jakąś niezobowiązującą uwagę. Potem, pijąc już kawę, odpowiedział na kilka jej pytań o przebieg wizyty u krewnych w Krakowie.

Tak, wszystko u nich we względnym porządku. Interesy starszego brata idą nie najgorzej, w każdym razie jest w stanie pomagać młodszemu, który, na razie bez większego powodzenia, stara się zainteresować swoimi artykułami i opowiadaniem kolejne krakowskie wydawnictwa i redakcje. Wszyscy, także bratowa i bratankowie, pozdrawiają Klementynę, oczywiście rozumieją, że w jej stanie podróż była raczej niewskazana, ale cieszą się, że rodzina wkrótce się powiększy.

– Naprawdę chciałam ich odwiedzić – westchnęła rzewnie Klementyna.

– A oni naprawdę w to nie wątpią – uśmiechnął się Aleksander i zaraz gładko zmienił temat, pytając o Zbyszka. Czy były ostatnio jakieś nowiny od szwagra.

– Nie, nie było. – Klementyna wzruszyła ramionami. Nie kryła przy tym urazy do brata. – Czuje się w pełni usprawiedliwiony, jeśli raz na kwartał przyśle jakąś wiadomość. Jego zdaniem powinno nam to wystarczać. Choć nawet wtedy niewiele jest do czytania.

– Na pewno dobrze sobie radzi – odparł pogodnie. W istocie i tego tematu nie zamierzał już kontynuować. Jego coraz bardziej odległe i rozkojarzone spojrzenie zdradzało, że myślał już o zupełnie innych sprawach.

Desperacko pragnąc zatrzymać jego uwagę, zdecydowała się poinformować go o czymś, o czym pierwotnie nie zamierzała mówić, a przynajmniej tego pierwszego wieczora po jego powrocie z Krakowa.

– Nie znasz najnowszej nowiny – oznajmiła, rozciągając wargi w czymś, co mogło zostać uznane zarówno za grymas, jak i uśmiech. – Pan Cezary Milewicz stara się o Kingę. Mama twierdzi, że tylko patrzeć, gdy oficjalnie się zdeklaruje.

Natychmiast się zorientowała, że cel został osiągnięty – zamyślenie i rozkojarzenie zniknęło z twarzy męża, patrzył na nią teraz bystro

i przytomnie. Nie była jednak pewna, czy powinna się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

– Co takiego? – Odstawił filiżankę, najwidoczniej kawa mu nie smakowała. Klementyna pomyślała, że powinna lepiej zarządzać domem i więcej wymagać od służby. Przyszło jej do głowy, że z każdym dniem mniej jej na tym zależy i zamiast zdobywać więcej doświadczenia, staje się coraz bardziej nieporadna. – Milewicz? Czy to ten kupiec z prowincji? – mruknął Aleksander, najwyraźniej poruszony, co jednak starał się ukryć.

– Tak, to ten – potwierdziła skwapliwie i zaraz potem ponownie się zaśmiała, lecz niezbyt szczerze. – Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał kupców z prowincji za kogoś w rodzaju podludzi – dodała, siląc się na żart, który jednak zupełnie jej nie wyszedł.

– Co ci przyszło do głowy – zachnął się jej mąż. – Nie o to mi chodziło... – dokończył z widocznym już rozdrażnieniem.

Klementyna nie dała mu spokoju przez cały posiłek. Ledwie wytrzymał jej nieustanną paplaninę o niczym i już miał zamiar uciec od stołu, gdy zaskoczyła go nowiną o Kindze i zaczęła chichotać jak pensjonarka. Usiłował zachować spokój i na znak, że również ten temat uważa za wyczerpany, znużonym ruchem sięgnął po gazetę.

Przy okazji pozwolił sobie na małą refleksję, że ostatnimi czasy tematy szybko im się kończyły. Zresztą, czy na dobrą sprawę od początku tak nie było? Tyle że wcześniej nie zwracał na to uwagi, a dokładniej rzecz ujmując, nie przeszkadzało mu to tak jak obecnie. Po prostu byłem głupcem, skwitował w myślach. I to także nie było jego pierwsze spostrzeżenie w tej kwestii.

Jak się jednak okazało, tym razem Klementyna nie zamierzała przejść do

porządku dziennego nad jego słowami, niewykluczone też, że nie chciała pozwolić, aby ją zbył i zajął się czytaniem gazety, tak czy inaczej, postanowiła drażnić sprawę.

– A zatem o co ci chodzi? – spytała. – Przecież zauważyłam, że masz jakieś zastrzeżenia do pana Milewicza.

Niech to licho porwie, westchnął w duchu. Podniósłszy wzrok znad gazety, natychmiast napotkał jej uważne, bardzo przenikliwe spojrzenie. Z całą pewnością w jej oczach nie było teraz zwykłego maślanego wyrazu, który go wprawdzie nieraz irytował, ale do którego przywykł. Tym razem patrzyła na niego w taki sam sposób, w jaki czasami robiła to jej matka. Bardzo tego nie lubił.

– Nawet gdybym miał jakieś zastrzeżenia wobec tego czy innego konkurenta do ręki twojej kuzynki, jakie miałyby to znaczenie? – odparł chłodno. Zbyt oschle, jak sam zaraz stwierdził. Mimo wszystko nie złagodził tonu: – To przecież nie moja sprawa. To decyzja twojej ciotecznej siostry, jej życie, jej przyszłość. Nikomu z nas nic do tego.

– Nie zapominaj, że to jednak szczególna sytuacja – zauważyła po chwili Klementyna.

Skrzywił się, nie odrywając wzroku od gazety. Nie był wprawdzie w stanie skupić się na czytaniu, z drugiej jednak strony wolał nie odwzajemniać spojrzenia małżonki.

– Co w niej takiego szczególnego? – spytał, tym razem znudzonym, niezachęcającym do odpowiedzi tonem.

Klementyna jednak podjęła wyzwanie. Choć niewykluczone, że po prostu uznała za stosowne udzielić mu wyjaśnień. Nieraz miał okazję stwierdzić, że nie zawsze orientowała się w intencjach rozmówcy.

– Kinga jest podopieczną moich rodziców. To nie jest tak, że może robić, co chce, bez oglądania się na nich.

– Podopieczną? Zabrzmiało to tak, jakby była wychowanką sierocińca, a nie waszą bliską krewną! – Tym razem ponownie dał upust swojej irytacji. A widząc, że w tym momencie oczy jego żony zaokrągliły się jak spodki, dodał: – Nawet fakt, że nie ma własnego majątku, niczego tu nie zmienia.

– Dlaczego tak się tym przejąłeś? – spytała po dłuższej chwili ciszy.

Zdecydowanym ruchem odłożył pismo, choć niewiele brakowało, a cisnąłby nim o blat stołu. A potem się podniósł.

– Nie przejąłem się – odparł, dokładając wszelkich starań, by jego głos zabrzmiał spokojnie. – Powtórzę raz jeszcze: to nie moja sprawa. Próbowałem jedynie wyjaśnić, że każdy ma prawo sam decydować o swojej przyszłości, także twoja niemajątna kuzynka. I nikomu nic do tego.

Mówiąc to, tylko do pewnego stopnia był szczery. Na pewno nie wtedy, gdy oznajmił, że nie przejął się tą sprawą. Miał przy tym niejasne wrażenie, że jego naiwna, niezbyt bystra małżonka – domowa szarlotka, jak ją czasem w myślach nazywał – tym razem jednak nie do końca mu uwierzyła. Dlatego, choć miał ochotę trzasnąć drzwiami, a na odchodnym kopnąć w dwa krzesła stojące mu na drodze, zapanował nad emocjami i pogłaskał ją po policzku.

– Padam ze zmęczenia, idę odpocząć – rzekł cicho. – Ty też odpocznij. Życzę ci dobrej nocy.

Zrozumiała, co znaczyły te słowa i ten pozornie serdeczny gest. Tak mówił za każdym razem, gdy zamierzał spędzić noc w swoim gabinecie, a nie w małżeńskiej sypialni. Od pewnego czasu zdarzało się to coraz częściej.

ROZDZIAŁ 6

Przechodząc obok zamkniętych drzwi pokoju ciotki, Kinga przyśpieszyła kroku. Zamierzała jak najszybciej wyjść z domu, w miarę możliwości bez zwracania na siebie większej uwagi. Mogło jej się udać, bowiem ciotka od samego rana nie czuła się zdrowa i wolała zostać w łóżku. Tak przynajmniej oświadczyła Tomaszowa, w dodatku takim tonem, jakby zawiadamiała o chorobie cesarzowej.

Popatrzyła przy tym na Kingę z widoczną naganą, jakby to ją właśnie czyniła odpowiedzialną za ten stan rzeczy, jednak na przywykłej już do takich spojrzeń dziewczynie nie zrobiło to większego wrażenia. Zwłaszcza że podobne, prawdziwe lub wyimaginowane, przypadłości zdrowotne nie były w przypadku ciotki niczym nowym ani niesłychanym, wręcz przeciwnie – zdarzały się zawsze wtedy, gdy coś poszło nie po jej myśli. Za to Kinga od razu przyszło do głowy, że mogłaby wykorzystać zamieszanie i spróbować wymknąć się niepostrzeżenie z mieszkania, najlepiej tak prędko, jak to tylko możliwe.

Pomyślała zatem, że to dobra okazja, by na przykład odwiedzić pannę Adamską. Albo przejść się do parku, a może zajrzeć do ulubionych księgarni? Zresztą cokolwiek, byle tylko przez dwie, trzy godziny odetchnąć innym powietrzem niż to, którym ostatnio coraz częściej dusiła się w domu wujostwa.

Nie czekając więc na pomoc Zosi, ubrała się szybko do wyjścia, a gdy rozejrzała się w korytarzu i stwierdziła, że drzwi do sypialni ciotki są zamknięte, zaś służby nie ma w polu widzenia, ruszyła rażno do wyjścia. Już miała nacisnąć na klamkę, gdy za plecami usłyszała głos pokojówki.

– Pani prosi panienkę do jadalni na śniadanie – oznajmiła służąca, a jej pełen urazy ton mógł świadczyć o tym, że zdążyła już dostać za coś burę od kucharki albo od Tomaszowej. A może nawet od doktorowej, bo i takiej ewentualności nie można było wykluczyć.

– Przecież słyszałam, że pani jest dziś niedysponowana – mruknęła Kinga, nawet nie starając się ukryć rozczarowania w głosie.

Nadażana Zosia wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie ona tu decyduje i też ma swoje powody do niezadowolenia. Na pewno większe niż panna Kinga, która z braku sensownego zajęcia pozwala sobie na różne wielkopańskie dąsy i fanaberie, choć pozuje na taką, co to ma w nosie etykietę. W każdym razie zachowanie Kingi musiało jej działać na nerwy nie mniej niż humory i wymagania doktorowej. Wszystkie te niby wielkie panie były do siebie podobne – same nie wiedziały, czego chcą, a od nieróbstwa w głowach im się poprzestawiało. Nie to, co proste kobiety, które musiały harować od rana do ciemnej nocy.

– Pani kazała powiedzieć, że czeka na panienkę w jadalni – powtórzyła ponuro, obrzucając przy tym nadażanym spojrzeniem wierzchni strój Kingi.

Kinga westchnęła, zrozumiałwszy, że nie pozostaje jej nic innego, jak pozbyć się płaszcza i zdjąć kapelusz, a potem powolnym krokiem skierowała się do jadalni.

Ciotka siedziała za stołem; poza tym, że zamiast zwykłej domowej sukni miała na sobie peniuar, a jej włosy nie były upięte w kunsztowny kok, lecz po prostu związane w węzeł, nic nie wskazywało na to, że czuła się gorzej niż poprzedniego dnia.

– Cieszę się, że widzę ciocię w dużo lepszym zdrowiu, niż mi powiedziano – dygnęła Kinga. – Z tego, co mówiła Tomaszowa...

– Usiądź – zakomenderowała Burgiewiczowa, wskazując siostrzenicy krzesło po przeciwnej stronie stołu.

– Nie czekamy na wuja? – spytała dziewczyna, choć doskonale znała odpowiedź.

– Z samego rana wyruszył do szpitala. Ma jakieś konsylium – odparła oschle ciotka. Sięgnęła po filiżankę z herbatą. – Zresztą jak zwykle – dodała kwaśno.

– Dobrze, że ciocia czuje się już lepiej – powtórzyła wobec tego Kinga. Żadne inne słowa nie przychodziły jej do głowy, czuła za to narastające zdenerwowanie. Ciotka miała jej coś do powiedzenia, a instynkt i doświadczenie podpowiadały dziewczynie, że nie będzie to nic miłego.

– Uznałam, że moim obowiązkiem jest zwrócenie ci uwagi, że twoje wczorajsze zachowanie było nie na miejscu – podjęła surowym tonem doktorowa, a Kinga w jednej chwili poczuła, jakby cała jej twarz zapłonęła. Przed laty identycznie reagowała na takie słowa. Dosłownie kulila się w sobie, doskonale wiedząc, że to zaledwie preludium do całej litanii wyrzekań na jej niewdzięczność i zły charakter, a choć wszystkie oskarżenia były nieprawdziwe, wręcz wydumane, bardzo szybko zorientowała się, że zaprzeczanie na nic się nie zda. Tym bardziej że i ciotka dość szybko wpadła na pomysł, by nie urządzać podobnych scen w obecności męża, Kinga zaś choć była pewna jego życzliwości, nigdy nie zdobyła się na to, żeby pójść do niego ze skargą. Lubiała wuja, ale jednocześnie ją onieśmielał – gdy już przytrafiała się okazja do rozmowy, nie była w stanie zdobyć się na jakieś bardziej osobiste zwierzenia. Potem nauczyła się radzić sobie z ciotką, co jednak nie znaczyło, że za każdym razem ignorowała jej pretensje. Niemniej już od lat nie doświadczyła tego, co w tej chwili – odniosła wrażenie, jakby

żołądek jej się skurczył i podszedł do gardła. A jednocześnie poczuła gwałtowne uderzenia serca i była pewna, że ciotka także je usłyszała.

Do licha, dlaczego tak się denerwowała? Przecież już jakiś czas temu nauczyła się, jak opanować strach przed tą kobietą. Tym razem jednak nie na wiele się to zdało. Znała bowiem odpowiedź na swoje pytanie. W każdym razie domyślała się jej.

Mimo to postanowiła podjąć wyzwanie. Nie podda się bez walki, co to, to nie, nie jest już przecież bezradną, wystraszoną małą dziewczynką, jaką była przed laty.

– Nie przypominam sobie, abym ci wczoraj w czymkolwiek uchybiła, ciociu – odparła, z niezadowoleniem stwierdzając, że głos jej niebezpiecznie zadrżał.

Ani abym ci kiedykolwiek w czymś uchybiła, dodała, lecz już tylko w myślach.

Jej odpowiedź, pomimo że wypowiedziana grzecznym tonem, najwyraźniej wzburzyła Burgiewiczową. Czego zresztą należało się spodziewać – przecież tak właśnie reagowała, gdy siostrzenica wchodziła z nią w jakąkolwiek polemikę. I gdy odwzajemniała jej spojrzenie w taki sposób, jak właśnie w tej chwili. To dlatego, że czasami patrzysz na nią w taki sposób, jak to robiła twoja matka – tak kiedyś, w przyływie szczerości, jakby mimochodem napomknął wuj Stefan. To znaczy jak? – zapytała wtedy Kinga, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Nadal jej nie znała, lecz domyślała się, że to spojrzenie z jakiegoś powodu bardzo nie podobało się ciotce.

– Zachowując się nieuprzejmie wobec moich gości, uchybiłaś także mnie. – Burgiewiczowa spiorunowała ją wzrokiem, ale Kinga wytrzymała to spojrzenie.

– Dlaczego ciocia uważa, że zachowałam się wczoraj niewłaściwie? –

spytała tonem na tyle obojętnym i spokojnym, na jaki mogła się w tym momencie zdobyć. Krew w niej jednak wrzała.

Ty stara kwoko, mam nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym bez owijania w bawełnę powiem, co o tobie myślę, odgrażała się w duchu.

– Tak właśnie uważam – odparła gniewnie Burgiewiczowa. Na jej rozlanej, pełnej twarzy malowało się teraz szczere oburzenie. – Zresztą moi goście mieli te same spostrzeżenia. I nie próbuj teraz udawać, że nie pojmujesz, w czym rzecz. Nie ze mną takie sztuczki. To, jak potraktowałaś pana Milewicza, dowodzi, że pomimo moich wysiłków i poświęcenia jesteś źle wychowaną panną. Ludzie gotowi pomyśleć, że to moja wina, bo najwidoczniej dopuściłam się karygodnego zaniedbania, choć przecież robiłam, co w ludzkiej mocy, byś wyrosła na damę.

Kinga postanowiła przemilczeć kwestię tych karkołomnych wysiłków i wielkiego poświęcenia, o których zresztą ciotka perorowała przy każdej możliwej okazji. Nie było też sensu podejmować polemiki w sprawie tego, co ludzie sobie pomyśleli lub powiedzieli. Nie miała jednak zamiaru pozostawić bez komentarza tych wszystkich uwag, jakoby była źle wychowaną osobą. Co to, to nie. Wczorajszego południa ciotka zaprosiła na herbatę swoje trzy przyjaciółki, a także pana Milewicza. Gdy chodziło o odwiedziny tak wąskiej liczby osób, Burgiewiczowa rzadko wzywała siostrzenicę do salonu, co bynajmniej Kingi nie zasmucało. Niestety, wczoraj stało się inaczej, bowiem doktorowa poleciła, wręcz nakazała jej dołączyć do towarzystwa. Z punktu widzenia dziewczyny były to nudne trzy godziny spędzone na przysłuchiwaniu się jałowej rozmowie o niczym, a zatem kompletna strata czasu. A do tego, jak się okazało, naraziła się na kolejne wymówki, w tym na zarzut, jakoby była pozbawiona elementarnych dobrych manier. Niedoczekanie!

– Nie zachowywałam się niegrzecznie – odparła. – Nie byłam

nieuprzejma.

Słowa te jeszcze bardziej wzburzyły ciotkę. Jak łatwo było ją wyprowadzić z równowagi i sprawić, że wbrew głośzonym przez siebie zasadom traciła nad sobą panowanie, a w miejsce damy, za którą pragnęła uchodzić, pojawiała się prostytutka ubrana w jedwabie! Bądź w peniuar – jak teraz.

– Nie bądź zuchwała – uniosła się Burgiewiczowa. – Siedziałaś jak malowana lala, gdy pan Milewicz próbował zamienić z tobą bodaj kilka zdań. Co najwyżej łaskawie wycedziłaś parę słów. Jak to wyglądało?! Pan Milewicz miał prawo czuć się dotknięty.

– Nie wyglądało na to – odparła odważnie Kinga.

– Co cię upoważnia do podobnego ignorowania moich gości?! – podniosła głos doktorowa. Kinga była niemal pewna, że słyhać ją było w całym domu, także w kuchni. Służące wprawdzie także przywykły do wybuchów gniewu swojej pani, tym razem jednak chodziło o sprawę, której Kinga zbagatelizować nie mogła. Między innymi dlatego, że domyślała się, z jakim zainteresowaniem Tomaszowa, Janowa i Zosia wsłuchują się w odgłosy awantury, której przedmiotem było nie jakieś zwykłe, pospolite zaniedbanie obowiązków, lecz sprawa znacznie ciekawsza. O której lada moment zacznie mówić – a niewykluczone, że już rozprawia – pół Warszawy, a w każdym razie wszyscy, którzy bywają u doktorowej.

Dlatego uznała, że nie ma już sensu chować głowy w piasek. Skoro sprawa została w taki sposób wywleczona na światło dzienne, trzeba nałożyć przyłbicę i wyjść na ubite pole.

Odsunęła krzesło, ale w ostatniej chwili powstrzymała się przed odruchem, by wstać od stołu. Zamiast tego zmięła w dłoni serwetkę.

– Przykro mi, droga ciociu, jeśli uważasz, że zachowałam się niewłaściwie wobec twoich gości – rzekła, zdając sobie sprawę, że w jej tonie

także pobrzmiwa wzburzenie. Tyle że, w przeciwieństwie do Burgiewiczowej, była teraz blada jak kreda. – Zapewniam cię, że nie takie były moje intencje.

– Nie udawaj, że nie wiesz, co miałam na myśli. – Burgiewiczowa bynajmniej nie ściszyła głosu. – Ale jeśli potrzebujesz dodatkowych wyjaśnień, to...

– Nie ma takiej potrzeby – odparła zuchwale dziewczyna. Uznała, że nie ma sensu bawić się dalej w pozory uprzejmości, skoro ciotka już dawno je porzuciła. Nie mówiąc już o tym, że na samą myśl o ewentualnych dodatkowych wyjaśnieniach ze strony tej kobiety, w dodatku wygłaszanych na cały dom, robiło jej się słabo.

Na krótką chwilę zapadło milczenie, podczas którego obie nie spuszczały z siebie wzroku.

– Ty chyba naprawdę nie rozumiesz swojego położenia – odezwała się wreszcie doktorowa.

Ona po prostu gotuje się ze złości, pomyślała Kinga, pewnie dlatego, że teraz znowu na nią patrzę jak moja matka.

To ostatnie spostrzeżenie ponownie dodało jej odwagi.

– Nie ma potrzeby, aby ciocia mi cokolwiek w tej sprawie wyjaśniała – rzekła cicho. Wiedziała, że musi teraz zachować spokój, nie unosić się. – To raczej ja powinnam wreszcie coś cioci wytłumaczyć. – Zaczerpnęła tchu. – Nie miałam i nie mam zamiaru być nieuprzejmą dla pana Milewicza, ale zwyczajnie nie mam mu zbyt wiele do powiedzenia. Podobnie zresztą, jak on mnie. I dlatego uważam, że nie ma sensu... snuć w tej kwestii... żadnych planów. – Ku swemu niezadowoleniu jednak się zarumieniła.

– Nie ma sensu? – powtórzyła Burgiewiczowa. Ściszyła nieco głos, ale brzmiał on teraz jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż przedtem. Zimno, twardo, bezwzględnie. Jakby każde kolejne słowo miało dosięgnąć jej siostrzenicy

niczym wystrzelony pocisk. – Ty ośmielasz się w ten sposób mówić do mnie?

– Tak, nie ma sensu – odparła desperacko Kinga. – Doceniam, że ciocia chciałaby dla mnie jak najlepiej. – Zdziwiająca, jak łatwo przyszła jej ta pełna obłudy uwaga. – Ale to na nic – kontynuowała. – Ja i pan Milewicz zupełnie do siebie nie pasujemy. I dlatego nic z tego nie będzie.

Burgiewiczowa wbiła w nią takie spojrzenie, jakby zobaczyła przed sobą istotę z innej planety... po czym także zmięła serwetkę.

– Niebawem – wysapała, gdy wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos. – Żeby młoda panna tak się wyrażała... Lecz czego się spodziewać, zważywszy na to, czyją jesteś córką. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. A na kogo ty niby czekasz? Na księcia z bajki? Mam ci przypomnieć twoje położenie? Nie masz grosza, od lat żyjesz z naszej łaski. Jeśli uważasz, że może to trwać w nieskończoność, to znaczy, że nie masz ani trochę dumy i honoru. Książęta z bajki nie pojawiają się w życiu takich dziewcząt jak ty, zrozum to wreszcie. Naczytałaś się bzdur i romansideł, ale prawdziwe życie tak nie wygląda i jedynie takie bezmyślne i niewdzięczne dziewczęta jak ty mogą myśleć inaczej. Przyjmij wreszcie do wiadomości, do tej pustej, zarozumiałej głowy, że nie możesz, nie masz prawa w nieskończoność siedzieć mi na karku i jeśli pojawia się ktoś gotów cię poślubić, pomimo że nie masz posagu, pomimo że nawet ubranie, które masz na sobie, do ciebie nie należy, to powinnaś raczej okazać wdzięczność, zamiast wygłaszać farmazony. I puszyć się, jakbyś była nie wiadomo kim.

– Rozumiem moje położenie – odparła chłodno Kinga. – Ale... wybacz ciocia... to jednak moje życie.

Nie patrzyła na ciotkę, lecz na suto zastawiony stół. Czowała głód, lecz nie sięgnęła po żadną z potraw. Skoro nawet suknia, którą miała na sobie, nie należała do niej, z pewnością dotyczyło to również jedzenia. Dotknęła za to

filiżanki z gorącą herbatą – poranek był chłodny i wilgotny, co w połączeniu z nieznośną atmosferą przy stole sprawiło, że zadygotała z zimna. Gorąca filiżanka przynajmniej ogrzewała jej dłonie, nie mogła jednak stopić bryły lodu, jaką Kinga w tym momencie czuła wewnątrz swojego ciała.

Uzmysłowiła sobie nagle, że tym razem może jednak przegrać. Że może już przegrała. Na samą myśl o tym ścisnęło jej się serce, a włosy niemal uniosły się ze strachu na głowie. Przyszłość rysowała się przed nią w czarnych barwach – co do tego jednego nie miała żadnych wątpliwości. W tej sprawie ciotka mogła mieć nad nią przewagę i nieroztropnie byłoby okazać jej teraz lekceważenie.

Przeciągając się, coraz trudniejszą do zniesienia ciszę przerwał dopiero zegar głośno i dostojnie wybijający godzinę dziewiątą. Odgłos ten jakby wybudził siedzącą nieruchomo ciotkę.

– Jutro po południu pan Milewicz ponownie złoży nam wizytę. Z pewnością zechce porozmawiać także z tobą. Mam nadzieję, że tym razem zachowasz się wobec niego inaczej. W przeciwnym wypadku... – Na chwilę umilkła, lecz trwało to bardzo krótko. – Ja w każdym razie nie czuję się już w obowiązku dalej cię utrzymywać. I gdybyś miała odrobinę godności i honoru...

– A wuj Stefan? Co on o tym myśli? – przerwała jej Kinga i zaraz umilkła, nie mniej zaskoczona niż ciotka. Pytania te pojawiły się na jej ustach, zanim zdążyła je przemyśleć. Jakby je zadał kto inny, lecz... jej głosem.

– Jesteś nie tylko zuchwałą, pozbawiona honoru, ale i bezczelna! – krzyknęła Burgiewiczowa. Na jej twarzy ponownie pojawił się rumieniec, jeszcze bardziej intensywny niż poprzednio. Jakby cała krew uderzyła jej do głowy, jakby za chwilę miała paść trupem na podłogę. Tak się jednak nie stało. – Śmiesz coś insynuować? W takim razie słucham. – Nie czekała jednak, aż oszołomiona dziewczyna zdobędzie się na odpowiedź: – Zresztą,

to i tak bez znaczenia. Zawsze byłaś jak chwast, który pleni się tam, gdzie go nie chcą. Jak owoc zatrutego drzewa. Skoro skończyłaś jeść, możesz odejść. Zejdź mi z oczu, natychmiast.

Kinga, która nie skosztowała nawet kęsa, bez słowa skinęła głową i opuściła pokój. Za ledwie drzwi się za nią zamknęły, Maria Burgiewiczowa odstawiła filiżankę, z której także nie upiła nawet łyka.

Pół godziny później sprzątająca nietknięte śniadanie Janowa nie mogła się powstrzymać, by w obecności Tomaszowej i Zosi nie ponarzekać na humory i marnotrawstwo jaśniepaństwa. Gdyby tak kiedy która z tych rozkapryszonych pań i panienek poznała, co to głód, gdyby tak sama stała nad gorącymi garami, inaczej by podchodziła do darów bożych i może uszanowałyby ludzką pracę. Tomaszowa, która początkowo próbowała przywołać ją do porządku, w końcu wzruszyła ramionami i dała za wygraną. Uznała, że nie warto się kłócić ani nawet poskarżyć się pani, bo co to da. Służba już nie taka jak kiedyś, bardziej pyskata, a drugiej tak dobrej, a zarazem niedrogiej, kucharki jak Janowa ze świecą szukać.

Zosia zaś, przybrawszy swój zwykły, zacięty wyraz twarzy, ponuro milczała.

ROZDZIAŁ 7

– Najgorsze jest to, że ona w pewnym sensie ma rację – westchnęła Kinga. – Wzięli mnie z łaski do swojego domu, całe lata żywili i utrzymywali. Ciotka wielokrotnie dawała mi do zrozumienia, jak znienawidzony był to dla niej obowiązek, traktowała mnie jak kamień u szyi. A i ja, nie ukrywam, czasem dawałam jej odczuć, że mam dość jej opieki i narzucanych mi reguł. Dlatego powinnam teraz unieść się dumą i odejść. Dać jej do zrozumienia, że potrafię sobie w życiu poradzić. Lecz zamiast tak postąpić, uczepiłam się kurczowo tego domu. Zachowałam się jak osoba pozbawiona honoru... Dokładnie tak, jak mi dziś wygarnęła prosto w oczy.

Wiedziała, że przemawia teraz tonem skarżącego się dziecka, i fakt ten dodatkowo pogarszał jej nastrój, czego nawet nie próbowała ukrywać ani tym bardziej nadrabiać miną. Czuła przygnębienie, rozgoryczenie i złość, a przede wszystkim bezradność wynikającą ze świadomości własnych ograniczeń. Do tej pory nie dopuszczała do siebie podobnych myśli, dziś, po rozmowie z ciotką, musiała spojrzeć prawdzie w oczy. W obecności panny Adamskiej mogła sobie przynajmniej pozwolić na taką szczerość. Między innymi dlatego tak lubiła lekcje gry na fortepianie, bo Adamska była nie tylko jej nauczycielką, ale także powierniczką wszelkich zmartwień i sekretów, z których nikomu innemu się nie zwierzała. W każdym razie mówiła jej o sprawach, w które zazwyczaj wtajemnicza się naprawdę bliskie osoby, na

przykład serdecznych przyjaciół. A oprócz tej niepozornej, skromnej i niemłodej już kobiety Kinga innych przyjaciół nie miała. Dziś po raz kolejny przekonywała się, jak mylące okazują się przynajmniej niektóre stereotypy. Na przykład te dotyczące nieurodzivych panien, które lata młodości miały już za sobą i raczej porzuciły już nadzieję na zamążpójście. Wedle powszechnej opinii powinny to być żałosne stworzenia, okazujące na każdym kroku swoje rozgoryczenie i złość wobec świata i bliźnich, zdane na łaskę – i niełaskę – swoich krewnych, nudne i nieznośne w kontaktach. Cała ta charakterystyka do panny Adamskiej zupełnie nie pasowała. Przekroczywszy czterdziestkę, była już uważana za starą pannę. Niewysoka, chuda – skóra i kości, mawiali złośliwi – o bladej twarzy, zmatowiałych, niegdyś podobno jasnych, a teraz raczej szarego koloru włosach, upiętych w ciasny węzeł, prezentowała się tak niepozornie i przeciętnie, że w większym gronie prawie jej nie dostrzegano. Zwłaszcza że nosiła skromne suknie, których krój i fason już dawno wyszły z mody, podobnie jak materiał, z którego zostały uszyte. Z pewnością więc nie rzucała się w oczy i bynajmniej nie rościła sobie pretensji, aby błyszczeć w towarzystwie. Jak sama mawiała, życie w cieniu także ma swoje zalety, a kto wie, czy pod wieloma względami nie jest bardziej interesujące niż przebywanie na świeczniku. A jednak, gdy czasem włączała się do rozmowy, gdy wypowiadała swoje zdanie, natychmiast gasiła inne panie. To, co miała do powiedzenia, nawet jeśli wzbudzało dezaprobatę – a nierzadko tak właśnie było – przykuwało jednak powszechną uwagę. Jej blada, nieładna twarz nabierała wyrazu, i nawet jej oczy, zazwyczaj słabo widoczne za szklami, w takich wypadkach stawały się na tyle wyraziste, że można było dostrzec ich błękit. Nie znaczy to, by panna Adamska była często zapraszana na większe zebrania; panie z towarzystwa na ogół za nią nie przepadały i pod wieloma względami nie uważały za równą sobie, ona sama zresztą najlepiej

czuła się u siebie w domu lub w wąskim gronie podobnych do niej osób. Była jednak lubiana i szanowana przez swoich uczniów; Kinga bardzo się do niej przywiązała i niezwykle ją ceniła. Przed laty przychodziła do panny Adamskiej z Klementyną; razem pobierały lekcje śpiewu i fortepianu. Potem Klementyna przyjęła oświadczenia Aleksandra Jankiewicza i uznała, że czas najwyższy skończyć z lekcjami, a całą jej uwagę zajęły przygotowania do ślubu. Zgadzała się z opinią matki, która twierdziła, że córka powinna się teraz przysposabiać do roli pani domu, zaś zajęcia u panny Adamskiej to już niepotrzebna fanaberia. Pewnie, na co jej to całe muzykowanie, skoro złapała już kandydata na męża, skwitowała kucharka, dzieląc się tą uwagą z Zosią (broń Boże z Tomaszową).

Doktorowa uważała zresztą, że także w przypadku Kingi dalsze lekcje nie są już potrzebne. Co jest dobre – czy nawet wskazane – dla młodziutkich panienek, traci rację bytu w przypadku dorosłej panny, która i tak niczego więcej już się nie nauczy. A i wydatek niemały – miało to jeszcze sens w przypadku zajęć dla obu dziewcząt. W żadnym razie w przypadku, gdy dotyczyło tylko jednej. To znaczy konkretnie mnie, uznała Kinga. Szczęśliwie doktor, który rzadko kiedy wtrącał się do podobnych spraw, tym razem kategorycznie sprzeciwił się żonie. Nie widzę powodu, aby odmawiać dziewczynie tego zajęcia, skoro tak je lubi – oświadczył. Przynajmniej, zamiast marnotrawić czas w domu na nie wiadomo czym, zrobi coś pożytecznego. Nie uważał też, że kontynuowanie lekcji muzyki to wydatek, który zrujnuje domowy budżet, a wobec tak zdecydowanego stanowiska męża, doktorowej nie wypadało dłużej upierać się przy swoim. W przeciwnym razie mogłoby to nawet wywołać całą lawinę plotek i spekulacji, zwłaszcza że Kinga była przecież jej siostrzenicą.

– Ale wiem, że długo się już nie nacieszę tymi lekcjami – westchnęła Kinga, dorzucając tym samym kolejny kamyczek do litanii skarg pod

adresem ciotki. – Nasze spotkania są dla niej kamieniem obrazy. I nie chodzi jej tylko o lekcje fortepianu, za które płaci wuj, ale w ogóle o sam fakt, że do pani przychodzę, że rozmawiamy, że opowiadam pani o moich sprawach. Podejrzewa, że skarżę się na nią.

– A nie jest tak? – uśmiechnęła się przekornie Adamska, nalewając kawy do filiżanek. – Chyba ma trochę racji.

– To nie jest zabawne – nadąsała się dziewczyna.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– Jest pani jedyną osobą, której o tym mówię. Nikomu innemu tak nie ufam. – Zasepiła się. – Co mam teraz zrobić? Co mi pani radzi?

– Porozmawiaj z wujem – odparła po chwili Adamska, wręczając Kingde gorącą filiżankę. – Jemu także nie ufasz?

– Z wujem? Nie. – Kinga wzruszyła ramionami. – Nie będę mu zawracać głowy.

– Dlaczego? Odniosłam wrażenie, że to spokojny i rozsądny człowiek. Na pewno by cię zrozumiał.

– Na pewno, ale niewiele mógłby zrobić.

– Nie wierzę w to. Sama zresztą wspominałaś, że nieraz interweniował w twoich sprawach...

– Ale tu chodzi o coś innego, znacznie poważniejszego – odparła zdecydowanie dziewczyna. – Poza tym to ciotka jest moją krewną, a on tylko jej mężem.

Usłyszawszy to, Adamska się roześmiała, ale umilkła, gdy zobaczyła rozżalone spojrzenie swojego gościa.

– Wiem, że to, co powiedziałam, nie zabrzmiało mądrze, ale taka jest prawda – mruknęła Kinga. – W tej sprawie to ciotka ma decydujący głos.

– Myślę, że jesteś w błędzie. – Adamska popatrzyła z sympatią na swoją

uczennicę. – Doktor Burgiewicz ma tu przynajmniej tyle do powiedzenia, co jego żona.

– To nie takie proste. – Kinga ponownie pokręciła głową i skosztowała kawy, odstawiła filiżankę. – Zresztą nie chcę go niepokoić i zasmucać.

– Dlaczego? – spytała ostrożnie nauczycielka.

– Bo nigdy tego nie robiłam. – Kinga zaczerwieniła się lekko. – To znaczy... Tak, ma pani rację, on czasem rzeczywiście bronił mnie przed ciotką. Ale wcale nie dlatego, że mu się skarżyłam. Po prostu sam czasem coś dostrzegał... Coś, co mu się nie podobało. Ale często jest nieobecny, zajęty, dużo pracuje. Nikt w rodzinie nigdy nie zawracał mu bez potrzeby głowy. Ani moi kuzyni, ani nawet moja ciotka. Więc tym bardziej ja tego nie robiłam... I nie będę robić. Może trudno to zrozumieć, a ja nie umiem tego dobrze wytłumaczyć, ale proszę mi wierzyć...

– Z niczego nie musisz mi się tłumaczyć – zaproponowała łagodnie Adamska. – Nie mam prawa wypytywać o tak delikatne sprawy. Po prostu uważam doktora za rozsądnego, miłego człowieka, którego z pewnością nie musisz się obawiać, ale... Chyba rozumiem, co mi próbujesz powiedzieć. Tyle że w takiej sytuacji trudno mi udzielić jakiejś rady. Zrobisz tak, jak uznasz za stosowne.

– Ale ja nie wiem, co mam robić! – zawołała z rozpaczą dziewczyna. W rozmowie z ciotką starała się panować nad emocjami, teraz jednak nareszcie mogła być sobą. – Jak już wspomniałam, czuję, że jestem niekonsekwentna. Powinnam unieść się honorem i odejść, zamiast trzymać się na siłę domu, w którym znalazłam się tylko dlatego, że nie było nikogo innego, kto by się mną zajął. Ciotka nigdy mnie tam nie chciała, a wuj nie zdołał zmienić jej nastawienia. Zawsze mi tylko powtarzała, że jestem sierotą przyjętą z łaski. Ale dziś przeszła samą siebie. Nazwała mnie chwastem,

który pleni się tam, gdzie go nie chcą. Owocem zatrutego drzewa...

– Coś podobnego! – Po wargach nauczycielki przemknął lekki uśmiech, a w oczach na moment zapaliło się osobliwe światełko. – Nie przypuszczałam, że panią Burgiewiczową stać na tak górnolotne określenia.

– Ma pani na myśli porównanie do chwastu? – zachnęła się Kinga.

– Bynajmniej. Ale owoc zatrutego drzewa brzmi jak cytat z jakiejś powieści. A może twoja ciotka była ostatnio na przedstawieniu w teatrze?

– Rzadko tam bywa. O aktorkach ma jeszcze gorsze zdanie niż o mnie. – Pomimo że Kinga dokładała wszelkich starań, by włożyć w swoje słowa jak najwięcej sarkazmu, również nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Zaraz jednak spoważniała. – To na nic. Nie mogę tak po prostu unieść się honorem i odejść. Nie jestem dość wykształcona ani utalentowana, aby poradzić sobie sama w życiu. Nie jestem taka jak pani – dokończyła z żalem.

– Zapewniam cię, że i ja nie jestem tak wyedukowana i utalentowana, jak bym sobie tego życzyła – sprostowała łagodnie nauczycielka.

– Tylko tak pani mówi, aby mnie pocieszyć – zaoponowała Kinga. Zabrzmiało to niemal jak pretensja.

– Nic z tych rzeczy. Pani Burgiewiczowa przynajmniej w jednym ma rację: niczego więcej już cię nie nauczę, bo faktycznie moje kwalifikacje na to nie pozwalają. Mogłam nauczyć cię pewnej wprawy i techniki w graniu i śpiewie, ale artystki z ciebie nie zrobię, bo sama nią nie jestem.

– Według mnie jest inaczej.

– Żaden znawca, wybitny wykonawca czy kompozytor nie podzieliliby twojej opinii. Ani profesorowie konserwatorium muzycznego. Być może w młodości rokowałam, ale doskonalenie warsztatu wymagało czasu i pieniędzy, których nie miałam. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by poświęcić się czemuś, co mogło okazać się jedynie mrzonką o prawdziwym talencie. Zamiast tego musiałam pracować i zarabiać na utrzymanie. –

W wesołym tonie panny Adamskiej dało się jednak słyszeć zadumę, może żal, a to spostrzeżenie na moment odwróciło uwagę Kingi od jej własnych problemów.

– Wyobrażam sobie, jak musiało być pani przykro z tego powodu – rzekła cicho.

– Tak, początkowo chyba rzeczywiście tak było – odparła Adamska, już bez cienia sentymentu w głosie. – Na ogół tak bywa, gdy musimy pożegnać się z jakimś marzeniem. Ale skoro nie ma innego wyjścia, nie można zbyt długo tego rozpamiętywać, tylko iść do przodu. Roztrząsanie, co by było, gdyby, do niczego nie prowadzi. Szkoda na to czasu. I życia. Ja z mojego jestem całkiem zadowolona. Radzę sobie, to najważniejsze. A nikt nie mógłby mi zagwarantować, czym skończyłaby się moja ewentualna gonitwa za marzeniami o wielkiej sławie. Najpewniej niczym, o zdobyciu sławy decyduje cały szereg czynników, nie zawsze tylko ciężka praca czy nawet talent. A bywa i tak, że te zalety okazują się najmniej przydatne.

Kinga przez chwilę milczała, po czym westchnęła.

– Nawet jeśli jest tak, jak pani mówi, nie zmienia to faktu, że ja nie zapracowałam na swoje utrzymanie. Właściwie niczego wystarczająco dobrze się nie nauczyłam. Na pewno nie mogłabym zostać nauczycielką... ani nawet szwaczką. – Skrzywiła się. – Wątpię też, czy poradziłabym sobie jako panna sklepowa. A do fabryki albo na służbę przecież nie pójde.

– Szczerze mówiąc, też sobie tego nie wyobrażam – zauważyła komicznie panna Adamska. – Jeśli zatem, tak jak twoja ciotka, uważasz, że siedzenie jej dłużej na karku oznacza brak honoru, to chyba rzeczywiście nie pozostaje ci nic innego, jak zastanowić się nad kandydaturą tego pana... Milewicza. Dobrze zapamiętałam nazwisko?

Kinga sposepniała jeszcze bardziej i aby zyskać na czasie, ponownie sięgnęła po wystygłą już kawę.

– Nigdy nie chciała pani wyjść za mąż? – spytała w pewnej chwili.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że tak nieoczekiwane pytanie mogło zaskoczyć Adamską, a nawet wprowadzić ją w konsternację czy urazić, ale nauczycielka nie dała niczego po sobie poznać. Nadal popijała swoją kawę, jakby gawędziły o jak najbardziej trywialnych sprawach, jakby dzieliły się zupełnie nieszkodliwymi ploteczkami. Jediną oznaką wzburzenia – a może wzruszenia – było nieznaczne drgnienie, które przebiegło przez jej twarz. Lecz równie dobrze mógł to być zupełnie przypadkowy grymas, o ile nie zwykła iluzja, uznała Kinga.

– Skądże znowu! – odparła po chwili pogodnie Adamska. – Przed wielu laty byłam pod tym względem taką samą gąską jak niemal wszystkie młode dziewczęta. Niczym się od nich nie różniłam. Marzyłam o księciu z bajki, o bohaterze, o rycerzu na białym koniu... Głowę miałam nabitą banialukami, które wyczytałam w romansach.

Słuchając tego, Kinga poczuła lekkie ukłucie w sercu. Ciotka Maria wygłosiła niemal identyczną opinię, tyle że nie uczyniła tego tak lekkim, bez mała wesołym tonem. W sumie jednak wychodziło na to samo.

– Ale potem zmieniła pani zdanie? – spytała cicho.

– Tak, potem zmieniłam zdanie – odparła nauczycielka, ale już zupełnie innym głosem. Odstawiła pustą filiżankę i choć w pierwszej chwili najwyraźniej zamierzała sięgnąć po dzbanek i dolać sobie gorącego napoju, cofnęła rękę i w zamyśleniu, ponad głową dziewczyny, zapatrzyła się w okno. – Zmieniłam zdanie, bo rzeczywiście pojawił się ów książę z bajki, ten wyśniony rycerz, a przynajmniej ja tak o nim myślałam. Wierzyłam, że zabierze mnie do swojej zaczarowanej krainy albo chociaż do lepszego świata. Ale on ostatecznie ożenił się z inną; nie była wprawdzie księżniczką, nie miała urody ani szczególnych zalet charakteru, naprawdę niczym szczególnym się nie wyróżniała poza jednym – odziedziczyła po babce duży

majątek. A mój książę poza arystokratycznym pochodzeniem był goły jak święty turecki. Mój ojciec ostrzegał mnie przed nim, ale sama wiesz, jaka jest młodość. Nie chciałam słuchać, musiałam przekonać się na własnej skórze. No to się przekonałam.

– Miał tytuł książęcy? – zainteresowała się mimo woli Kinga. Wpatrywała się jak zaczarowana w nauczycielkę, którą wprawdzie zawsze uwielbiała, ale nie podejrzewała o tak romantyczne przeżycia w przeszłości. Tego typu historie po prostu nie przytrafiały się takim kobietom jak panna Adamska, a w każdym razie do nich nie pasowały.

Nauczycielka ponownie się roześmiała i sięgnęła po dzbanek, dając tym samym do zrozumienia, że opanowała już krótkotrwałe wzruszenie. A przynajmniej chciała stwarzać takie pozory.

– Tytułu, zdaje się, nie miał żadnego, ale ja i tak nazywałam go w myślach księciem. Rzeczywistość była dużo bardziej prozaiczna. Odziedziczył majątek, który po powstaniu, a zwłaszcza po dekrete uwłaszczającym chłopów, wpadł w poważne kłopoty. Wprawdzie mój ojciec jako administrator posiadłości dwoił się i troił, by wyprowadzić wszystko na prostą, ale młody pan miał zbyt lekką rękę do wydawania pieniędzy i w rezultacie coraz bardziej tonął w długach. Uznał, że małżeństwo z zamożną panną jest dla niego jedynym ratunkiem, ale prawda wyglądała tak, że nigdy nie traktował mnie poważnie. Byłam dla niego jedynie córką administratora, która umiała mu czas, ale nikim ponadto. – Wzruszyła ramionami. – W sumie banalna historia, jakich wiele. Ja przynajmniej wyciągnęłam z niej właściwe wnioski. Obiecałam sobie, że nigdy już nie będę niczyją zabawką, i po śmierci ojca postanowiłam sama o sobie zadbać.

Patrząc na nauczycielkę, Kinga ponownie pozwoliła sobie na spostrzeżenie, jak bardzo Adamska nie pasowała do opowiedzianej przed chwilą historii. Oczywiście z wyjątkiem jej zakończenia.

– Uważa pani, że powinnam postąpić podobnie? – spytała jeszcze ciszej niż poprzednio. – To znaczy spróbować jednak stanąć na własnych nogach i takie tam...?

– Ty chyba nie zawiodłaś się na żadnym księciu? – zauważyła komicznie Adamska.

– Przecież pani wie, co mam na myśli – zniecierpliwiła się Kinga. Dobry nastrój nauczycielki zaczynał ją już drażnić. Zaczynała podejrzewać, że tym razem trywializuje jej problemy.

– Przecież zgodziłyśmy się co do tego, że nie możesz pójść w moje ślady. Nie masz odpowiednich kwalifikacji, a praca niewykwalifikowanej robotnicy nie wchodzi w grę.

– A zatem nie pozostaje mi nic innego, jak wyjść za mąż? W dodatku za tego... – Kinga poderwała się z krzesła i zaczęła spacerować po niewielkim pokoju. – Nie pojmuję, dlaczego tak to panią bawi – dodała z wyrzutem.

– Wybacz, jeśli cię uraziłam. – Adamska uniosła dłoń w uspokajającym geście. – Naprawdę nie miałam takiego zamiaru. Podchodzisz do tego w tak emocjonalny sposób...

– A niby w jaki inny sposób mam podchodzić? – przerwała jej ze złością Kinga. – Ciotka chce mnie sprezentować jakiemuś nudziarzowi z zapadłej prowincji, a robi to tylko po to, aby się mnie pozbyć. I w dodatku trzymać jak najdalej od Warszawy!

Nic tu po mnie, pomyślała z żalem. Panna Adamska zupełnie mnie nie rozumie. I dlatego nie może mi pomóc. Nie każda potrafi sobie tak poradzić w życiu jak ona. Przeważnie jest to dużo bardziej skomplikowane.

– Pójdę już – mruknęła, sięgając po torebkę. – Nie będę dłużej pani zanudzać. I tak nie znajdziemy dobrego rozwiązania.

Skierowała się do drzwi, ale w tej samej chwili Adamska podniosła się i położyła dłoń na jej ramieniu.

– To wcale nie jest tak, że musisz podporządkować się woli twojej ciotki – rzekła łagodnym, lecz tym razem jak najbardziej poważnym tonem. – Tak naprawdę ona nie może cię zmusić do małżeństwa i nie może wypowiedzieć ci domu.

– Oczywiście, że mnie nie wyrzuci, choćby w obawie przed tym, co ludzie powiedzą – odparła rozdrażniona Kinga. – A poza tym pewnie ma pani rację, że wuj by na to nie pozwolił. Niemniej będzie mi stale okazywała, jakim jestem dla niej ciężarem. Prawdziwym skaraniem boskim. I co gorsza, trudno mi się będzie temu przeciwstawiać, o wiele trudniej niż do tej pory. Chyba tego nie zniosę, a pani nie potrafi dać mi żadnej rady.

– Bo nie chcę poradzić źle – przyznała z prostotą nauczycielka. – To zbyt delikatna sprawa... Zbyt osobista i wiążąca. Mogę ci tylko powiedzieć, jak ja bym postąpiła na twoim miejscu... Zresztą już to zrobiłam. Chyba dobrze mnie zrozumiałaś?

– Tak – odparła ponuro Kinga. – Pani nie wyszłaby za męża za Milewicza.

– Nie wyszłabym za człowieka, do którego czułabym taką antypatię jak ty do tego pana. Płomienna miłość nie musi być warunkiem małżeńskiego szczęścia, lecz pogarda i niechęć to bez dwóch zdań zapowiedź wielkiego nieszczęścia.

– Wiem. – Kinga skinęła głową. Sięgnęła po podany jej przez gospodynię płaszcz i kapelusz, a potem na pożegnanie uściśnęła dłoń Adamskiej. – Do zobaczenia i dziękuję.

– Obawiam się, że nie masz za co mi dziękować – westchnęła ze szczerym żalem nauczycielka. – Oczekiwałaś, że pomogę ci podjąć decyzję, a ja cię zawiodłam.

Kinga się zawahała, lecz w jej spojrzeniu nie było już śladu niedawnego zniecierpliwienia i urazy.

– Ani razu mnie pani nie zawiodła – odparła spokojnie. – Pani jedna...

i jeszcze kiedyś, przed laty, mój dziadek. Naprawdę jestem pani wdzięczna. Za wszystko.

Przez krótką chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– Niezależnie od tego, co postanowisz i dokąd się udasz, zawsze będziesz tu mile widziana – odezwała się wreszcie nauczycielka. Wyciągnęła ręce i przygarnęła do siebie dziewczynę. – Mam nadzieję, że o mnie nie zapomnisz.

ROZDZIAŁ 8

Opuściwszy kamienicę, w której mieszkała Adamska, Kinga nie mogła się oprzeć, by raz jeszcze nie rzucić okiem na okna na trzecim piętrze. Od ponad sześciu lat przychodziła tu raz w tygodniu na lekcje muzyki, a poza tym od czasu do czasu wpadała na pogawędki. Teraz wiedziała, że pierwszy powód stracił rację bytu. Przynajmniej w tej jednej kwestii już podjęła decyzję – koniec z zajęciami gry i śpiewu. Skoro ciotka w taki, a nie inny sposób stawiała sprawę, nie należało dawać jej powodów do kolejnych pretensji. Powie jej o tym, gdy tylko znajdzie się w domu. Nie będzie zwlekać.

Przy okazji uświadomiła sobie coś jeszcze – po raz pierwszy od lat wspomniała na głos o swoim dziadku. Nie robiła tego, odkąd zamieszkała z wujostwem, a dokładniej od dnia, gdy została tu przywieziona po pogrzebie dziadka. Jego śmierć nie do końca jeszcze wtedy do niej docierała. Z jednej strony oczywiście wiedziała, co się stało; z drugiej – niezupełnie to rozumiała. Nawet wtedy, gdy obserwowała, jakie zmiany wywoływała jego choroba; starszy pan z tygodnia na tydzień tracił na wadze tak bardzo, że czasami miała wrażenie, jakby znikał w oczach. Do tego stawał się coraz słabszy i choć póki mógł, starał się być aktywny, w pewnym momencie poddał się i nie opuszczał już łóżka. Mimo to Kinga w ogóle nie brała pod uwagę tego, że miałby nie wyzdrowieć. Nie pamiętała rodziców, wobec tego nikt inny jak właśnie dziadek znajdował się w centrum jej życia, on pomagał

jej w rozwiązywaniu dziecięcych problemów i rozterek, on odpowiadał na wszystkie trudne pytania, na które inni ludzie, na przykład jej niania, nie potrafili znaleźć odpowiedzi. On jeden nigdy nie okazywał jej zniecierpliwienia. Jak to zatem możliwe, by teraz mogło go zabraknąć? To po prostu nie mieściło się w jej głowie, a gdy niania, sąsiedzi i różni inni ludzie próbowali ją do tego przygotować, patrzyła na nich wielkimi ze zdumienia oczami, a potem w ogóle przestawała ich słuchać. Nawet wtedy, gdy przyprowadzono ją do jego pokoju, gdy patrzyła na jego nieruchomą twarz i zamknięte powieki, nie przyjmowała do wiadomości tego, co się stało. Dziadek zasnął, być może będzie spał bardzo długo – ostatnio tak przecież bywało – ale w końcu się obudzi. Uśmiechnie się do niej i nawet gdy będzie mówił tak cicho, że ona nie zrozumie ani słowa – do tego także zdążyła się już przyzwyczaić – lub może nawet nie zdoła wydobyć z siebie głosu, to i tak będzie wiedział, że wnuczka jest przy nim. Małej Kingdze wystarczy jego pełne miłości i ciepła spojrzenie. Niech tylko i tym razem otworzy oczy, a zniknie ten kłujący ból w piersiach, te gwałtowne uderzenia serca, i to dławienie w gardle, które sprawiało, że drżała na całym ciele. Obecność ciotki Marii, która przyjechała do ojca w ostatnich dniach jego choroby, a potem czuwała przy jego trumnie, bynajmniej nie działała na dziewczynkę uspokajająco, wręcz przeciwnie. Rezerwa i chłód, z jakim Burgiewiczowa odnosiła się do siostrzenicy, mogły zastanowić niejedną dorosłą osobę, ale ośmioletnia Kinga tego nie analizowała. Wciąż przecież nie potrafiła i nie chciała przyjąć do wiadomości, że czekają ją wielkie zmiany w życiu. To, co do tej pory uważała za pewne i niepodważalne, czyli miłość, oddanie i poczucie bezpieczeństwa, które zapewniał jej dziadek, nieodwołalnie się skończyło. Miała zamieszkać z ludźmi, którzy podobno byli jej bliską rodziną, ale których na dobrą sprawę nie znała. Na takie zmiany Kinga nie była gotowa i dlatego broniła się przed przyjęciem ich do wiadomości.

Nie chciała przed zamknięciem trumny pożegnać zmarłego – takie pożegnanie oznaczałoby, że pogodziła się z tym, że widzi go po raz ostatni, a tak przecież nie było. Nie miała zamiaru tego zaakceptować. Zaparła się w drzwiach, a kiedy czerwona z wysiłku i zażenowania niania próbowała siłą wprowadzić ją do salonu, dziewczynka z całej siły chwyciła się framugi. Kątem oka spostrzegła poruszenie wśród żałobników, w tym także pełne dezaprobaty spojrzenie ciotki Marii. Usłyszała też, że kilka osób z oburzeniem komentowało jej zachowanie, ale nie zamierzała ustąpić. Perswazje niani w ogóle do niej nie docierały, lecz kto wie, czy w końcu nie byłaby zmuszona do kapitulacji – nie miała przecież wystarczających sił, by walczyć i opierać się bez końca – gdyby nie interwencja wuja Stefana. Zostawcie to dziecko w spokoju, zażądał spokojnym, lecz zarazem kategoriycznym tonem. W każdym razie poskutkowało, na pewien czas dano jej spokój. I tylko niania, już w drodze do kościoła, oznajmiła jej, że dawno się takiego wstydu przez nią nie najadła. Całe miasteczko i okolice będą miały o czym mówić przez najbliższe dni, stwierdziła na koniec. Tego właśnie dnia Kinga po raz pierwszy miała usłyszeć, ileż kłopotu mają przez nią ci wszyscy, którzy dokładali wszelkich starań, by ją jak najlepiej wychować. Kinga nie przejęła się jednak tym gadaniem – dziadek przecież nigdy nie narzekał na jej zachowanie ani jej nie karmił, i tylko to się dla niej liczyło. Zachowała jednak tę refleksję dla siebie, uznała, że nie ma sensu dzielić się nią ani z opiekunką, ani z nikim innym. Już wtedy postanowiła, że nie będzie rozmawiała o dziadku, bo nikt i tak nie zrozumie jej słów. Czasem będzie do niego mówiła, ale oczywiście tylko wtedy, gdy nie będzie żadnych innych słuchaczy. A czy dziadek da jej w jakiś sposób do zrozumienia, że ją usłyszał, czy nie – o to już mniejsza. W ciągu ostatnich tygodni jego choroby przywykła, że nie zawsze jej odpowiadał.

To postanowienie pomogło jej przetrwać ceremonię pogrzebową, a potem

podróż do Warszawy i każdy z kolejnych dni, miesięcy i lat. Było też pomocne w znoszeniu kolejnych przykrości, zwłaszcza gdy ostatecznie straciła złudzenia, że zdoła pozyskać sympatię ciotki i przyjaźń kuzynki. Najważniejsze było przecież przekonanie, że nie została zupełnie sama na tym świecie, bo dziadek wciąż nad nią czuwa i nie pozwoli zrobić jej krzywdy. Uchroni ją też przed popełnieniem poważnego życiowego błędu. Z nikim jednak o nim nie rozmawiała. To była wyłącznie jej sprawa. Aż do dziś, gdy po raz pierwszy od lat wspomniała go w rozmowie z panną Adamską. Bo właśnie dziś z całą mocą uświadomiła sobie, że jednak nie wystarczy jej samo mówienie do niego bez oczekiwania na odpowiedź. Że jednak chciałaby go usłyszeć. W jakikolwiek sposób, choćby w głębi serca. Potrzebowała jakiegokolwiek znaku, że dziadek naprawdę nad nią czuwa, że to nie tylko jej wiara i pobożne życzenia.

Bez reszty pochłonięta myślami, nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się na ulicy Kruczej. Ciekawe, ilu znajomym nie ukłoniła się po drodze tylko dlatego, że ich nie zauważyła, skrzywiła się w duchu. Zapewne uznali ją za osobę niewychowaną albo impertynencką, w najlepszym razie roztrzepaną dziwaczkę. Dobrze będzie, jeśli przy okazji nie wspomną o tym ciotce Marii.

Odruchowo zwolniła kroku – jak zawsze, gdy zbliżała się do kamienicy wujostwa. Tym razem jednak przyszło jej do głowy, że skoro nie ma ochoty na małżeństwo z Milewiczem, nie powinna w takim razie w dalszym ciągu traktować mieszkania na Kruczej jako nieznośnego przymusu, wręcz kary Bożej. Nikt jej tu przecież na siłę nie trzymał – mogła odejść. Wyprowadzić się, ale dokąd? Małżeństwo i wyjazd na prowincję stanowiłyby tu jednak jakieś rozwiązanie, a ona sama nie byłaby pierwszą ani ostatnią, która tak postąpiła. A jednak na samą myśl o tym nogi się pod nią ugięły. Wystarczyło, że przywołała wizję wybranego dla niej kandydata, a gotowa była trzymać się nogami i rękami progu tej kamienicy, tak jak przed laty kurczowo chwyciła

się framugi drzwi, za którymi wystawiona była trumna jej dziadka. Nie, za nic w świecie, myślała gorączkowo, bo to tak, jakby się dać żywcem pogrzebać.

Przy czym nie chodziło o to, by uważała pana Milewicza za potwora w ludzkiej skórze. Ani jego powierzchowność, ani sposób bycia na to nie wskazywały. Po prostu zupełnie jej nie interesował, podobnie zresztą jak inni panowie, którzy albo byli stałymi bywalcami salonu ciotki, albo pojawiali się w nim jedynie od czasu do czasu. Rzadko który powiedział coś, co by ją zaintrygowało, w jakiś sposób przykuło uwagę. Nudzili ją albo dla odmiany irytowali, starali się być szarmanccy, zarazem jednak traktowali ją protekcyjnie, tak jak zazwyczaj tego typu mężczyźni odnoszą się do dziewczyny, która im się podoba, ale – przynajmniej w ich przekonaniu – prawie nic nie wie o świecie i potrzebuje przewodnika, który ją wszystkiego nauczy, oprowadzi, będzie jej tarczą i obroną. To tylko dodatkowo podnosiło jej walory w ich oczach. Tak samo traktowali zresztą inne panny, jednak Kinga, w przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt, nawet nie udawała, że sprawia jej to przyjemność. Zazwyczaj już po kilku minutach dawała do zrozumienia, że nie jest zainteresowana dalszą rozmową, a kiedy samo dawanie do zrozumienia nie pomagało, zaczynała odpowiadać monosylabami bądź – w skrajnych wypadkach – w ogóle przestawała się odzywać. Co oczywiście gniewało owych panów, którzy potem w poufnych rozmowach nie zostawiali na niej suchej nitki, ale przynajmniej dawali jej spokój.

Ci, którzy mieli coś ciekawego do powiedzenia, na ogół pojawiali się w salonie doktorowej sporadycznie, wyłącznie ze względu na pewne zobowiązania towarzyskie, które nie pozwalały zupełnie ignorować tak znanej i wpływowej w tym środowisku kobiety. Choć zdecydowanie najważniejszym powodem, dla którego od czasu do czasu pojawiali się na Kruczej, był doktor Stefan Burgiewicz, który, podobnie jak oni, zdawał sobie

sprawę, że nie może zupełnie ignorować tych zebrań. Nietrudno było się domyślić, że nie był ich entuzjastą, dlatego też, gdy już w żaden sposób nie mógł uniknąć wieczoru artystycznego, proszonego obiadu, herbatki i tym podobnych, starał się przynajmniej szukać towarzystwa podobnych do siebie ludzi.

Byli jednak i tacy, którzy pojawili się na Kruczej – obojętnie, czy na osobiste zaproszenie doktorowej, czy wprowadzeni tam przez kogoś z jej znajomych – więcej nie wracali. Niektórzy oczywiście dlatego, że nie przypadli do gustu pani domu lub jej przyjaciółkom. Lecz częściej sami zainteresowani podejmowali taką decyzję, zwłaszcza gdy ich jedyna wizyta przypadła w czasie nieobecności doktora i jego nielicznych, bardziej rozumnych gości.

Cezary Milewicz był właśnie jednym z tych gości, którzy sporadycznie odwiedzali dom Burgiewiczów, a wprowadziła go jedna z bliskich znajomych doktorowej, radczyni Wolska.

– Otworzył niedawno galanteryjny sklep w Warszawie, bardzo elegancki – mówiła z entuzjazmem. – Ma także drugi, w Pułtusku, prowadzi tam zresztą także inne interesy. A oprócz tego nabył ładny kawałek ziemi za Kleszewem, tam też najchętniej przebywa. W Warszawie pojawia się tylko przez wzgląd na ten sklep, ale zapewniam, że nie ma on nic wspólnego z tymi wszystkimi niedouczonejmi parweniuszami i prowincjuszami, którzy nie mają pojęcia o dobrym wychowaniu. Jest z pochodzenia szlachcicem, tyle że, podobnie jak wielu innych, został zmuszony do podjęcia się zajęć, od których jego rodzice i dziadkowie trzymali się z daleka. Lecz zapewniam, że to bardzo rozumny człowiek – podkreślała, wiedząc, że Burgiewiczowa starannie wybierała swoich gości. Choć oczywiście, dokonując tej selekcji, kierowała się własnymi kryteriami.

Pan Milewicz od pierwszej wizyty zyskał zresztą aprobatę doktorowej,

trzymał się jednak z boku, niewiele mówił, zdaniem niektórych sprawiał czasem wrażenie nieco zagubionego, niewyrobnionego towarzysko człowieka, co tłumaczono sobie faktem, że większość czasu spędzał na prowincji. Brzmiało to tak, jakby Pułtusk czy nawet Kleszewo znajdowały się w odległej guberni, a nie stosunkowo niedaleko od Warszawy. Milewicz najwyraźniej naprawdę nie chciał się rzucać w oczy, siadał zazwyczaj gdzieś w kącie, tak że przez pewien czas zastanawiano się, dlaczego w ogóle przychodził na Kruczą. A robił to za każdym razem, gdy przyjeżdżał w interesach do Warszawy. Najbliższe przyjaciółki doktorowej znały jednak odpowiedź na to pytanie, toteż stopniowo, w miarę upływu czasu, zamiary pana Cezarego stały się tajemnicą poliszynela. Choć w dalszym ciągu nie brakowało takich, którzy nie zdążyli się w nich zorientować.

W każdym razie Kinga miała w tej kwestii pewne podejrzenia, dopóki jednak ciotka nie wyartykułowała ich tak dosadnie i jednoznacznie jak podczas ostatniej rozmowy przy śniadaniu, niespecjalnie się tym przejmowała. Pana Milewicza ledwie dostrzegała. Tym bardziej więc nie łamała sobie głowy pytaniami, czy go lubi, czy nie, o odpowiedziach na nie już nawet nie wspominając. Nie wzbudzał w niej żadnych uczuć – ani pozytywnych, ani negatywnych. Było dokładnie tak, jak oświadczyła ciotce – nie miała temu człowiekowi nic do powiedzenia, a wnioskując z jego nieporadności w rozmowie, przekonała się, że i on nie miał pojęcia, jakie tematy z nią podejmować. W jej przekonaniu nie różnił się od innych mężczyzn, którzy próbowali ją adorować pod czujnym okiem ciotki. Choć musiała przyznać, że w przeciwieństwie do tamtych nie używał protekcyjnego tonu, który drażnił ją w najwyższym stopniu. Może dlatego, że był dość nieśmiały i nie czuł się zbyt pewnie na warszawskich salonach. Nawet jeśli w tym przypadku nie chodziło o prawdziwy arystokratyczny salon, a jedynie o jego mało udaną imitację. Oczywiście

Kinga dość szybko zorientowała się, że Milewicz darzy ją atencją, bo choć nie narzucał jej swojego towarzystwa, to – gdy tylko przychodził z wizytą – czuła na sobie jego spojrzenia, była też pewna, że i inni je dostrzegali. Niemniej wcześniej również zdarzały jej się podobne sytuacje i za każdym razem kolejni adoratorzy w końcu rezygnowali. Tym razem jednak było inaczej – Cezary Milewicz nie wydawał się zniechęcony jej obojętnością, a co gorsza, ciotka Maria najwyraźniej sprzyjała jego staraniom i determinacji. W przeciwnym razie nie zachęcałaby go tak serdecznie i wylewnie do kolejnych wizyt.

Drgnęła, gdy usłyszała swoje imię. Rozejrzawszy się wokół, nie zauważyła jednak nikogo znajomego, pomyślała więc, że albo się przesłyszała, albo ktoś zawołał inną osobę o tym samym imieniu. Z westchnieniem skierowała się więc do bramy i tam właśnie, w cieniu starego drzewa, na podwórzu spostrzegła Aleksandra. Przez chwilę nie była pewna, czy się nie pomyliła, czy to jednak nie ktoś inny, choć łudzaco podobny. Wiedziała, że o tej porze był zazwyczaj zajęty w swoim gabinecie. Poza tym nie przychodził zbyt często do teściów, a już na pewno nie wtedy, gdy było mało prawdopodobne, aby zastał Burgiewicza; na ogół starał się unikać spotkań sam na sam z panią domu.

Natychmiast poczuła przyspieszone uderzenia serca, choć nie była pewna, czy jej reakcja była spowodowana niepokojem, czy radością, że go widzi. Choć przecież jedno nie musiało wykluczać drugiego, przynajmniej nie w jej przypadku.

– Co ty tu robisz? Czy coś się stało? – spytała, mimowolnie rzucając spojrzenia na okna kamienicy. Nie chciała, aby ktokolwiek w tym momencie wyglądał na podwórze. Ani żaden z lokatorów, ani – przede wszystkim – ciotka. Burgiewiczowa nigdy nie była zadowolona, gdy widziała, że jej zięć przysiadł się do Kingi. Nie spuszczała z nich wzroku, gdy ze sobą

rozmawiali, i pod byle pretekstem przerywała ich pogawędkę. Choć przecież zawsze miało to miejsce albo podczas jakichś większych spotkań towarzyskich, albo w gronie rodziny. W każdym razie o tym, by mogli ze sobą pomówić na osobności, nie mogło być mowy. Kinga domyślała się, jakie podejrzenia chodziły ciotce po głowie, nic jednak nie mogła z tym zrobić. Burgiewiczowa nigdy nie wyartykułowała tych podejrzeń wprost, dlatego nie było żadnej możliwości, by im zaprzeczyć, niewykluczone zresztą, że nawet wtedy nie zmieniłaby zdania. Należała do osób, które bezgranicznie wierzą i ufają jedynie własnej intuicji, a jeśli już kogoś zaczęły podejrzewać o nieczne zamiary, to będą w tej opinii tkwić do końca życia. Kingę początkowo to gniewało, potem jednak dała za wygraną, a nawet niekiedy czerpała z tego pewną złośliwą satysfakcję. Skoro nie było najmniejszych szans, aby ciotka choć trochę odtajała w swej niechęci, to niech się przynajmniej pomartwi. Dobrze jej tak!

Niemniej teraz, gdy zupełnie niespodziewanie natknęła się na szwagra, mimo woli poczuła się niepewnie. Nie chciała dawać ciotce powodów do kolejnych oskarżeń, zwłaszcza w świetle tego, co wydarzyło się ostatnio.

– Nie stało się nic złego. – Aleksander uniósł uspokajająco dłoń, a potem, zupełnie niespodziewanie, podszedł szybko i ująwszy ją pod ramię, wyprowadził z podwórza z powrotem na ulicę. – Przejdźmy się kawałek. Chyba nie śpieszysz się do domu? – dorzucił, uśmiechając się porozumiewawczo.

Bez wątpienia domyślał się, że nie czuła się dobrze w tym miejscu, które nazwał domem, choć Kinga nigdy z niczego mu się nie zwierzała.

– Nie, ale... – wyjąkała zaskoczona i ponownie obejrzała się na podwórze.

Aleksander natychmiast to zauważył, lecz zdecydowanie pociągnął ją za sobą.

– Nie bój się, nie zajmę ci dużo czasu.

– Niczego się nie boję. – Zaczerwieniła się.

– I tego się trzymaj, kuzyneczko. – Mrugnął do niej zabawnie. – Postawa spłoszonego zająca nikomu w niczym nie pomogła. Trzeba być hardym, i to właśnie zawsze w tobie ceniłem. Nie zmieniaj się.

Za nic w świecie nie powiedziałaaby mu o podejrzeniach ciotki, wolałaby już raczej zapaść się pod ziemię, niemniej jego słowa zakłuły ją prosto w serce. W jej przypadku podobna rada nie mogła już mieć zastosowania. I właśnie uświadomienie sobie tej prawdy doskwierało jej najbardziej.

– To nie zawsze jest takie proste – mruknęła. – Sam przecież wiesz, że czasami... – Zawiesiła głos, choć zdawała sobie sprawę, że Aleksander czekał na jej dalsze słowa.

– Wiem, że nie można dopuścić, aby ktokolwiek wchodził nam na głowę – odparł, wzruszając ramionami. – Dotąd byłem pewien, że uważasz tak samo.

Zarówno te słowa, swobodny ton, jakim zostały wypowiedziane, wreszcie nonszalanckie wzruszenie ramionami napełniły Kingę nową falą goryczy.

– Dobrze ci mówić. Ty, jako mężczyzna, zawsze możesz sobie pozwolić na więcej.

– A teraz, dla odmiany, odniosłem wrażenie, jakbym dostał reprimendę od sufrażystki. Szczerze mówiąc, sam już nie wiem, co jest gorsze.

– Jaką masz do mnie sprawę, drogi kuzynie? – zniecierpliwiła się.

Zdążyli się już oddalić od kamienicy na Kruczej, nie była jednak pewna, czy powinna kontynuować tę przechadzkę.

– Może przejdziemy się do pobliskiego parku? – zaproponował. – Chyba nie jesteś aż tak dokładnie rozliczana z godzin nieobecności w domu?

Usłyszawszy taką odpowiedź, ponownie się zirytowała.

– Mniejsza o mnie, kuzynie. Bardziej mnie zastanawia, czy to raczej ty nie powinienes teraz przyjmować chorych w swoim gabinecie. Zdaje się, że właśnie w ten sposób zarabiasz na życie? – odcięła się złośliwie.

– Nie zaniedbuję mojej pracy, zakładałem, że powinnaś o tym wiedzieć – odparł swobodnie.

– Więc może powinienes czas wolny od zajęć poświęcić swojej żonie? – Zaledwie wypowiedziała te słowa, natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. Najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. – Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma – mruknęła, ale tak cicho i niewyraźnie, że wcale nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał.

Znajdowali się już nieopodal niewielkiego parku, który wiosną i latem tonął w zieleni, a wczesną jesienią skrzył się kolorami. Teraz, w listopadzie, miejsce to nie zachęcało do przechadzek, nawet jeśli powietrze było stosunkowo łagodne i ciepłe, jak na tę porę roku. Nic więc dziwnego, że oprócz nich obojga było tu zaledwie kilka osób.

– Czy to prawda? – spytał znienacka Aleksander.

Zaskoczył ją bezpośredniością. I dlatego, choć od razu odgadła, o co mu chodziło, nie odpowiedziała ani słowem.

– Zgodzisz się na to? – indagował, zupełnie niezrażony jej milczeniem. W jego głosie usłyszała wyraźne napięcie. Swobodny, nonszalancki ton zniknął niemal bez śladu. – Wyjdiesz za niego?

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

– Jeszcze mi się nie oświadczył – odparła, siląc się na obojętność.

– A gdy to zrobi... zgodzisz się?

– Nie mam pojęcia, czy to robi – odparła rezolutnie. A przynajmniej miała nadzieję, że tak to zabrzmiało. – Wobec tego nie widzę powodu, abym zastanawiała się nad odpowiedzią.

Ujął ją pod łokieć, zmuszając do zatrzymania się pośrodku alejki.

– Fakt, że twojej ciotce bardzo na tym zależy, nie oznacza, że musisz być jej posłuszna – rzekł cicho. – To twoje życie.

– Moje życie? Co ty powiesz? – Ponownie się zirytowała, równocześnie starając się zapanować nad wzbierającą falą goryczy. – Naprawdę uważasz, że masz prawo pouczać mnie w tym względzie? Właśnie ty?

Nie rozgniewał się, choć po wyrazie jego oczu poznała, jak bardzo poruszyły go jej słowa. Uniósł dłoń i delikatnie dotknął jej policzka. Wiedziała, że powinna się cofnąć albo w jakikolwiek inny sposób dać mu do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych czułych gestów z jego strony, ale nie zrobiła tego. Nie zareagowała, nie okazała dezaprobaty. Nie potrafiła i nie chciała się na to zdobyć.

Nie odrywali od siebie wzroku.

– Wychodząc za tego człowieka, nie uszczęśliwisz jego ani siebie – odparł Aleksander. Wciąż mówił cicho i pewnie dlatego odebrała jego słowa nie tyle jako próbę przekonania jej czy perswazji, lecz jak nieśmiałą prośbę. – To się nie uda, a możesz mi wierzyć, że wiem, o czym mówię... Jedyną zadowoloną z tego układu będzie twoja ciotka. I nikt inny – dodał już bardziej stanowczo.

Teraz i ona dotknęła dłoni, która głaskała jej policzek. Najpierw zacisnęła na niej palce, a potem zdecydowanym ruchem odsunęła się od niego.

– Obiecuj, że tego nie zrobisz. – Znowu prosił. – Że nie popełnisz mojego błędu.

Zacisnęła dłonie – od lat był to jej wypróbowany i skuteczny sposób, by opanować emocje i zachować spokój. Tym razem także poskutkował, choć nie od razu. Przede wszystkim jednak odezwał się w niej dawny żal za własnym niespełnionym, dziecięcym jeszcze wówczas marzeniem, do którego przecież od dawna już nie wracała. Zdążyła je nawet pogrzebać. Jak widać nieskutecznie, skoro wystarczył ten spacer, krótka rozmowa i jeden

dotyk. Nagle przyszło jej do głowy, że może ciotka miała rację, gdy w taki sposób organizowała wszelkie towarzyskie spotkania, by oni oboje mieli jak najmniej okazji do rozmowy sam na sam? Być może to wcale nie ciotka była głupia, tylko właśnie ona, Kinga? Na samą myśl, jak zareagowałaby Burgiewiczowa, gdyby zobaczyła w tym momencie swojego zięcia i siostrzenicę albo gdyby ktokolwiek jej o tym doniósł, niemal zdrętwiała. Nie tyle ze strachu, co z upokorzenia.

– Jak słusznie zauważyłeś, to moje życie. I moje ewentualne błędy. Nie widzę powodu, abym miała ci cokolwiek obiecywać – odparła oschłym, niechętnym tonem. Mimo woli wzdrygnęła się, bo w gruncie rzeczy nie chciała przecież, aby zabrzmiało to tak nieprzyjaźnie.

Wykonał taki ruch, jakby chciał ponownie znaleźć się przy niej blisko i ująć ją za rękę, ale cofnęła się o dwa kroki, nie odwzajemniając spojrzenia.

– Wiem, że czujesz do mnie żal – westchnął. – Wiem, że zawracam ci teraz głowę, ale... – Podążył w ślad za jej spojrzeniem i zapatrzył się na nagie gałęzie pobliskiego dębu. – Domyślam się nawet dlaczego, ale...

– Nie interesują mnie twoje domysły – przerwała mu gwałtownie. Kolejne domysły na mój temat, dodała już tylko w myślach. Żałowała, że nie miała woalki, którą mogłaby zakryć rozpłomienioną twarz. – Jeśli to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia, to pozwól, że cię pożegnam.

– Kingo...

Wiedziała, że nie mogła pozwolić, by mówił dalej. I bez tego miała zamęt w głowie. I bez tego czuła się zupełnie pogubiona. Lecz przynajmniej jeszcze nie do końca zgubiona, a niewykluczone, że tak by się stało, gdyby słuchała go dalej. I gdyby ponownie pozwoliła mu się dotknąć.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w kierunku ulicy Kruczej. Obejrzała się dopiero wówczas, gdy ponownie znalazła się blisko domu, choć przecież nie wierzyła, aby szedł za nią. Wiedziała, że powinna

przyjąć to z ulgą, a jednak zupełnie niespodziewanie poczuła żal. Jakby w głębi duszy chciała go znów zobaczyć na podwórzu, w cieniu starego drzewa. Jakby ponownie zapragnęła, by ujął ją pod ramię i wyprowadził stąd na pełną ludzi ulicę, a potem do niemal pustego parku. By powtórzył te wszystkie słowa zachęty i przestrogi, które poruszyły ją do żywego.

Przypomniała sobie, że nie odpowiedział na jej pytanie, jaki był powód jego zaskakującej wizyty u teściów. Choć zarazem uświadomiła sobie, że chyba zna już odpowiedź.

ROZDZIAŁ 9

Tomaszowa jak zwykle przywitała ją wymówkami.

– Gdzie panienka znowu tak długo była? – gderała. – Pani doktorowa zaczęła się już niepokoić, jakby i bez tego miała mało zmartwień, a przecież...

– Czy mój wuj wrócił już do domu? – przerwała jej Kinga i zaraz spostrzegła, że w pełnym dezaprobaty spojrzeniu służącej pojawiło się coś nowego. Coś, czego jednak nie potrafiła jednoznacznie zinterpretować.

– Tak, dziś wrócił wcześniej. Ale zamknął się w swoim gabinecie i pracuje – odparła ponuro Tomaszowa. – Panienka powinna zajrzeć najpierw do pani...

– Nie chciałabym jej teraz przeszkadzać – ucięła Kinga. – Rozmawiałam z ciotką rano, przy śniadaniu, i nie sądzę, aby od tego czasu zatęskniła za moim towarzystwem.

Tyle przynajmniej osiągnęła, że Tomaszowej na moment odebrało z oburzenia mowę. Niestety, tylko na moment, bowiem spostrzegłszy, że Kinga ruszyła w kierunku gabinetu, poczuła się w obowiązku zaprotestować.

– Pan doktor jest zajęty. Prosił, aby mu nie przeszkadzać. Dopiero co był u niego z wizytą zięć i teraz pan Burgiewicz chciałby w spokoju popracować.

A zatem jest tak, jak myślałam, uśmiechnęła się pod nosem Kinga.

– Dla mnie mój wuj z pewnością znajdzie czas – odparła, szczerząc się do

zaczerwienionej z oburzenia Tomaszowej.

Mimo to zawahała się, zanim zapukała do drzwi gabinetu. A fakt, że w odpowiedzi na jej pukanie usłyszała pełne niechęci, a nawet nieskrywanej irytacji słowo „proszę”, bynajmniej nie dodał jej odwagi. W pierwszej chwili pożałowała nawet, że zdobyła się, aby tu przyjść, i niewiele brakowało, a uciekłyby spod drzwi, na szczęście zaraz zapanowała nad tym odruchem i nacisnęła kłankę. Stefan Burgiewicz siedział nad plikiem jakichś papierów i nie od razu uniósł głowę. Zrobił to dopiero wtedy, gdy Kinga powitała go nieśmiało. Jego twarz natychmiast pojaśniała, a w zgaszonym spojrzeniu pojawiło się światełko.

– Kinga? Co za miła niespodzianka!

– Nie chciałabym wujowi przeszkadzać – uśmiechnęła się wciąż onieśmielona Kinga. – Tomaszowa mówiła...

– Cokolwiek mówiła, ciebie to z pewnością nie dotyczyło – odpowiedział z uśmiechem. – Siadaj, proszę... Rad jestem, że cię widzę. Naprawdę bardzo się cieszę.

– Dziękuję, ale mimo to nie chciałabym zająć wujowi zbyt wiele czasu.

Odniosła wrażenie, że patrzył na nią wyczekująco. Miał prawo zdziwić się jej wizytą, nigdy tu przecież ot tak, ni z tego, ni z owego nie zaglądała. Nigdy mu się z niczego nie zwierzała, nie opowiadała o swoich kłopotach i rozterkach. Lubiła go, ale ją onieśmielał. Nawet gdy przebywał w domu, miało się takie wrażenie, jakby w istocie znajdował się gdzieś bardzo daleko. I właśnie dlatego niełatwo było jej teraz zdobyć się na rozmowę. A jednak, skoro się odważyła tu przyjść, nie powinna teraz zrezygnować i się wycofywać. Adamska poradziła jej, aby poszła pomówić z wujem. A niedawne, niespodziewane spotkanie z Aleksandrem dodatkowo ją w tym utwierdziło.

– Zapewne doszły wuja słuchy... To znaczy przypuszczam, że ciocia

wspominała... – Zamilkła, gdy zdała sobie sprawę, że wygląda teraz jak zawstydzona, jękająca się pensjonarka, o ile nie gorzej.

– Chodzi o pana Cezarego Milewicza, prawda? – podpowiedział miłosiernie. Zdawał się nie zauważać jej zmieszania ani rumieńca na twarzy.

W odpowiedzi skinęła głową, bo słowa uwięzły jej w gardle.

– Przyznam, że od pewnego czasu chciałem poznać twoje zdanie w tej sprawie. Nie pytałem, bo nie byłem pewien, czy zechcesz o tym mówić... akurat ze mną – dodał łagodnie.

Naraz poczuła ogromne znużenie. Jakby dopiero teraz przyszła reakcja po wszystkich przeżyciach tego, i nie tylko tego, dnia. A ciepło panujące w tym pokoju, spokój, jaki emanował od tych ścian, biblioteki, biurka i siedzącego za tym biurkiem człowieka, podziały na nią odprężająco, wręcz rozleniwiająco. Najchętniej zamknęłaby oczy i w całkowitej ciszy i milczeniu rozkoszowała się tym spokojem i ciepłem. Ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Powinna się teraz skoncentrować nad każdym słowem.

– Z tego, co wiem, jeszcze ci się nie oświadczył? – indagował ostrożnie doktor, ale w pogodnym tonie jego głosu usłyszała teraz niepokój i napięcie.

– Nie, ale wkrótce to zrobi – odparła drżącym głosem. – Ciocia Maria tak mi zapowiedziała i dała do zrozumienia, że bardzo by sobie tego życzyła.

– Czyżby? – parsknął Burgiewicz. – Ale, o ile się nie mylę, ty nie podzielasz jej entuzjazmu do tego projektu?

– Nie. Ja nie mogę, nie chcę – wyrzuciła z siebie jednym tchem i natychmiast poczuła ulgę.

Niech się teraz dzieje, co chce. Wuj poznał jej zdanie, ciotka niczego mu nie wmówi. To na razie najważniejsze. Poczowała nagły przypływ energii i determinacji. Już nie płoniła się jak pensjonarka, nie wodziła spłoszonym spojrzeniem po pokoju, ale patrzyła wujowi prosto w oczy.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Burgiewicz ponownie się

uśmiechnął.

– Skoro tak, to całą sprawę uważam za zakończoną – rzekł.

– Tak, ale ciocia uważa... – przerwała.

– Mniejsza z tym. – Wykonał taki ruch dłonią, jakby odganiał uprzykrzoną muchę. – Nie przejmuj się. Zostaw to mnie.

Ponownie zapadła cisza, ale tym razem przerwała ją Kinga.

– Nie mogę tu zostać – rzekła cicho.

– Nonsens – obruszył się doktor. – To twój dom.

– Powinam stąd odejść.

– Co za bzdury – rozgniewał się Burgiewicz. – Nawet o tym nie myśl.

– Tak byłoby najlepiej. Dla nas wszystkich.

Zniecierpliwionym ruchem odgarnął na bok resztę papierów, zupełnie nie reagując, gdy kilka kartek spadło na podłogę.

– Jesteśmy twoją rodziną – podjął po chwili. – Nic i nikt tego nie zmieni. A w rodzinie... jak to w rodzinie. Bywa różnie. Jedni się kochają, drudzy skaczą sobie do oczu, tak to już jest. Ale nawet gdy nie wszystko się układa, najgorsze, co można zrobić, to zerwać ze sobą wszelkie kontakty. Potem często się okazuje, że nie można już tego naprawić.

Światło, które jeszcze kilka minut temu rozjaśniało jego oczy, przygasło. Zastąpiły je smutek, troska i zmęczenie, które Kinga często obserwowała na jego twarzy. To sprawiło, że ponownie nabrała odwagi i pogłaskała go po dłoni, na co nigdy wcześniej by się nie zdobyła.

– Wuju – uśmiechnęła się łagodnie. – Ja przecież nie chcę tracić z wami kontaktu.

Poczuła, że dłoń, którą teraz głaskała, zadrżała. Burgiewicz delikatnie, lecz stanowczo wysunął ją z uścisku.

– Ona też tak mówiła – odezwał się jakimś obcym, chropowatym

tonem. – Dokładnie tak samo...

– Kto? – zdumiała się Kinga.

– A potem się okazało, że na wszystko jest już za późno – dodał cicho i zapatrzył się w okno.

– Nie wiem, o kim wuj mówi...

– O twojej matce – odparł, ale potrzebował jeszcze kilku sekund, zanim odwzajemnił jej spojrzenie. Jego głos brzmiał już zupełnie spokojnie. – Powiedziała, że tak naprawdę wcale nie chciała zrywać z rodziną. Ale rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia. Tak czy inaczej, na wszystko było już za późno – dodał ciszej.

– Po prostu zabrakło czasu – odparła spokojnie. – Tak przynajmniej twierdził dziadek.

Znowu wspomniała na głos dziadka. W dodatku po raz drugi tego dnia. Bez najmniejszego trudu przypominała sobie słowa, które usłyszała, gdy była jeszcze dzieckiem.

Burgiewicz pokiwał głową, a po jego twarzy przesunął się słaby uśmiech.

– Nie zerwał z nią kontaktu. Nie odwrócił się od niej, pisał, pojechał ją odwiedzić. Dzięki temu było jej łatwiej. Przynajmniej miała pewność, że po jej śmierci będziesz miała zapewnioną opiekę.

– Tak – potwierdziła. Słowa wuja i jego pełne nostalgii spojrzenie sprawiły jednak, że zdobyła się na szczere wyrażenie tego, co od lat ją zastanawiało. – Najsmutniejsze jest w tym wszystkim to, że matce zabrakło czasu na pojednanie z siostrą. Choć może i tak by do tego nie doszło. Nawet gdyby mama nie umarła...

Spostrzegła, jak w okamgnieniu zmienił się na twarzy, jak bardzo poruszyło go jej wyznanie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, aby dała już temu spokój, zmieniła temat. Postanowiła go jednak zignorować. Zbyt wiele rozterek i niepokoju nagromadziło się ostatnio w jej głowie, a rozmowa

z Adamską i potem z Aleksandrem tylko pogłębiły cały ten zamęt. Nie miała już ochoty ani siły samotnie się z nim zmagać. Zapragnęła podzielić się nim z kimś życzliwym, bliskim, rozumnym. – Musiały bardzo się na siebie pogniewać, skoro nawet dziadek nie potrafił pogodzić ich ze sobą. I skoro ciotka tak mnie nie znosi – dodała z goryczą.

– To nie tak. Nie bierz tego do siebie – odparł cicho Burgiewicz, ale jego protest czy też próba perswazji nie zabrzmiały przekonująco, sam zresztą o tym wiedział, dostrzegła to w jego pełnym zakłopotania spojrzeniu.

– Naprawdę wolałabym stąd odejść – westchnęła.

– Dokąd?

– Nie wiem – odparła, czując, że znowu traci odwagę, o determinacji już nawet nie wspominając. Zarazem jednak ogarnęło ją rozczarowanie. W głębi duszy liczyła przecież na to, że właśnie wuj znajdzie jakieś rozwiązanie. Był taki mądry, miał spore doświadczenie życiowe. Każdego dnia udzielał ludziom porad, znany był z tego, że znajdował drogi wyjścia z sytuacji, które wydawały się zupełnie beznadziejne. A tymczasem w sprawach dotyczących własnej rodziny okazywał się często bezradny. Jak na przykład w jej sprawie.

– Nie masz żadnego majątku, żadnego funduszu, który zapewniłby ci utrzymanie... i niezależność – dodał.

– Wiem, słyszałam to dziesiątki razy. – Nawet nie starała się ukryć zniecierpliwienia i rozczarowania w głosie. Zaraz jednak się zreflektowała; wuj przecież, w przeciwieństwie do jego żony, niczego jej nie wypominał, a jedynie przypominał oczywiste fakty. W dodatku zrobił to życzliwym tonem, nie powinna więc tak gwałtownie reagować tylko dlatego, że nie był w stanie rozwiązać jej problemów. Gdyby widział jakąkolwiek możliwość, z pewnością by pomógł. – Przepraszam, że się uniosłam – szepnęła zawstydzona.

– Nie ma jednak potrzeby, abyś wbrew swojej woli wychodziła za mąż.

Nikt nie może cię do tego nakłaniać ani tym bardziej zmuszać – usłyszała w odpowiedzi i zaraz zorientowała się, że wuj po prostu kontynuował swoją wcześniejszą myśl. Tak jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na jej gniewną, pełną zniecierpliwienia reakcję. Jakby go to w ogóle nie obeszło. – Powtarzam: to twój dom i możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Jesteś częścią tej rodziny i twoja ciotka dobrze o tym pamięta, a co ważniejsze, liczy się z opinią ogółu. Ludzkiego gadania boi się jak ognia, być może to jedyne, czego się boi.

– Wiem o tym – odparła lekko stłumionym głosem. – Ale mimo wszystko...

– Mimo wszystko źle się tu czujesz i chciałabyś odejść. – Skinął głową na znak, że rozumie, w czym rzecz. – Mógłbym udzielić ci finansowego wsparcia, ale to nadal krótkotrwałe rozwiązanie.

– Dziękuję, ale nie mogłabym przyjąć takiej pomocy. – Zarumieniła się. – Wystarczy, że utrzymywaliście mnie przez te wszystkie lata.

– Nie mów tak – zaprotestował. – Takie słowa sprawiają mi przykrość.

– Przepraszam, nie o to mi chodziło – zmieszała się. – Jestem wujowi za wszystko wdzięczna. Naprawdę za wszystko... Ale chciałabym wreszcie stanąć na własnych nogach. Na razie wprawdzie nie mam pojęcia, od czego zacząć, jednak coś wymyślę, postaram się – dodała, chociaż bardziej po to, by przekonać samą siebie. – A teraz już wuja zostawię. – Podniosła się i dygnęła.

Burgiewicz także wstał od biurka, aby ją odprowadzić do drzwi. Na jego twarzy malował się wyraz skupienia i zafasowania, a ten widok po raz kolejny nasunął Kindze wspomnienie dziadka. Starszy pan miał taki sam wyraz twarzy, gdy po rozmowie ze swoim lekarzem oznajmił jej, że najprawdopodobniej niedługo wiele się zmieni w jej życiu. Wtedy go nie zrozumiała i chyba nie chciała, aby cokolwiek jej tłumaczył. Nie chciała

żadnych zmian, nie widziała takiej potrzeby, więc dziadek zmienił wtedy temat, by wrócić do niego kilka miesięcy później. Ale wspomnienie, gdy chciał ją delikatnie przygotować do nadchodzących zmian, w połączeniu ze skupieniem i powagą na twarzy wuja sprawiło, że nagle doznała olśnienia.

– Czy cokolwiek wiadomo o rodzinie mojego ojca? – spytała. – Czy on w ogóle miał jakichś krewnych?

Gdy kiedyś, jeszcze jako mała dziewczynka zadała takie pytanie ciotce, ta jedynie prychnęła, że owszem, Niwiński miał podobno jakąś rodzinę, ale obecnie nic jej na ten temat nie wiadomo. I ona nie będzie sobie zawracać głowy ludźmi tego typu. Wystarczy, że jej siostra zachowała się kiedyś nieodpowiedzialnie, a teraz ona, Burgiewiczowa, musi ponosić tego konsekwencje w postaci opieki nad uciążliwą siostrzenicą. Zabrzmiało to niemal tak, jakby Niwińscy byli jakąś hołotą, nieokrzesaną bandą, w każdym razie Kinga zaniechała dalszych pytań. Aż do tej chwili.

Od razu spostrzegła, jak bardzo zaskoczyło to wuja Stefana. Innej reakcji się zresztą nie spodziewała. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, zupełnie oszołomiony, po czym zaprosił ją gestem, by ponownie usiadła. Lecz także wtedy nie od razu odpowiedział. Jakby potrzebował czasu, by zebrać i uporządkować myśli. Nie poganiała go, czekała w napięciu, ale cierpliwie.

Gdy wreszcie odwzajemnił jej spojrzenie, nawet nie starał się ukryć wzruszenia.

– Czasami się zastanawiałem – rzekł cicho – kiedy o to zapytasz. I czy w ogóle kiedykolwiek to zrobisz.

Głos uwiązał jej w gardle, nie była w stanie się odezwać, choć setki pytań cisnęły się jej na usta.

– Ostatnim razem widziałem ją bodaj trzy lata temu... – zaczął, ale zaraz przerwał.

– Kogo? Gdzie? – wyszeptała, gdy wreszcie była w stanie to uczynić.

- Kuzynkę twojego ojca. W teatrze, w Krakowie.
- W teatrze? – powtórzyła. – W Krakowie?
- Dokładnie tak. – Wuj skinął głową. – Na scenie.

ROZDZIAŁ 10

– Zdaję sobie sprawę, że ma pani prawo do wątpliwości. Być może moja propozycja panią zaskoczyła...

Trudno było nie odnieść wrażenia, że odpowiedź Kingi wprowadziła Milewicza w konsternację. Starał się zachować spokój, nie zdołał jednak ukryć rozczarowania, a także zdumienia. Tak jakby nie brał pod uwagę, że może się spotkać z odmową.

Zdobywszy się na uprzejmy uśmiech, Kinga pokręciła jednak głową.

– Nie zaskoczył mnie pan. Ciotka uprzedziła mnie o pańskich zamiarach. Pańska propozycja przynosi mi zaszczyt, ale, jak już powiedziałam, nie mogę jej przyjąć. Przykro mi, że sprawiłam panu zawód... – Przerwała, nie mając pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać. Nie chciała przekraczać bardzo cienkiej, przynajmniej w tym przypadku, granicy, gdy uprzejmość przekształca się w obłudę. O ile już jej nie przekroczyła.

– Zawód? – powtórzył, uśmiechając się blado. – Nie jestem pewny, czy to trafne określenie. Nie ukrywam, że oczekiwałem innej odpowiedzi.

Zarówno słowa, jak i ton, którym zostały wypowiedziane, sprawiły, że Kinga poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie. Uznała jednak, że nie istnieje żaden powód, aby ktokolwiek wpędzał ją w poczucie winy.

– Nigdy nie miałam zamiaru sprawić panu przykrości – odparła, siląc się na spokój. – Ale gdybym przyjęła pańskie oświadczenia, postąpiłabym... po

prostu nieuczciwie.

– A jednak pani ciotka... to znaczy pani doktorowa dawała mi do zrozumienia...

– Moja ciotka wprowadziła pana w błąd – zniecierpliwiła się Kinga.

Zdawkowy uśmiech zniknął z twarzy Milewicza.

– Sugeruje pani, że doktorowa mnie oszukała? – spytał chłodno.

W tym momencie nie sprawiał wrażenia nieśmiałego człowieka, za jakiego Kinga zawsze go uważała. Patrząc teraz na niego, nie miała wątpliwości, że swoje interesy prowadził energiczną i twardą ręką. Tak też zapewne traktował swoich podwładnych. W jaki sposób traktowałby żonę? W tej kwestii mogła jedynie snuć domysły, ale już samo to wystarczyło, by poczuła dreszcze na całym ciele.

– Sugeruję, że nie miała prawa decydować za mnie – odparła tonem adekwatnym do jego tonu.

Poczerwieniał na twarzy, ale najwyraźniej starał się trzymać nerwy na wodzy. Cisza, która teraz zapadła, zdawała się nie mieć końca, przynajmniej w odczuciu Kingi, choć w istocie trwała najwyżej dwie, trzy minuty. Przerwał ją Milewicz.

– No cóż, a zatem doszło do nieporozumienia – zauważył, po czym zdjął okulary i przetarł je chusteczką. Wciąż starał się trzymać emocje w ryzach, niemniej ton jego głosu i spojrzenie, a nawet nerwowe czyszczenie szkieł, zdradzały coraz większą irytację. – Nie lubię, gdy się robi ze mnie głupca, panno Kingo.

Nie wątpię, pomyślała. Nie mogła tego powiedzieć na głos, ale nie miała zamiaru pozostawić jego uwagi bez komentarza.

– Nie taka była moja intencja – rzekła. – To nie moja wina. Przecież ja nigdy nie dawałam panu do zrozumienia... – Przerwała, ale na szczęście tym razem jakimś cudem się nie zarumieniła. Wytrzymała też jego uważne

spojrzenie.

– To prawda – przyznał, a w jego oczach zamigotał osobliwy wyraz. Jakby zaciekawienia, a nawet lekkiego rozbawienia. Kindze przyszło zaraz do głowy, że być może wystawiła mu przed chwilą zbyt surową ocenę. Może wcale nie był aż tak bezwzględny i zimny, jak wcześniej zakładała. W każdym razie jego twarz przybrała teraz znacznie cieplejszy, niemal przyjazny wyraz. – To prawda – powtórzył. – Trudno zaprzeczyć, że nie wyglądała pani na zainteresowaną moją osobą. Kładłem to na karb pani nieśmiałości. Tak, tak, panno Kingo, uważałem panią za nieśmiałą dziewczynę, choć wielu twierdzi, że jest pani zuchwałą. Ja jednak słabo się znam na kobietach; gdyby było inaczej, nie dopuściłbym do tak niezręcznej sytuacji, w jakiej oboje się znaleźliśmy. Jak by nie patrzeć, w pani oczach jestem niemal starcem.

– Ależ nie, skądże znowu... – zaprzeczyła Kinga, czując, że tym razem jej policzki zapałały.

Nie miała pojęcia, w jakim wieku był Cezary Milewicz. Sądząc po wyglądzie, mógł mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt lat. Nigdy też nie zastanawiała się, czy jest przystojny, choć dziś była skłonna przyznać, że prezentował się nie najgorzej. Z pewnością nie postrzegала go jako starca.

– No cóż... W takim razie czas na mnie. – Podniósł się od stołu. – Tak czy owak, dziękuję za szczere i uczciwe podejście do sprawy.

– Mam nadzieję, że nie byłam nieuprzejma – wtrąciła nieśmiało Kinga, którą ujęło jego zachowanie.

– Ależ nie, nie była pani. – Wyglądał teraz tak, jakby miał się roześmiać, ale poprzestał na nieznacznym wzruszeniu ramionami. – Oczywiście nie będę udawał, że wcale mnie to nie obeszło, ale szczerze mówiąc, znacznie gorzej zniósłbym zwodzenie i oszukiwanie. Wystarczy, że w interesach muszę stale uważać, czy mnie nie podejda i nie zostanę z niczym. Nie wyobrażam sobie

czegoś podobnego we własnym domu, ze strony najbliższego mi człowieka. Małżeństwo powinno się opierać na uczciwości.

– Dziękuję za zrozumienie. – Kinga także się podniosła i wyciągnęła rękę. – Życzę panu szczęścia.

– Chyba jednak poprzestanę na robieniu interesów, to mi wychodzi znacznie lepiej niż konkury – zażartował, a przynajmniej tak to zabrzmiało. – Ja także życzę pani wszystkiego dobrego. W pani wieku wierzy się jeszcze w marzenia, więc przynajmniej niech niektóre z nich się spełnią.

W pani wieku wierzy się jeszcze w marzenia... – powtórzyła w myślach, gdy Cezary Milewicz zamknął za sobą drzwi. A czego właściwie dotyczyły jej marzenia?

Kiedyś z całego serca pragnęła, aby ciotka kochała ją tak jak dziadek. Aby polubiła ją kuzynka. Potem, gdy ostatecznie porzuciła te nadzieje, życzyła już sobie, aby zostawiono ją w spokoju i nie odbierano tej namiastki swobody, jaką udało jej się, przy pomocy wuja, wywalczyć. Z biegiem lat przyswoiła sobie reguły, jakie obowiązywały w kamienicy na Kruczej. Przyjęła do wiadomości, że najważniejszą kwestią nie jest wcale pozyskanie życzliwości ciotki, lecz umiejętne schodzenie jej z drogi. Nie oznaczało to bynajmniej, że starała się zniknąć z pola widzenia Burgiewiczowej; to było niewykonalne, choćby z tego powodu, że ciotka, kiedy tylko mogła, uważnie ją obserwowała. Zdecydowanie bardziej przydawała się umiejętność odróżnienia reguł, do których bezwzględnie trzeba było się stosować, od tych, które przy dużej zręczności można było potraktować mniej zobowiązująco. Cała sztuka polegała zaś na tym, aby nie dać ciotce najmniejszego pretekstu do odebrania tych swobód, które dzięki różnym zabiegom udało się zdobyć. Czasami przypominało to balansowanie na bardzo cienkiej linie i wymagało nie lada zdolności ekwilibrystycznych, niemniej udało się wypracować jakie takie status quo. Które, niestety,

właśnie przestało istnieć.

Kinga nie miała wątpliwości, że lada moment rozpęta się piekło. A ściślej rzecz ujmując, że stanie się to za kilka minut, to znaczy gdy tylko pan Milewicz poinformuje oczekującą go w drugim pokoju Burgiewiczową o rezultacie swojej rozmowy z jej siostrzenicą. A potem pożegna się i wyjdzie. Nie było najmniejszej wątpliwości, że gdy tylko zamkną się za nim drzwi, ciotka natychmiast wpadnie do salonu i zrobi awanturę swojej zuchwałej wychowance, która urodziła się jedynie na jej utrapienie. Prawdziwe skaranie boskie!

Trudno, skrzywiła się ze wzgardą Kinga. Wytrzymała to do tej pory, tym razem także wytrzyma. Niemniej serce niemal podchodziło jej do gardła i drżała na całym ciele.

A jednak stało się niezupełnie tak, jak przewidywała. Ciotka bowiem nie wpadła jak burza do salonu, a zamiast niej wkroczyła Tomaszowa, z taką jednak miną, jakby to ją spotkała jakaś osobista obraza.

– Pani doktorowa prosi panienkę do siebie, do buduaru – oświadczyła wyniośle, lecz najwyraźniej nie wystarczył jej ten komunikat, bo gdy Kinga podniosła się z kanapy, dodała z nietajoną urazą w głosie: – Wstydziliby się panienka. Żeby tak zmartwić swoją ciotkę i dobrodziejkę.

– To nie Tomaszowej sprawa – odparła, mijając starą w drzwiach. Pewnym, choć niewielkim zadośćuczynieniem był wyraz bezsilnej złości na twarzy służącej.

Niestety, ciotce w taki sam sposób nie zamknę ust, pomyślała, czując kolejny niemiły dreszczyk przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Ileż by dała, by mogło być inaczej! A tak co? Jedynym argumentem, jaki miała na swoją obronę w spodziewanym starciu z ciotką, był ten, na który powołał się wuj, gdy rozmawiali kilka dni temu w jego gabinecie. A mianowicie, że ciotka nie ma żadnej podstawy prawnej, aby zmusić ją do małżeństwa. W ustach wuja

brzmiało to przekonująco. Teraz Kinga nie miała już tej pewności. A w każdym razie co do tego, czy zdoła się przeciwstawić swojej „dobrodziejce” i tym samym obronić własne zdanie. Jakże żałowała, że wuj akurat tego popołudnia nie było w domu! Nie miała nawet cienia wątpliwości, że przynajmniej dziś jego nieobecność była ciotce na rękę.

Najważniejsze to nie okazywać strachu i niepewności. Pokazać, że podjęłam decyzję i się nie boję. – W tej sytuacji Kinga nie pozostawało nic innego, jak desperacko chwycić się tej myśli.

Burgiewiczowa nie bawiła się w ceregiele.

– A zatem po raz kolejny udowodniłaś, że za nic masz moją opinię, zaś twoje maniery wołają o pomstę do nieba – zagrzmiała. – I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Tyle poświęceń, tyle wyrzeczeń na nic.

– Droga ciociu... – zaczęła Kinga, ale Burgiewiczowa nie pozwoliła jej mówić dalej.

– Daruj sobie tytułowanie mnie drogą ciocią. I nie kryguj się przede mną. Te twoje słodkie słówka dowodzą jedynie, jaką jesteś hipokrytką. Brzydzi mnie taka obłuda. I obraża jak nic innego na tym świecie.

– Nie jestem obłudna – nie wytrzymała dotknięta do żywego Kinga. – Fakt, że staram się być wobec cioci uprzejmą, nie oznacza hipokryzji.

– I jeszcze te zuchwałe uwagi! – Burgiewiczowa bynajmniej nie dała się zbić z pantałyku. – Jakby nie było dość, że doszło do skandalu i nasza rodzina ponownie znajdzie się na językach całej Warszawy!

– Nie sądzę, aby Warszawa zwróciła na to uwagę – odparła Kinga.

Z wyjątkiem twoich kilku plotkarskich przyjaciółek, które z nudów węszą w poszukiwaniu jakiegokolwiek sensacji, dodała już tylko w myślach, bo to, co powiedziała na głos, zabrzmiało wystarczająco zuchwale.

Burgiewiczowa spiorunowała ją spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że gotowała się z pasji.

– Powiem ci, co teraz zrobisz – rzekła oschle. – Gdy pan Cezary ponownie przyjdzie do nas z wizytą, będziesz dla niego miła i przeprosisz go za swoje dzisiejsze zachowanie. Powiesz, że... że zachowałam się niestosownie, bo nigdy wcześniej nie znalazłam się w takiej sytuacji, nikt ci się jeszcze nie oświadczył. Po prostu zawinił twój brak doświadczenia, z pewnością jednak nie niechęć wobec jego osoby. Takie wyjaśnienie z pewnością mu wystarczy. Jako doświadczony mężczyzna na pewno zrozumie, że młoda panna może mieć obawy przed... niektórymi aspektami związanymi z... pożyciem małżeńskim. Może to nawet poczytać za zaletę, za dowód twojej niewinności i wstydlivosti.

Na litość boską, ta kobieta nie dość, że mnie nie cierpi, to ma mnie jeszcze za kompletną idiotkę – wzdrygnęła się Kinga. – A jakby tego było mało, oczekuje, że i ja zrobię z siebie kogoś podobnego.

Najbardziej jednak zdumiała ją nieznajomość natury ludzkiej, którą wykazała się ciotka.

– Ciociu, pan Milewicz już tu nie przyjdzie – odparła ostrożnie.

Słyszając te słowa, Burgiewiczowa jakby odtajała. Jakby sama uwierzyła, że Kinga pożałowała swojej popędliwości, a w każdym razie była gotowa naprawić błąd. A co za tym idzie, teza o dziewiczej wstydlivosti i strachu przed małżeństwem była jak najbardziej trafną diagnozą. Na twarzy doktorowej pojawił się nawet grymas, który od biedy można było zinterpretować jako wyrozumiały uśmiech.

– Na pewno tu wróci, moja w tym głowa. – Jej głos nadal brzmiał chłodno, ale pojawiła się w nim nutka wyrozumiałego protekcjonizmu, jaki niekiedy okazują matrony, kiedy chcą podzielić się swoim doświadczeniem z młodymi. – Oczywiście na razie czuje się urażony, choć muszę przyznać, że tego nie zdradził. A nawet zdobył się na zadziwiająco wyrozumiałość wobec ciebie. Niemniej jego męska duma z pewnością ucierpiała, bo

mężczyźni są próżni, nawet jeśli to ukrywają. Ale nie odrzuci mojego zaproszenia, potrzebuje tylko trochę czasu. I wtedy ty wycofasz się ze swojego dzisiejszego błędu.

– Pan Milewicz już nie przyjmie od cioci żadnego zaproszenia – odparła zdecydowanie Kinga. – Oczywiście nie ukrywał rozczarowania, ale potraktował ze zrozumieniem moje wyjaśnienia. I jeśli faktycznie czuje się urażony, to nie do mnie ma pretensje. Nie ja doprowadziłam do tej pożałowania godnej sytuacji.

Maria Burgiewiczowa wyglądała teraz jak człowiek rażony piorunem. Na moment odjęło jej mowę, niestety – zaledwie na moment.

– Jesteś nie tylko zuchwałą, jesteś wręcz bezczelna – warknęła. – Ale właściwie nie powinnam się dziwić, zważywszy na to, czyją jesteś córką.

Tym razem Kinga postanowiła nie ukrywać już swojego oburzenia. Krew w niej zawrzała.

– Aż tak jej ciocia nienawidziła? – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Aż tak ciocia nienawidzi mnie?

Burgiewiczowa w odpowiedzi przycisnęła chusteczkę do oczu.

– Jak śmiesz tak mówić?! Wychowałam cię jak córkę. I zadbałam o twoją przyszłość. Małżeństwo z tak zacnym i zamożnym człowiekiem jak Cezary Milewicz to dla ciebie ogromna życiowa szansa. Już ci to mówiłam, ale gotowa jestem powtórzyć jeszcze tysiąc razy. Niejedna panna z posagiem marzy o takim mężu, podczas gdy ty...

– Nie, nie wychowała mnie ciocia jak córkę – zaprotestowała Kinga. – Niech ciocia nie wmawia tego ani sobie, ani mnie, bo to na nic. A małżeństwo, które ciocia umyśliła, służy tylko temu, aby wreszcie pozbyć się mnie z domu. Nie znam przyczyn niechęci wobec mojej osoby, ale z pewnością jej sobie nie wyobraziłam.

Znając ciotkę, spodziewała się, że teraz nastąpi prawdziwa eksplozja, nic

się jednak nie stało. Burgiewiczowa zbladła tak bardzo, że jej twarz przypominała wykutą w kamieniu płaskorzeźbę.

– Niczego mi nie ułatwiałaś – odparła oschłym tonem. – Stale miałam z tobą problemy. Trudno w tych warunkach nie czuć niechęci do tak krnąbrnego dziecka. Do tak niemiłej panny.

– Nieprawda – uniosła się Kinga. – Bardzo długo starałam się, jak mogłam, aby zyskać cioci przychyłność. W każdym razie dopóki nie zrozumiałam, że to na nic. Że cokolwiek zrobię, i tak będzie źle.

– I nawet teraz, gdy mogłabyś wszystko naprawić, dajesz mi tylko kolejny powód do zmartwienia – odparła Burgiewiczowa, w ogóle nie odnosząc się do słów siostrzenicy. Jakby ich nie słyszała. Ewentualnie jakby nie były warte jakiegokolwiek komentarza.

– Co miałabym naprawić? – Kinga czuła, że lada chwila zupełnie przestanie panować nad wzbierającą falą gniewu. – Chodzi o moją matkę, tak? Nie wiem, co wydarzyło się w przeszłości między wami, ale cokolwiek to było, nie miałam i nie mam na to wpływu. Tak trudno cioci to pojąć? Nie wystarczy, że umarła?! – Rzuciła ciotce rozgoryczone spojrzenie, ale nie doczekawszy się żadnej reakcji, kontynuowała z coraz większym żalem: – Ja także nie chciałam tu zamieszkać po śmierci dziadka. Czułam, że ciocia mnie nie cierpi, ale byłam dzieckiem i nie miałam wyboru. Teraz jednak go mam i dlatego raz jeszcze oświadczam, że nie wyjdę za pana Milewicza. O powodach tej decyzji mówiłam wcześniej.

– To raczej ja nie miałam innego wyboru, jak zająć się tobą po śmierci mojego ojca. – Doktorowa także podniosła głos. – W przeciwnym wypadku zostałabyś odesłana do przytułku dla sierot. Gdzie bez wątpienia miałabyś prawdziwe, a nie wydumane powody do uzalania się nad swym losem, ale przynajmniej zostałabyś nauczona moresu.

– Nie wysłałaś mnie tam tylko dlatego, że twój mąż nigdy by na to nie

pozwoił, pomyślała z jeszcze większą goryczą Kinga. No i oczywiście bałaś się tego, co ludzie powiedzą. To nawet ważniejszy powód. Choć chyba ja osobiście wolałabym już przytułek. Wątpię, czy najbardziej oschłe opiekunki mogły być bardziej niemiłe i pozbawione współczucia niż ty.

Nie warto było jednak mówić tego na głos. Przypominałoby to jedynie odbijanie piłki od ściany i w rezultacie do niczego nie prowadziło.

Nagle podjęła decyzję. Tę, która dojrzewiała w niej od rozmowy z wujem. Przez moment się wahała, zdając sobie sprawę, że jeśli oświadczy to na głos, nie będzie już odwrotu. W ułamku sekundy wróciły do niej wszelkie wątpliwości, świadomość ryzyka, poczucie, jakby się porywała z motyką na słońce. Ale nie było czasu ponownie tego analizować, zdążyła to już zrobić wcześniej, w ciągu kilku ostatnich bezsennych nocy.

– Ja także ubolewam, że tak długo byliśmy na siebie skazane – oświadczyła, czując gwałtowne uderzenia serca. Przez chwilę zastanawiała się, czy ciotka także je słyszy. – Przynajmniej co do jednego jesteśmy zgodne: czas z tym skończyć. Uwolnię wreszcie ciocię od siebie.

– Jak mam to zrozumieć? – spytała sarkastycznie doktorowa.

– Bardzo prosto. Wyjeżdżam.

A więc stało się. Powiedziała to, a raczej wyrzuciła z siebie. Nie poczuła przy tym ani ulgi, ani szczególnej ekscytacji czy choćby zdenerwowania. Jakby jeszcze nie do końca do niej dotarło, że to zrobiła, że jednak się odważyła.

Kości zostały rzucone, przemknęło jej przez myśl i dopiero wtedy poczuła, że drży na całym ciele. Burgiewiczowa jednak nie wyglądała na skonsternowaną. Nie okazała też najmniejszego zdumienia.

– Ach tak? Panienska wyjeżdża – stwierdziła z ironią. – A można wiedzieć dokąd i na jak długo?

Nie uwierzyła mi, skonstatowała Kinga. Nic dziwnego, skoro ja sama

jeszcze do końca w to nie wierzę i założę się, że to po mnie widać.

Postanowiła wziąć się w garść. Zrobić lub powiedzieć cokolwiek, by nie sprawiać wrażenia małej, wystraszonej dziewczynki.

– Do Krakowa – odparła, czując nieznośną suchość w gardle. Najchętniej poprosiłaby o kieliszek wody, ale to na razie nie wchodziło w grę. Lecz w tym samym momencie spostrzegła nagłą zmianę na twarzy doktorowej. Zamiast zaprawionej ironią niechęci pojawił się na niej niepokój.

– Do Krakowa?

– Tak. Do mojej krewnej – potwierdziła już śmieiej Kinga. – Do kuzynki mojego ojca.

Miała wrażenie, jakby spojrzenie ciotki przeszywało ją na wylot, ale wytrzymała to, nie odwróciła wzroku.

– Mówisz o tej aktoreczce?

– Ojciec miał tylko jedną bliską kuzynkę – odparła ostro Kinga. Pogarda w tonie ciotki zapiekła ją do żywego. – Uważam, że określanie jej mianem aktoreczki jest nie na miejscu.

– Nie życzę sobie, abyś mówiła do mnie w taki sposób! – Na bladej jeszcze kilka sekund temu twarzy doktorowej pojawiły się krwiste wypieki. – Za dużo sobie pozwalasz! A niby jak mam ją nazywać? Ta kobieta występuje na scenie, w podrzędnych zresztą rólkach, i obraca się w towarzystwie podobnych do niej osób.

– Co nie oznacza, że jest kobieta upadłą, tak jak to ciocia przed chwilą zasugerowała! – zaprotestowała Kinga. – Teatr jest ważnym ośrodkiem kultury. Myślałam, że ciocia też tak uważa, podejmując w swoim salonie dziennikarzy i recenzentów, a nawet niektórych artystów – dodała, choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że rzadko który z poważnych dziennikarzy i recenzentów, zabłąkawszy się raz do salonu Burgiewiczowej, pojawił się tam po raz drugi. A o podejmowaniu bardziej znanych aktorów

nie było nawet mowy. Tym chętniej to teraz wytknęła, ale nie musiała długo czekać na ripostę.

– Ta twoja, jak twierdzisz, ciotka nigdy nie należała do wiodących aktorów krakowskiej sceny – prychnęła Burgiewiczowa. – Tylko tak bezrozumna i egzaltowana istota jak ty może snuć w tej kwestii inne przypuszczenia. Prawda jest dużo bardziej prozaiczna. I nie miej złudzeń, że ta kobieta ucieszy się na twój widok. Skoro przed laty nie garnęła się do opieki nad tobą, teraz tym bardziej nie będzie miała ochoty brać sobie na głowę kolejnego życiowego nieudacznika. Jeśli koniecznie chcesz się o tym przekonać, jedź, bo wbrew temu, że uważasz mnie za okrutną wiedźmę, wcale nie zamierzam na siłę cię tu zatrzymać. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. I jeszcze jedno: bądź świadoma konsekwencji. Bo jeśli tam pojedziesz i nie spodoba ci się, a tak z pewnością będzie – nie wracaj. Radź sobie wtedy sama, może to cię nauczy rozumu.

– Na pewno nie wrócę – zapewniła ją chłodno Kinga, choć poczuła bolesny skurcz w żołądku.

– Kolejny skandal to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje nasza rodzina! – krzyknęła Burgiewiczowa.

Nawet gdyby Kinga znalazła stosowną ripostę, nie zdążyłaby odpowiedzieć, bowiem drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Stefan Burgiewicz. W tle, za jego plecami, zdążyła jeszcze mignąć przestraszona, ale i zaciekawiona twarz Tomaszowej, doktor jednak szybko wszedł do środka.

– Co tu się dzieje? Krzyki słyhać w całej kamienicy – odezwał się ostro, nie ulegało jednak wątpliwości, że wymówkę tę kierował pod adresem żony.

Burgiewiczowa, choć w pierwszej chwili równie skonsternowana jak siostrzenica, zdołała jednak zapanować nad zaskoczeniem.

– Odrzuciła oświadczyzny pana Milewicza – oznajmiła, wskazując

oskarżycielskim gestem na dziewczynę. – Zachowała się wobec niego impertynencko...

– Nieprawda. Nie zachowałam się...

– A jakby tego było mało, wybiera się do Krakowa. Jak gdyby nigdy nic! Jakby mało tu było przez nią zgryzoty!

– Ale to jeszcze nie jest powód, by o tych zgryzotach dowiedziała się cała kamienica, a przy okazji także przechodnie na ulicy. – Celowo lub nie, Burgiewicz także podniósł głos.

Zdecydowany ton męża utemperował nieco emocje doktorowej, nie znaczyło to jednak, że zmienił jej nastawienie do sprawy.

– Więc jak ty to sobie wyobrażasz? – odezwała się z wyrzutem, niemniej już spokojniej. A przede wszystkim ściszyła głos. – Mamy bez końca ulegać jej kolejnym zachciankom? Och, ja wiem, że ty nie widzisz w tym żadnego problemu, ja jednak ośmielam się mieć inne zdanie.

– Pojadę – rzekła zdecydowanie Kinga. – I tak pojadę. Co mi tam... – Po czym nie czekając na pozwolenie, poderwała się z miejsca i opuściła pokój. Nikt jej nie zatrzymywał, a za drzwiami, wbrew przewidywaniom, nie zastała przyczajonych służących. Nie oglądając się, pobiegła prosto do swojej sypialni i tam, rzuciwszy się na łóżko, ukryła twarz w poduszce.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie rozegrała tego tak, jak powinna. Poniosły ją nerwy, a fakt, że ciotka także nie zapanowała nad swoimi emocjami, nie był tu żadnym usprawiedliwieniem i niczego nie ułatwiał. Ale czy w ogóle można to było przeprowadzić inaczej? Spokojniej?

Raczej nie, skonstatowała po chwili. Za dużo nieporozumień uzbierało się w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w domu wujostwa. Przy czym nie chodziło tu tylko o wzajemną niechęć między nią a ciotką, ale także o cały szereg niejasności, niedopowiedzeń czy nawet sekretów, które najpewniej leżały u podłoża tej wrogości. To wszystko sprawiało, że spokojna wymiana

zdań między nimi dwiema była już chyba zupełnie niemożliwa. A wobec tego niczego już sobie nigdy nie wyjaśnia.

To spostrzeżenie nie było żadną nowością, a jednak sprawiło, że odezwał się w niej dawny smutek i tęsknota za ludźmi, którzy naprawdę ją kochali. Nie pamiętała wprawdzie matki ani ojca, ale dorastała w przekonaniu, że była dla nich ważna. Tak właśnie mówił jej dziadek, a nikomu na świecie tak nie wierzyła i nie ufała jak właśnie jemu. Wciąż za nim tęskniła, za jego dobrocią, serdecznością, wspólnymi spacerami i długimi rozmowami. Jak to możliwe, że ciotka Maria tak bardzo różniła się od swojego ojca i siostry? Kinga już dawno obiecała sobie, że nie będzie tego więcej analizować, a tym samym wciąż od nowa wałkować sprawy już przesądzonej i przegranej, czasem jednak łamała to postanowienie. Choć dobrze wiedziała, że w ten sposób obudzi w sobie stary ból i żal – jak dziś. Teraz. Pewną pociechę dawała świadomość życzliwości ze strony wuja Stefana, zrozumienie i wsparcie, jakiego jej ostatnio udzielił. A poza tym to właśnie dzięki niemu dowiedziała się, że ma jeszcze jedną krewną. Choć przecież mógł zbyć jej pytania, odpowiedzieć cokolwiek. Na przykład, że nie dysponuje żadną wiedzą na temat rodziny jej ojca. Postąpił jednak inaczej. Powiedział o Amelii Gajewskiej, choć od razu zaznaczył, że nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów, nigdy ze sobą nie korespondowali, a zatem nie miał od niej żadnych wiadomości. W sumie nic w tym dziwnego, skoro ich wzajemne stosunki nigdy nie wyszły poza pobieżną znajomość. Mimo to po rozmowie z wujem Kinga nabrała jakiejś otuchy. Inaczej spojrzała na swoje życie. A przede wszystkim odważyła się sprzeciwić ciotce i odmówić swej ręki Cezaremu Milewiczowi. Sama świadomość, że oprócz Burgiewiczów ma jeszcze na świecie kogoś, z kim łączą ją więzy krwi, miała w sobie coś ożywczego, optymistycznego. Dawała jakąś alternatywę, perspektywę, nadzieję na odmianę losu. Choć oczywiście o stuprocentowej pewności także

nie mogło być tu mowy.

Amelia Gajewska była cioteczną siostrą jej ojca. Z tego, co oświadczyła ciotka Maria, wynika, że nigdy nie garnęła się do opieki nad osieroconym dzieckiem kuzyna. Mimo że – to z kolei wersja wuja Stefana – była niegdyś blisko związana z ciotecznym bratem.

Drugorzędna aktorka, a może nawet trzeciorzędna, o nader swobodnych obyczajach, jak większość z nich – do takich przynajmniej wniosków można było dojść na podstawie pogardliwych, dwuznacznych insynuacji ciotki. Wuj Stefan niczego takiego nie dawał do zrozumienia, choć z drugiej strony zdecydowanie nie zaprzeczał słowom żony.

Czy w ogóle będzie zainteresowana spotkaniem z dorosłą już Kingą? Jak zareaguje, gdy ją zobaczy, gdy staną twarzą w twarz?

A jednak zaryzykuję, pomyślała dziewczyna, i samo to postanowienie podziałało na nią mobilizująco. Podniosła się, usiadła na łóżku i wytarła oczy. Nie będzie się dłużej mazała jak bezradne dziecko. Podejmie to wyzwanie, tak jak każdego dnia robi to wielu ludzi na świecie. Tak jak przed laty uczyniła choćby panna Adamska, która straciwszy wszystko i wszystkich, nie załamała się, nie poddała, ale ruszyła do przodu. I poradziła sobie w życiu.

A przecież ja, w przeciwieństwie do niej, nie straciłam wszystkich. Nie zostałam zupełnie sama na świecie. Tym bardziej sobie poradzę, pomyślała i prawie uśmiechnęła się do tej myśli. Najważniejsze, by nie dopuścić do głosu zwątpienia. Bo nic tak nie odbiera odwagi jak właśnie zwątpienie.

W tej akurat chwili usłyszała pukanie do drzwi, po czym do pokoju wkroczył wuj Stefan. Kinga nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej bodaj tu zajrzał. Jego pełne zatroskania spojrzenie sprawiło, że na moment zawahała się w swoim postanowieniu. Zaraz jednak ponownie wzięła się w garść.

– Wiem, że wujowi także nie podoba się mój pomysł – podjęła. – Być może nawet wuj żałuje, że w ogóle wspomniał mi o istnieniu Amelii Gajewskiej, ale zapewniam, że jestem z całego serca za to wdzięczna. Podobnie jak za wszystko inne.

Mówiła szybko, jednym tchem, obawiając się, że mógłby jej przerwać, wejść w słowo, ale Burgiewicz tego nie zrobił. Spokojnie poczekał, aż skończy, i nawet wtedy zdawał się namyślać. Co nie zmieniało faktu, że jego smutne, zatroskane spojrzenie deprymowało ją coraz bardziej.

– Jeśli jesteś pewna, że chcesz pojechać do Krakowa, będę ci towarzyszył – odezwał się wreszcie, wprowadzając Kingę w osłupienie. Z pewnością nie takich słów się spodziewała.

– Dziękuję – wyjąkała, gdy tylko wrócił jej głos – ale to zupełnie niepotrzebne... Poradzę sobie...

– Nie twierdzą, że sobie nie poradzisz – odparł z lekkim zniecierpliwieniem. – I gdybyś nie miała innego wyjścia, pojechałabyś tam sama. Ale w tym przypadku nie ma takiej konieczności.

– Jakby mała miał wuj zajęć w Warszawie. – Kinga postanowiła uciec się do łagodnej, bez mała żartobliwej perswazji. – Taki wyjazd zabierze tylko wujowi czas i wprowadzi zamęt w tutejszych obowiązkach. Już nie mówiąc o innych uciążliwościach, a przypuszczam, że mogę być trudną towarzyszką podróży – dodała przekornie, nawiązując do zwyczaju letnich wypraw na wieś lub do uzdrowiska.

Nie miała okazji do częstych podróży, ale każdego lata towarzyszyła całej rodzinie w wyprawach na letnisko, przeważnie do niewielkich Kościerzyc, gdzie daleki krewny doktora odnajmował im na ten czas kilka pokoi. Właściciel był – wedle opinii Burgiewiczowej – starym dziwakiem, a jego majątek leżał na odludziu, w każdym razie, aby dostać się do najbliższych sąsiadów, trzeba było pokonać prawie dziesięć wiorst. Nie znaczyło to

jednak, by doktorowa tęskniła za ich towarzystwem, bowiem o tych ludziach miała dokładnie takie samo zdanie jak o właścicielu Kościerzyc. Stary, modrzewiowy dworek od lat nie był remontowany, a zarośnięty ogród przypominał mały gaj, niemniej Kinga dobrze się tam czuła. Odpowiadało jej odosobnienie tego miejsca, a ponieważ ciotka nie zwracała tam na nią większej uwagi, korzystała z tej swobody i wyprawiała się na długie spacerunki po łąkach. Kiedyś nawet zawędrowała na odległe moczary i zgubiła się w lesie. Pozostali członkowie rodziny nie dzielili jednak jej entuzjazmu wobec uroków wsi. Burgiewiczowa nudziła się tam śmiertelnie, brakowało jej – jak mawiała – odpowiedniego towarzystwa, tęskniła za proszonymi herbatkami i wieczornymi przyjęciami. Klementyna jak zwykle podzielała zdanie matki, choć nawet po wyjściu za mąż w dalszym ciągu towarzyszyła rodzicom w tych wyjazdach. Zbyszek czepiał się najprzeróżniejszych forteli, by unikać tego rytuału, a nawet doktor czasem wpadał w irytację na samą myśl o bezczynności na wsi. Mimo to Burgiewiczowie nie rezygnowali z poświęcenia dwóch letnich tygodni na pobyt w Kościerzycach. Kinga domyślała się, że przyczyną były sprawy majątkowe – zwłaszcza ciotka liczyła na to, że stary właściciel, który nie miał oprócz nich innych krewnych i powinowatych, zapisze folwark Stefanowi, a wobec takich oczekiwań i nadziei można było zacisnąć zęby i przynajmniej raz do roku spędzić tam trochę czasu. Rekompensatą za niedogodności pobytu w Kościerzycach były – przynajmniej w przypadku doktorowej i jej córki – wyjazdy do modnych wówczas uzdrowisk. Najczęściej odwiedzali Ciechocinek, w którym zawsze coś się działo, a przede wszystkim nie brakowało towarzystwa, w tym także znajomych i przyjaciółek Burgiewiczowej. Dwa razy byli także w Szczawnicy, raz w Zakopanem – choć podróż tam trwała dłużej i przez to była bardziej uciążliwa. Właśnie te podróże najbardziej irytowały doktora – z rodziną u boku i nieprzeliczoną ilością bagaży było to

nie lada przedsięwzięcie i niemal zawsze przy tej okazji dochodziło do jakiegoś nieporozumienia.

Dlatego i teraz natychmiast zrozumiał aluzję Kingi, która jednak nie wpłynęła na zmianę jego postanowienia.

– Tak to zorganizuję, że moja praca na tym nie ucierpi – odparł. – I naprawdę lepiej będzie, jeśli ci tam pomogę... choćby w odnalezieniu Gajewskiej i dotarciu do niej.

– Odnajdę ją sama – rzekła cicho Kinga, a widząc, że doktor zamierza dalej ją przekonywać, dodała jeszcze ciszej: – Ja wiem, czego wuj się obawia... Wuj myśli, że ja już do was nie wrócę.

– Staram się nawet nie dopuszczać do głowy takiej myśli – westchnął. Nie zamierzał się jednak poddawać, by przekonać ją do swojej racji. – Po prostu uważam, że jesteś za młoda, aby sama podejmować tak daleką podróż i narażać się na niebezpieczeństwa.

– Nie wybieram się na antypody, a jedynie do Krakowa – zaśmiała się w odpowiedzi. – A poza tym zawsze uważałam wuja za postępowego człowieka. Pamiętam, jak podczas jednego z przyjęć wygłosił wuj pogląd, że kobiety nie powinny być przez całe życie traktowane jak dzieci czy też bezrozumne stworzenia niezdolne do podejmowania żadnych samodzielnych kroków. A teraz twierdzi wuj...

– To nie były uwagi przeznaczone dla twoich uszu – sarknął komicznie. – Nie powinnaś podsłuchiwać. – Potem jednak wzruszył z rezygnacją ramionami. – Cóż, widocznie jestem hipokrytą, który ma nadzieję, że wygłaszane przezeń piękne i światłe teorie nigdy nie znajdą zastosowania na jego własnym, domowym podwórku. Nic na to nie poradzę, że życie kieruje się swoimi prawami, a ja po prostu się niepokoję. O ciebie, o Klementynę... – Zawiesił głos.

– Ale nie o Zbyszka – podchwyciła Kinga. – Choć wyruszył w znacznie

dalszą podróż.

– To nie to samo – skwitował, najwyraźniej niezadowolony z takiego, a nie innego biegu rozmowy.

– Dlaczego nie to samo?

– Wiesz, co mam na myśli, więc chyba nie ma sensu, abym wygłaszał tyradę. Nie wybierasz się wprawdzie na antypody, ale w pewnym sensie w nieznane. – Popatrzył na nią z powagą. – Nie ustalałaś niczego z tą kobietą, ona w ogóle się ciebie nie spodziewa. Nie wiesz zatem, co cię tam czeka. Nie znamy jej aktualnego adresu. Wiem, że występowała w teatrze, ale nie mam żadnej pewności, czy nadal tam pracuje. Od lat z nią nie rozmawiałem, nigdy też do siebie nie pisaliśmy. – Umilkł na chwilę i przetaił okulary. – Oczywiście, dzięki moim znajomym z Krakowa mogę się tego czy owego dowiedzieć, ale nawet wtedy nie będziesz miała żadnej pewności, czy ta kobieta ucieszy się na twój widok. Czy będzie chciała mieć z tobą do czynienia – dodał, nieświadomy faktu, że podobnej opinii Kinga wysłuchiwała od jego żony.

Wiedziała, że te argumenty miały sens, że były rozsądne, na dobrą sprawę trudne do odparcia. Wiedziała, że sama nie przedstawi równie przekonujących kontrargumentów i dlatego nawet nie próbowała tego robić. Ale wiedziała też, że chce podjąć ryzyko i chce to zrobić sama. Nawet jeśli wszystko przemawia przeciwko temu pomysłowi.

– Na miejscu dowiem się wszystkiego. Znajdę ten teatr i zapytam – odparła zdecydowanym, choć jednocześnie łagodnym tonem. Patrzyła w smutne oczy wuja, nie chciała, aby jej słowa zabrzmiały zbyt kategorycznie. – Już postanowiłam i nie zmienię zdania. Być może czasami sprawiam wrażenie nierozgarniętej, ale naprawdę wcale taka nie jestem – zażartowała, po czym dodała, już znacznie poważniejszym tonem: – Potrafię działać rozważnie, możesz mi zaufać, wuju.

– Jakże mogę nie reagować, gdy widzę, na co się porywasz?! Nie chodzi tu bynajmniej o zniechęcanie cię do tego, co już postanowiłaś, ale o zwykłą rozwagę. Właśnie o tę rozwagę, o której sama dopiero wspomniałaś. Wiem, że młodość ma prawo do mało rozsądnych działań, niemniej...

– Wuju... – Złożyła błagalnie ręce. – Pozwól mi jechać samej. Obiecuję, że nie narobię głupstw. I dobrze się do tego przygotuję.

– Wolę jednak osobiście dopilnować przynajmniej tych przygotowań – uśmiechnął się zgryźliwie, a potem westchnął. – Dobrze, nie będę nalegać. Niech i tak będzie. Nie chcę, abyś z mojego powodu czuła się tam skrepowana. Ale obiecuj, że napiszesz, jak tylko znajdziesz się na miejscu. I w razie jakichkolwiek problemów nie wahaj się i wracaj jak najszybciej. Nie przestanę uważać, że twoje miejsce jest w tym domu. I jestem pewien, że twoja ciotka jest tego samego zdania, cokolwiek by nie mówiła i jakkolwiek by okazywała swoją dezaprobatę.

– Dziękuję... – odparła Kinga, pozostawiając bez komentarza jego słowa na temat ciotki.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję – odparła, sama jednak słyszała, jak mało przekonująco to zabrzmiało.

Burgiewicz doszedł do podobnego wniosku, bowiem uśmiechnął się z rezygnacją.

– Pamiętaj, że zawsze będziesz mogła do nas wrócić. Nawet wtedy, gdy zwątpisz, czy to ma sens.

Potem, gdy została już sama, ni z tego, ni z owego przyszło jej do głowy, że mimo wszystko przekonanie wuja, by zgodził się na jej samotny wyjazd, przyszło jej zadziwiająco łatwo.

ROZDZIAŁ 11

Dwa tygodnie później wyruszyła w drogę. Gotowa była nawet przyśpieszyć wyjazd, jak się jednak przekonała, wuj bardzo poważnie potraktował swoją zapowiedź, że dopilnuje każdego szczegółu tej wyprawy. Przede wszystkim postanowił na własną rękę ustalić choćby najbardziej potrzebne informacje na temat Gajewskiej. Na przykład, gdzie dokładnie mieszka i czy nadal występuje w krakowskim teatrze. Zwłaszcza że po niedawnej rozbudowie tej instytucji nastąpiły tam daleko idące zmiany, a takie, co oczywiste, dotyczą przede wszystkim pracowników, a więc także artystów. Oczywiście nie wiadomo, jak daleko mogły sięgać te zmiany, ale zdaniem doktora należało to sprawdzić. A gdy Kinga ponownie zaczęła go przekonywać, aby nie martwił się na zapas, lecz pozwolił, aby sama zajęła się tymi ustaleniami, na dobre się zirytował.

– Przede wszystkim musiałem się najpierw upewnić, czy ta kobieta w ogóle jeszcze żyje. Wspominałem ci już przecież, że od dawna nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu.

– Jak to? – przerwała mu ze strachem. – Przecież mówił mi wuj, że ją widział.

– Widziałem ją trzy lata temu – przypomniał łagodnie. – Na scenie krakowskiego teatru. Ona z pewnością mnie nie zauważyła, zresztą i tak by mnie nie rozpoznała. W przeciwieństwie do niej, ja bardzo się zmieniłem,

zestarzałem – westchnął. – Powiedziałem ci o niej, bo spytałaś, czy coś mi wiadomo o jakichkolwiek krewnych ze strony twojego ojca. I dopiero potem, gdy nagle oznajmiłaś, że chcesz do niej pojechać, przyszło mi do głowy, że przecież w ciągu tych trzech minionych lat niejedno mogło się zdarzyć. – Próbowałem się uśmiechnąć. – Ale nie chciałem dodatkowo cię niepokoić, uznałem, że lepiej będzie, jeśli najpierw sam to sprawdzę. Na szczęście Gajewska wciąż żyje i ma się nie najgorzej.

– Rozumiem, wuju – odparła cicho, ale z nieskrywaną ulgą, a zarazem wdzięcznością w głosie.

– Ustaliłem też przy okazji inne kwestie dotyczące jej osoby. Nadal gra w teatrze, choć już znacznie rzadziej. I mieszka pod tym samym adresem, co przed laty.

– Naprawdę... nie trzeba było. Poradziłabym sobie, przecież już o tym mówiłam...

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że wysupłałem wszystkie oszczędności na drogich detektywów – przerwał, tym razem dość kwaśno, wuj. – Aż tak szalony nie jestem, wystarczy, że zaakceptowałem cały ten zwariowany pomysł. Nie poszedłem też do policmajstra i nie szukałem kontaktu z policją galicyjską.

– Nawet nie śmiałam przypuszczać... – zapewniła, z trudem tłumiąc śmiech.

– Wbrew pozorom, jeśli poszukiwany się nie ukrywa, wcale nie jest trudno go odnaleźć. A twoja ciotka, dzięki Bogu, nie popadła w konflikt z prawem. – Nadal nie zmieniał tonu. – Wystarczyło mi kilku znajomych, tu i w Krakowie. Nie wymagało to też specjalnego zachodu, choć Amelia Gajewska znana jest w niektórych kręgach pod swoim drugim nazwiskiem, a mianowicie Zimmer.

– Pseudonim sceniczny? – podchwyciła z zapalem Kinga, czując, tym

razem przyjemny, dreszczyk. Miała wrażenie, jakby już zagłębiała się za kotarę tego świata, który do tej pory był dla niej zupełnie inną rzeczywistością. Do teatru chodziło się głównie po to, by podziwiać i oklaskiwać największe gwiazdy, i ona także nie była tu wyjątkiem. Niemniej, poza zachwycaniem się ich grą, niewiele wiedziała o ich prawdziwym życiu, nie miała przecież żadnej możliwości, by wniknąć do ich świata. By ich poznać. Teraz wreszcie pojawiała się taka perspektywa, nawet jeśli towarzyszyła jej świadomość, że Amelia nie należy do grona gwiazd, lecz zasila grono aktorów drugorzędnych, na których na ogół widownia nie zwraca uwagi.

Doktor Burgiewicz jednak szybko sprowadził ją z obłoków na ziemię.

– Nie, żaden pseudonim sceniczny – odparł, a jego na pół rozbawione, a na pół pełne politowania spojrzenie nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, co sobie myślał o pełnym nieskrywanej afektacji pytaniu Kingi. – Twoja ciotka wyszła za mąż za Rudolfa Zimmera, stąd drugie nazwisko. Ale, jak się okazuje, ona sama od lat używa tylko tego pierwszego.

– On także jest aktorem? To znaczy... ten mąż? – spytała niepewnie Kinga. Fakt, że nieznana jej dotąd ciotka ma męża, znacznie komplikował i tak już niełatwe zadanie. Choć przecież z drugiej strony nie powinien zaskakiwać. Tamta kobieta miała pełne prawo wyjść za mąż, a także mieć dzieci.

– Z tego, co mi wiadomo, to nie, ale nie drażyłem tej sprawy. Tego zapewne dowiesz się już na miejscu – odparł nieco cierpkim tonem Burgiewicz. – A zatem jak będzie? Nadal jesteś pewna, że chcesz tam pojechać?

– Oczywiście – odparła, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej zdecydowanie.

– A nie wolałabyś najpierw... do niej napisać? Skoro masz już adres. Tak byłoby chyba rozsądniej.

Kinga dobrze wiedziała, że tak byłoby rozsądniej, mimo to zaprzeczyła.

– Nie. Nie będę jej uprzedzać – odparła.

Doktor popatrzył na nią z wahaniem, jakby zastanawiał się, czy udzielać jej kolejnej przestrogi, zwłaszcza takiej, która może zabołec.

– Może jednak lepiej byłoby to zrobić – rzekł powoli, porzuciwszy wcześniejszy, nieco prześmiewczy, ton. – Widzisz... Ta kobieta, bądź co bądź wcale nie najbliższa krewna, naprawdę może wcale nie chcieć tego spotkania. Lepiej, abyś dowiedziała się o tym teraz, zanim podejmiesz podróż, która może okazać się jedynie zmarnowaniem czasu, a w dodatku mogłaby ci przynieść gorzkie rozczarowanie.

– Nie zmarnuję czasu – uśmiechnęła się trochę smutno Kinga. – Przynajmniej spojrzę jej w oczy. Zobaczę, jak wygląda. Jeśli faktycznie okaże niezadowolone, postaram się ją zapewnić, że niczego od niej nie chcę, oprócz tego, żeby poświęciła mi parę minut i opowiedziała o moim ojcu. A właściwie o obojgu rodzicach, o ich wspólnym życiu w Krakowie. Przecież oprócz niej nikt mi o tym nie opowie...

Przerwała, dostrzegłszy zmianę na twarzy wuja, jakby przesunął się po niej cień. W każdym razie doktor nie skomentował już jej odpowiedzi, a jedynie pokiwał głową.

– Przygotuj się zatem do drogi – skwitował krótko. – Ja zajmę się biletami i innymi formalnościami.

To ostatnie zaś oznaczało, że wyasygnował już pieniądze na jej podróż i najbardziej niezbędne wydatki. Nie była to przesadnie duża suma, bowiem – jak zaznaczył – mogłoby to zwracać na nią niepotrzebną uwagę i nawet okazać się niebezpieczne, obiecał jednak, że w razie potrzeby dostarczy jej potem potrzebnych funduszy. W jaki sposób? Najrozsądniej będzie otworzyć rachunek lub kredyt w banku, dodał. Kinga próbowała protestować, lecz robiła to bez przekonania i jedynie dla zachowania pozorów – sama przecież

dobrze wiedziała, że przynajmniej na początku będzie potrzebowała takiej pomocy.

Maria Burgiewiczowa ignorowała w tym czasie siostrzenicę, traktując ją jak powietrze, lecz jej pełne urazy milczenie tym razem chybiło celu – Kinga przyjęła z ulgą taką właśnie reakcję ciotki. Było to lepsze od głośnych wyrzekań, lamentów, a nawet awantur, do jakich tamta była zawsze skora. Dlatego też nie przejmowała się, że nie była wzywana do stołu na wspólne posiłki; wyjątek stanowiły jedynie te (nieliczne) wieczory i popołudnia, gdy doktor Burgiewicz wracał na obiad lub kolację do domu i wyrażał życzenie, aby Kinga także była obecna w jadalni. W związku z tym czasami to właśnie doktorowa nie zjawiała się przy stole, chcąc w ten sposób – jak przypuszczali – zademonstrować swoje niezadowolenie wobec całej sytuacji, z czego zresztą oboje byli kontenci. Zadowolenie to podzielała po cichu także Zosia, która na ogół za byle głupstwo była łajana albo przez panią domu, albo przez Tomaszową. Doktor nigdy tego nie robił i dlatego w jego obecności młoda pokojówka i kucharka czuły się znacznie swobodniej, nie popełniając przy tym żadnych gaf. Tomaszowa zaś pod nieobecność doktorowej, w towarzystwie samego tylko pana domu, wyraźnie pokorniała. Problem polegał jednak na tym, że na taki spokój przy stole można było liczyć zbyt rzadko – Burgiewicz przeważnie wracał już po kolacji, toteż Kinga zwykle spożywała swój posiłek w kuchni, nad czym zresztą wcale nie ubolewała, bez protestów schodząc z oczu stale naburmuszonej ciotce.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że w ciągu owych dwóch tygodni przygotowań Kingi do wyjazdu atmosfera w domu Burgiewiczów była napięta do granic. Milczenie, jakim pani domu karała męża i siostrzenicę, nie mogło trwać bez końca, choćby z tej przyczyny, że to właśnie ona zносиła je najdotkliwiej. Było ono sprzeczne z jej temperamentem, z czego zdawali sobie sprawę wszyscy wokół i chociaż nikt nie przyznał się do tego na głos,

każdy po cichu zdawał sobie sprawę, że awantura jest nieunikniona, że wisi na coraz cieńszym włosku. A ponieważ kamienica na Kruczej była własnością Burgiewiczów, najszybciej skutki złego nastroju właścicielki odczuli najemcy lokali. Mieli bowiem to nieszczęście, że byli dość łatwym celem, gdy zapragnęła dać wreszcie upust swojej frustracji. Na dobrą sprawę w całym domu nie było ani jednego lokatora, któremu by w tym czasie nie wypomniała takich czy innych uchybień, nawet tych, zdawałoby się, dawno zapomnianych lub zupełnie bez znaczenia. Wypomniane zostały najmniejsze hałasy, jak na przykład głośny śmiech lub płacz dzieci; zresztą najmłodszy lokatorzy kamienicy byli, zdaniem Burgiewiczowej, szczególnie uciążliwi ze względu na bieganie po schodach i korytarzach. Nawet wyraźny zakaz zabawy na podwórzu był ustawicznie łamany przez tę niedopilnowaną przez lekkomyślną matkę hałastrę. Ale dostało się też lokatorce z parteru za rozlaną w sieni wodę, innej zaś – za ślady mydlin przy studni. Mieszkający na ostatnim piętrze dwaj studenci byli podejrzewani o pijaństwo i ustawiczne naruszanie szóstego przykazania. Właścicielka wypomniała im też późne powroty do domu, co w konsekwencji oznaczało, że stróż był zmuszony otwierać im w nocy bramę, przy czym nikt z mieszkańców nie śmiał ripostować, że może gdyby brama była zamykana o nieco innej porze, a przede wszystkim gdyby wreszcie naprawiono zardzewiałe i skrzypiące niemiłosiernie zawiasy, nie byłoby powodu do takich wyrzekań. Nawet zamożniejsi mieszkańcy, zajmujący lokale na pierwszym i drugim piętrze, byli zmuszeni wysłuchać uwag właścicielki, aczkolwiek oczywiście wygłaszanych już nieco innym tonem.

Wielką pociechą dla doktorowej były jak zwykle wizyty córki, choć dochodziło do nich zdecydowanie rzadziej niż do tej pory. Wcześniej Klementyna zjawiała się u matki codziennie, spędzając na Kruczej bez mała pół dnia – jednak od kiedy dowiedziała się o odtrąceniu przez Kingę pana

Milewicza i planowanym wyjeździe kuzynki, pojawiła się zaledwie trzy razy. W każdych innych okolicznościach tak rzadkie wizyty można by było wytłumaczyć jej samopoczuciem związanym z wczesnym okresem ciąży, lecz, pomimo że rzeczywiście ostatnio wyglądała bardzo mizernie, nikt z domowników, zwłaszcza Kinga, nie miał wątpliwości, że to nie jedyna i na pewno nie najważniejsza przyczyna takiej zmiany. Świadczyły o tym pełne dezaprobaty i gniewu spojrzenia, jakimi czasem obrzucała cioteczną siostrę, choć na ogół udawała, że jej nie dostrzega.

Innych gości doktorowa w tym czasie nie przyjmowała, raz tylko zrobiła wyjątek dla radczyni Wolskiej, po pierwsze dlatego, że przyjaźniła się z nią bardziej niż z innymi paniami, a po wtóre wykorzystała ten fakt, by zbolącym głosem wytłumaczyć, że z powodu fatalnego stanu zdrowia i zszarganych nerwów nie jest na razie w stanie urządzić przyjęć i wieczorów artystycznych.

Biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności i towarzyszącą im atmosferę, Kinga wręcz nie mogła doczekać się wyjazdu. Nawet niepokój związany z podróżą wydawał się idyllą w porównaniu z ostatnimi dniami, jakie miała spędzić na Kruczej.

Na dwa dni przed wyprawą, gdy kończyła pakować kufer, Zosia oznajmiła jej, że przybyła Klementyna.

– Kuzynka Klementyna? – zachnęła się Kinga.

Akurat tego popołudnia doktorowej nie było w domu. Wyszła zaraz po obiedzie, głośno oznajmiwszy Tomaszowej, że musi załatwić ważne sprawunki na mieście. Kinga była pewna, że ciotka poszła odwiedzić swoją córkę, a niewykluczone, że – o ile Klementyna czuła się trochę lepiej – razem wyruszyły do magazynów lub na spacer. Zwłaszcza że ostatnio pogoda wyraźnie się poprawiła. Pokazało się słońce, dzięki czemu nawet przymrozek nie był zbyt dokuczliwy. Lecz okazało się, że to właśnie Klementyna

przyszła z wizytą i nie zastała matki. Kinga jęknęła w duchu.

– Trzeba było powiedzieć mojej kuzynce, że pani Burgiewiczowej nie ma teraz w domu – rzekła, nie starając się nawet ukryć niezadowolenia.

Zosia, która nigdy nie odważyła się zaprotestować przeciwko połajankom Burgiewiczowej, nie obawiała się tego robić, gdy usłyszała najmniejszą choćby wymówkę ze strony Kingi. Tym razem również się naburmuszyła.

– Powiedziałam, ale pani Klementyna chce się widzieć z panią.

– Ze mną? – Kinga od razu nabrała złych przeczuć.

– Tak – mruknęła młoda pokojówka, przewracając przy tym oczami.

Kinga wiedziała, że dziewczyna na zbyt wiele sobie wobec niej pozwalała, ale postanowiła, że tym razem pozostawi to bez komentarza. Po pierwsze – jej uwagi nigdy nie robiły na Zosi wrażenia; dobrze wiedziała, że siostrzenica doktorowej znaczyła w tym domu niewiele więcej od panny służącej. A po drugie – wobec zbliżającego się wyjazdu nie warto było podejmować słownej potyczki ze służbą.

Mina kuzynki także nie zapowiadała niczego dobrego, lecz z drugiej strony i do tego Kinga zdążyła już przywyknąć. Jak i do tego, że Klementyna w ostatnim czasie zupełnie ją ignorowała. Cóż, tym razem miało być inaczej, a w dodatku wszystko wskazywało, że nie będzie to miła, pożegnalna pogawędka.

– Twojej matki nie ma w domu – zagaiła Kinga. – Niestety nie mam pojęcia, kiedy wróci. Myślałam, że poszła cię odwiedzić... – Przez chwilę zastanawiała się, co by tu jeszcze dodać, ale żaden pomysł nie przychodził jej do głowy. Nie podobało jej się spojrzenie Klementyny, drażniła ją obecność kuzynki, nie miała ochoty na rozmowę. Przecież na dobrą sprawę nigdy normalnie ze sobą nie rozmawiały, każda wymiana poglądów, nawet w najbardziej błahych sprawach, kończyła się nieporozumieniem. Teraz też tak będzie, co do tego Kinga nie miała wątpliwości. Ani ochoty na kolejną

utarczkę.

– Wiem, że mamy nie ma w domu – odparła chłodno Klementyna – ale przyszedłam pomówić z tobą.

– Ze mną? – skrzywiła się Kinga. – Oczywiście, możemy... Jestem zajęta pakowaniem bagażu, ale skoro sobie życzysz... – Spojrzenie kuzynki irytowało ją coraz bardziej, mimo to postanowiła zachować się na tyle uprzejmie, na ile mogła. – Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu – dodała, choć Klementyna wcale nie wyglądała najlepiej. Czemu zresztą niezwłocznie dała wyraz.

– Daruj sobie te wyszukane frazesy. Nie musisz udawać, że się o mnie troszczysz, zresztą wcale tego od ciebie nie oczekuję.

– O co zatem chodzi? – spytała spokojnie Kinga, choć krew w niej zawrzała. – Jaką masz do mnie sprawę? Jestem...

– Tak, wiem, jesteś zajęta – przerwała jej coraz bardziej wzburzona Klementyna. – Już mi to raczyłaś oznajmić. Nie obawiaj się, nie zajmę ci dużo czasu. Początkowo w ogóle nie zamierzałam o tym z tobą mówić, ale potem pomyślałam, że byłoby dobrze, abyś wiedziała, co o tym wszystkim sądzę. Co sądzę o tobie.

– Jeśli tylko o to chodzi, to możesz sobie darować – zdenerwowała się wreszcie Kinga. – Szkoda na to i mojego, i twojego czasu. Wiem, co o mnie myślisz, bo nigdy tego nie ukrywałaś.

– Sprawiałaś przykrość nie tylko tak zacnemu człowiekowi jak pan Cezary Milewicz, ale po raz kolejny obraziłaś moją matkę! – wybuchnęła Klementyna. – W dodatku tym razem zmartwiłaś ją bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Za nic miałaś i masz wszystkie starania, jakie dla ciebie podjęła. A także jej poświęcenie.

Patrząc na nią, Kinga nie mogła się oprzeć pewnemu odruchowi zdumienia. Dotąd zawsze uważała, że podobieństwo Klementyny do matki

dotyczyło wyłącznie wyglądu zewnętrznego. W zgodnej opinii wielu ludzi brakowało jej jednak silnej osobowości doktorowej, jej temperamentu i niespożytej energii. Kinga także podzielała ten pogląd, przynajmniej do tej pory, bowiem gdy teraz obserwowała wzburzenie malujące się na twarzy kuzynki, jej pociemniałe z gniewu oczy, gdy słuchała jej podniesionego głosu, doszła do wniosku, że oto ma przed sobą młodszą wersję ciotki. Maria Burgiewiczowa zapewne tak wyglądała dwadzieścia lat temu.

Nie zamierzała jednak dłużej tego znosić. Ani takich wybuchów, ani podobnych słów. Nigdy więcej, ani jednego dnia dłużej. A nawet ani jednej minuty. Nie było sensu odpierać tych zarzutów, z których większość знаła na pamięć.

Zdecydowanym, pełnym godności ruchem podniosła się z krzesła.

– Wystarczy, kuzynko – rzekła twardym tonem. – Dość już powiedziałaś. Nie będę z tobą dyskutować, bo to strata czasu. A takie wybuchy są w twoim stanie niewskazane i mogą ci tylko zaszkodzić. Dlatego lepiej będzie, jeśli cię teraz zostawię i wrócę do moich bagaży. Jeśli masz ochotę, poczekaj tu sama na swoją matkę.

Ruszyła do drzwi, ale Klementyna bynajmniej nie uważała rozmowy za skończoną. I wbrew ostrzeżeniu Kingi drżała na całym ciele; bez wątpienia była coraz bardziej wzburzona.

– Czy mój mąż miał coś wspólnego z twoją decyzją wyjazdu do Krakowa? – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Kinga na moment zamarła. Pytanie do tego stopnia ją zaskoczyło, że potrzebowała kilku sekund, by zebrać myśli. Kilku sekund, nie więcej... Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że to i tak zbyt wiele. I że Klementyna mogła dojść do podobnego wniosku. A przecież odpowiedź była bardzo prosta. Przynajmniej na to pytanie.

– Nic podobnego. Skąd ci to przyszło do głowy? – odparła lodowatym

tonem. Może nawet ostrzej, niż pierwotnie zamierzała.

Klementyna nie spuszczała z niej wzroku, jej spojrzenie paliło, ale Kinga je wytrzymała. Zastanawiała się jednak w duchu, czy kuzynka przypadkiem nie wpadnie teraz na pomysł, by zadać inne pytanie. A mianowicie, czy Aleksander miał coś wspólnego z odrzuceniem oświadczyn Milewicza. Wprawdzie nie było powodu, by Klementyna mogła coś podobnego podejrzewać – a przynajmniej Kinga takiego powodu nie widziała – ale kto wie, jakie jeszcze myśli snuły się jej po głowie. Oczywiście i tym razem Kinga by zaprzeczyła, tyle że w tym przypadku byłoby to kłamstwem, a wołała tego unikać. Nie potrafiła przekonująco kłamać.

– Może i dobrze, że wyjeżdżasz... I najlepiej by było, abyś już nie wracała – rzekła wreszcie Klementyna. – Nigdy nie powinnaś była tu zamieszkać. Nigdy, nawet przez jeden dzień...

Powiedziała to znacznie ciszej i spokojniej niż poprzednio, a mimo to jej słowa poruszyły Kingę do żywego. I ku jej własnemu zaskoczeniu, mimo wszystkich okoliczności, mimo pogodzenia się z faktami, zabołały.

– Więc przynajmniej ten jeden jedyny raz się ze sobą zgadzamy – odparła, także nie podnosząc już głosu.

Na łzy pozwoliła sobie dopiero wtedy, gdy znalazła się z powrotem w sypialni. Siedząc na łóżku, pośród leżących tam sukien, w pełni sobie uświadomiła, że myliła się, sądząc, że już dawno pożegnała się z nadzieją na pozyskanie przyjaźni kuzynki. Stało się to dopiero teraz, przed chwilą, tym razem naprawdę nieodwołalnie.

I nawet fakt, że zarówno pokój, w którym od dziesięciu lat sypiała, jak i suknie, które pakowała do kufra, tak naprawdę nigdy nie były jej własnością, lecz zostały jej z łaski darowane, nie mógł przygnębiać bardziej niż słowa Klementyny.

Gdy dwa dni później wyruszyła w drogę, w swoją pierwszą samodzielną

podróż, i przypatrywała się z okna przedziału mijanym polom, lasom i miasteczkom, nadal jeszcze czuła w sercu ból. I może dlatego obawa, niepewność, a także nadzieje, jakie pokładała w tej podróży, nie miały już tak wielkiego znaczenia jak przed rozmową z kuzynką.

ROZDZIAŁ 12

Zbliżywszy się do siedziby teatru krakowskiego, Kinga przystanęła i przez dłuższą chwilę wpatrywała się bez ruchu w imponującą, okazałą budowlę. Wiedziała, że to nowy gmach, zaledwie kilka lat temu oddany do użytku – już wcześniej miała okazję czytać na ten temat. Poza tym pan Kazimierz Rozwadowski, właściciel pensjonatu, w którym dzięki staraniom wuja się zatrzymała, nie szczędził jej szczegółów dotyczących zarówno teatru, dyrekcji, jak i artystów. Choć oczywiście mówił tylko o tych najbardziej znanych, o ulubieńcach publiczności, jak chociażby Kamiński, Solski, Siemaszkowa, bo to przecież głównie oni przyciągali widownię. Dla nich przychodziło się na przedstawienia. Kinga od razu zdała sobie sprawę, że o tych, którym powierzano role drugo- i trzecioplanowe, nie warto nawet pytać, bo prawdopodobną reakcją pana Rozwadowskiego byłoby zdumione spojrzenie, lekceważące wzruszenie ramion, a kto wie, może naraziłaby się na Bóg wie jakie podejrzenia. Dlatego też wysłuchiwała uważnie i cierpliwie długiej opowieści staruszka, który rad był, że wreszcie znalazł chętnego i tak wdzięcznego słuchacza. Na ogół bowiem goście nie przejawiali większego, a bywało, że nawet minimalnego zainteresowania dla jego wspomnień i opowieści, wobec czego dokładali wszelkich starań, by w miarę możliwości go unikać. Zwłaszcza gdy się zorientowali, że nawet niezobowiązująca pogawędka może dość szybko przekształcić się w długi monolog pana

Rozwadowskiego. Dlatego swoje kontakty z nim ograniczali do spraw czysto formalnych, nawet wtedy, gdy domyślali się, że samotny, spragniony rozmowy staruszek za wszelką cenę szuka towarzystwa innych ludzi. Kinga wiedziała o tym od wuja Stefana, bowiem doktor kilka razy wynajmował pokój w tym pensjonacie. On też wysłał do Rozwadowskiego telegram, w którym polecał mu siostrzenicę żony, na co staruszek odpowiedział bezzwłocznie i nawet przysłał po Kingę dorożkę na stację. Podjął ją też, jakby była członkiem rodziny, którego się wita z radością. A potem dał klucze do jednego z najładniejszych pokoi.

– A więc panienska jest siostrzenicą pana doktora... No, no... – powtórzył kilka razy, jakby była to nie wiadomo jak istotna nowina. W pierwszym odruchu sprostowała wprowadzie jego słowa, mówiąc, że jest siostrzenicą doktorowej, ale wyglądało na to, że dla starego nie stanowiło to różnicy, bo i tak powtarzał swoje. A parę razy dostrzegła nawet wzruszenie w jego oczach. Domyśliła się więc, że darzył szczególną sympatią jej wuja, który w przeciwieństwie do innych bywalców pensjonatu nie zbywał go pod byle pretekstem, i postanowiła, że będzie dla niego równie miła. I z tą samą cierpliwością wysłucha wszystkiego, co miał jej do powiedzenia.

Martwił się, czy aby na pewno Kinga trafi sama do teatru, i choć zapewniała go, że nie będzie z tym żadnych problemów, nie wyglądał na przekonanego. Choć na szczęście nie upierał się, że osobiście zaprowadzi ją na miejsce. Przecież to w gruncie rzeczy niewielkie miasto, nie wyobrażam sobie, że można w nim zabłądzić, chciała nawet powiedzieć, ale w dosłownie ostatniej chwili ugryzła się w język. Bo chyba nie spodobałyby mu się takie słowa.

Gdy jednak zatrzymała się przed pięknym, nowym gmachem krakowskiego teatru, nie mogła wyjść z podziwu. To w istocie przecież niewielkie galicyjskie miasto miało w posiadaniu prawdziwą perłę,

w każdym razie ona, Kinga, piękniejszego budynku na oczy dotąd nie widziała. Stary Rozwadowski miał wszelkie powody do dumy.

Drgnęła, gdy usłyszała za sobą głośny śmiech, i w ostatniej chwili odsunęła się na bok, nie była bowiem pewna, czy kilku rozbawionych młodzieńców w ogóle zauważyło, że stała im na drodze. Spozrzegli ją jednak, bo uchylili kapeluszy, a jeden z nich, mrugnawszy do niej szelmowsko, zawołał:

– Co tak panna stoi jak zakłeta! Jak się panna nie pośpieszy, to zaraz nawet przy rampie miejsca zabraknie i zostanie tylko gnieść się w tłumie na parterze. A to raczej nie byłoby wskazane, bo to w takim tłumie niejedno się może przytrafić! – I ponownie wybuchnął śmiechem, a kompani mu zawtórowali.

Uznała, że najlepiej nie odpowiadać – zresztą i tak żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy – dlatego bez słowa ruszyła w stronę pobliskiego skweru. Jak się jednak okazało, wesoły młodzieniec nie zamierzał rezygnować.

– Nie ma co się zaraz obrażać! – zawołał. – Nie ma się czego bać... – Mrugnął zawiadaczko do zarumienionej z zakłopotania dziewczyny. – My tak tylko sobie niewinnie żartujemy.

– Nie szkoda panom na to czasu? – sarknęła. – Przecież sam pan powiedział, że zaraz będzie za późno nawet na miejsce przy rampie.

– Nas ten problem nie dotyczy. – Uśmiechnął się, ale teraz już inaczej niż wcześniej. A gdy uchylił kapelusza, prezentował się niemal jak dżentelmen. – My sobie umiemy radzić. Może zechciałaby panienska nam towarzyszyć? Znajdziemy dobre miejsce, niedaleko sceny. Może trochę z boku, ale to, co trzeba, da się stamtąd zobaczyć.

– Nie, dziękuję bardzo – odparła wyniośle, lecz młody człowiek nie wydawał się zrażony tym tonem. Przeciwnie, złożył ręce niczym do

modlitwy.

– Ale ani ja, ani moi przyjaciele naprawdę nie mamy nic złego na myśli. Prawda, chłopcy? – rzucił przez ramię do pozostałych.

– Nie wybieram się na spektakl – odparła. – Chciałam tylko obejrzeć gmach, to wszystko.

Z niezadowoleniem spostrzegła, że cała sytuacja zaczęła zwracać uwagę przechodniów. Mogła sobie tylko wyobrazić, co ci wszyscy ludzie myśleli na jej temat, bo młodzieńcy mogli na ogół liczyć na większą pobłażliwość – to przecież zrozumiałe, że chłopcy, czy nawet młodzi mężczyźni, od czasu do czasu dokazują. W przypadku młodej kobiety sprawa wyglądała już jednak inaczej. Kinga aż za dobrze pamiętała komentarze ciotki i jej znajomych na temat kobiet, które znalazły się w różnych kompromitujących je sytuacjach. Jeśli taka zbyt swobodnie podchodzi do powszechnie obowiązujących zasad, niech się potem nie dziwi, że ściąga na siebie kłopoty. Okazja, jak to mówią, czyni złodzieja.

Gdyby ciotka Maria mogła mnie teraz zobaczyć, dopiero by miała używanie, pomyślała z przekąsem Kinga.

– Naprawdę nie chce pani obejrzeć wielkiego Kamińskiego w Koncercie Bahra?

Pytanie zostało zadane grzecznym tonem, mimo to Kinga zbyła je milczeniem. Tyle przynajmniej osiągnęła, że młody człowiek dał wreszcie za wygraną, przywoływany zresztą przez zniecierpliwionych kolegów, których znacznie wcześniej zniechęciło pełne rezerwy zachowanie dziewczyny.

– Wolałabym zobaczyć Amelię Gajewską – mruknęła pod nosem Kinga, gdy młodzian w końcu zostawił ją samą. Taka odpowiedź z pewnością by go zdziwiła, zbiła z pantałyku. Na samą myśl Kinga nie mogła powstrzymać uśmiechu. Potem jednak spoważniała i posmutniała. Ani ten chłopak, ani jego koledzy najprawdopodobniej nie mieli pojęcia o istnieniu Amelii

Gajewskiej, a co dopiero o jej ewentualnym występie. Dla nich liczył się wyłącznie wielki Kamiński, aktorzy dalszego planu nie mieli żadnego znaczenia. Nikogo nie obchodzili.

Zresztą i tak nie mam biletu na przedstawienie, dodała już tylko w myślach. I pewnie za późno już na kupienie, skoro oblegane są nawet najtańsze, pozbawione elementarnych wygód miejsca. Poza tym szkoda jej było na to pieniędzy, skoro nawet nie wiedziała, czy zobaczyłaby na scenie osobę, dla której tu przybyła.

Postanowiła, że jednak wejdzie do środka i przynajmniej zapyta kogoś z obsługi, czy Gajewska gra tego wieczoru w spektaklu. Jeśli tak, to poczeka tu, aż przedstawienie się skończy, a wtedy...

Wtedy po prostu do niej podejść, postanowiła. Ktoś mi ją przecież wskaże...

Jednak już przy wejściu drogę zagroził jej mężczyzna w uniformie, przypominający portiera hotelowego.

– Nie ma już biletów – oznajmił kategorycznie. – Może panienka spróbować innym razem.

Kinga domyśliła się, że tak autorytatywny ton miał zapewne na celu onieśmienie każdego, kto wszelkimi sposobami próbował wcisnąć się do teatru. A fakt, że ona bynajmniej nie uciekała się do żadnego fortelu, nie miał tu znaczenia. Tak czy inaczej, odźwierny przyglądał się jej krytycznie i podejrzliwie.

– Nie wybieram się na przedstawienie – pośpieszyła z wyjaśnieniem, spostrzegłszy, że zamierzał zamknąć jej drzwi przed nosem. – Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy wśród występujących dzisiejszego wieczoru znajduje się pani Amelia Gajewska, to znaczy Zimmer – poprawiła się czym prędzej, widząc, że mężczyzna zmarszczył brwi. Kto wie, może wbrew temu, co twierdził wuj Stefan, Amelia była tu jednak bardziej znana pod

nazwiskiem swego męża?

Tak czy owak, od razu spostrzegła wyraz zdumienia na twarzy pracownika teatru. Nie spodziewał się tego pytania; kto bowiem pyta o aktorów dalszego planu!

– A może pan nawet nie wie, kto to taki? – dodała prawie wyzywająco, a z pewnością zuchwale.

Spodziewała się szorstkiej odpowiedzi, a nawet bezpardonowego zatrzęsnięcia drzwi przed nosem, tak się jednak nie stało. Tym razem, ku jej zaskoczeniu, na twarzy odzwierne go pojawił się cień uśmiechu.

– Gajewiczanka dziś nie występuje – odparł, wprowadzając nadal służbowym, niemniej już nie tak autorytatywnym tonem. – Ale siedzi na widowni wraz ze swoim towarzystwem. Mają miejsce na balkonie.

– W takim razie zaczekam na nią na zewnątrz. – Kinga ponownie poczuła mocniejsze uderzenia serca. – Dziękuję panu.

Mężczyzna wyraźnie się zawahał i zafrasował.

– Ostatecznie mógłbym wpuścić panienkę do środka, ale pod warunkiem, że zaczeka panienka w hallu. Dalej, na widownię, bez biletu naprawdę nie można...

– Przecież wiem – uśmiechnęła się. – Obiecuję, że stanę lub usiądę tam, gdzie mi pan wskaże.

I tak było to więcej, niż mogła się spodziewać. Początkowo przecież zakładała, że spędzi ten czas na zewnątrz, na ulicy, ewentualnie pospaceruje dla zabicia czasu – byłoby to nawet bardziej interesujące zajęcie niż oglądanie przez co najmniej dwie godziny sieni i hallu, miało jednak tę wadę, że stale musiałyby uważać, by nie przeoczyć chwili, gdy widzowie będą opuszczać teatr. A i wtedy musiałyby zaczepić kogoś z obsługi, by wskazał jej Amelię, co bez wątplenia zajęłoby jej trochę czasu, o ile w ogóle skończyłoby się powodzeniem. Przebywając w środku, miała większe szanse

na pomoc odźwiernego.

Usiadła zatem na wskazanym jej krześle i z braku innego zajęcia rozglądała się wokół, jednocześnie nasłuchując odgłosów z widowni. Czasami był to chóralny śmiech, czasami pełna skupienia cisza, po której rozlegały się brawa. Domyślała się, że podobnie jak w warszawskich teatrach rządowych owacjami nagradzano kwestie wygłaszane przez aktorów pierwszoplanowych, zwłaszcza tych najbardziej uwielbianych przez publiczność.

– Piękny teatr – uśmiechnęła się uprzejmie do odźwiernego, który od czasu do czasu zerkał w jej stronę.

Pokiwał głową, ale w jego oczach dojrzała wyraźną rozterkę.

– Piękny – westchnął. – Ale mnie wciąż brakuje tego poprzedniego. To znaczy starej siedziby. Mądre to, jak widać, i prawdziwe powiedzenie, że starych drzew się nie przesadza. – A ujrawszy w spojrzeniu dziewczyny wyraźne zainteresowanie i zachętę, dodał: – Tak, panienko. Ja wciąż pamiętam czasy dyrektora Koźmiana. Cóż to był za artysta, i jaka fantazja! Choć przecież po prawdzie nie był aktorem, lecz antreprenerem. I w dodatku dużo czasu zajmowała mu praca polityka. Co nie zmienia faktu, że był także wielkim artystą, rozumiał sztukę, wprowadził wiele zmian, a przede wszystkim zgromadził taki zespół, jakiego inne miasta mogły mu pozazdrościć. Modrzejewska, Rapacki, Leszczyński, Ładnowski. Opuścili go potem... Wybrali Warszawę. Ale Hoffmanówna i Benda zostali w Krakowie. Antonina Hoffman była jego wielką miłością, pewnie słyszała panienko o tym?

Kinga nie słyszała, ale skinęła głową. Starszy człowiek chyba jednak nie oczekiwał od niej odpowiedzi; wyglądało na to, że cieszył go fakt, że ma przed kim snuć swoje wspomnienia. Domyślała się, że podobnie jak w przypadku Rozwadowskiego, także on nie miał ku temu zbyt wielu okazji.

– Więc pan ich wszystkich widział na scenie? – spytała zaintrygowana.

– O tak, widziałem, choć czasami tylko podczas prób. Bywało też, że wołano mnie, abym pomógł coś naprawić albo przesunąć na scenie. Tak, tak... Drugiego takiego jak Koźmian już nie będzie. I takich artystów jak tamci. Nie to, żebym uważał, że ci dzisiejsi są gorsi – zastrzegł pośpiesznie, jakby w obawie, czy nie pozwolił sobie jednak na zbyt dużą szczerłość. – Skądże znowu... Dyrektor Pawlikowski i jego nowy zespół także cieszą się dużym uznaniem. Solski, Kamiński i Siemaszkowa... A do tego tacy dramatopisarze jak Wyspiański, Zapolska... Tak, to wszystko prawda... I publiczności się podobają. Młodzi to już nawet tamtych poprzednich nie pamiętają... Ale cóż, ja jednak ich nie zapomniałem. I tęsknię... tak jak tęskni się za młodością. – Na dłuższą chwilę zapadła cisza i gdy Kinga spodziewała się, że starszy człowiek odejdzie już bez słowa do swych zajęć, ten niespodziewanie jakby wybudził się z zamyślenia i przyjrzał jej się z uwagą: – A można wiedzieć, czemu panienka taka ciekawa Amelii Gajewskiej? Bo to, wybacz panienka, trochę zdumiewa...

– Domyślam się – przytaknęła Kinga, czując, że zaczyna jej się robić gorąco. Czemu się denerwuję, zapytywała siebie w myślach, przecież to zwykły odźwierny, nic mu do tego, że chce widzieć właśnie tę, a nie inną aktorkę. A jednak nic nie mogła poradzić na to, że targały nią coraz większe emocje. – Ale to dla mnie ważne – dodała, choć zdawała sobie sprawę, że taka odpowiedź niewiele w gruncie rzeczy wyjaśniała.

Odźwierny przyjął jednak jej słowa z wyraźnym zadowoleniem.

– To dobrze, że panienka chciałaby zobaczyć kogoś z dawnego zespołu. Rzadka to cecha u młodych. A kto panience w ogóle powiedział o tej akurat aktorce? Pewnie mamusia, a może i babka, bo któż inny jeszcze by pamiętał?

– Tak – potwierdziła Kinga, uznając, że nie ma potrzeby zwierzania się przed tym skądinąd miłym, lecz obcym człowiekiem. – Mógłby mi pan ją

wskazać, gdy będzie tędy przechodziła? Inaczej z pewnością jej nie rozpoznam.

– Oczywiście. Może panienka na mnie liczyć – rozpromienił się i rzeczywiście, gdy tylko po skończonym spektaklu pierwsi widzowie pojawili się na schodach prowadzących do szatni, od razu ustawił się na baczność i wyciągnął szyję. Kinga także podniosła się z krzesła, lecz stała nieco dalej, z tyłu, i dopiero teraz poczuła, że ogarnia ją coraz większe onieśmienie.

Co ja jej powiem? Na Boga, nawet nie wiem, jak zacząć, zastanawiała się gorączkowo. Jeszcze chwila, a wpadnę w panikę, a wtedy słowa z siebie nie wyduszę. W każdym razie nie mogła sobie przypomnieć ani jednego z tych, które układała sobie w głowie podczas podróży do Krakowa, a potem powtarzała w drodze do teatru. Nogi się pod nią ugięły, gdy spostrzegła, że w pewnym momencie odźwierny podszedł do grupy kilkorga rozbawionych osób i ukloniwszy się, zaczął im coś tłumaczyć, jednocześnie wskazując na stojącą z tyłu zarumienioną dziewczynę. A potem, odwróciwszy się w jej stronę, nakazał gestem, aby podeszła. Zrobiła to, choć ilekroć potem wspominała ten moment, nadziwić się nie mogła, jak udało jej się wykonać pierwszy, a potem każdy następny krok. Nogi miała jak waty, a poza tym... nie mogła się oprzeć wrażeniu pewnej nierealności całej sytuacji. Jakby sama brała udział w jakimś przedstawieniu, które przecież prędzej czy później się skończy, a ona wróci do swojego prawdziwego życia. Cokolwiek by się nie kryło pod tym słowem.

– To właśnie ta panienka – oznajmił, najwyraźniej dumny z wykonania powierzonego mu zadania, gdy Kinga wreszcie podeszła bliżej. – Ta panienka koniecznie chciała panią poznać, pani Amelio. Czekala tu dwie bite godziny. Tak było.

Gdy drżąca na całym ciele Kinga odważyła się podnieść wzrok,

natychmiast napotkała spojrzenia dwóch rozbawionych kobiet i dwóch mężczyzn.

– Jakie miłe dziecko – odezwała się jedna z kobiet melodyjnym, lecz nieco afektowanym, głosem.

– Dzień dobry państwu – wyjąkała Kinga, zdając sobie sprawę, że prezentuje się teraz jak pensjonarka, która po raz pierwszy wyjrzała na szeroki świat.

No bo przecież, po prawdzie, tym u licha jestem, sarkała w duchu. Co mnie odróżnia od tej nieszczęsnej pensjonarki? I po co mi była ta cała awantura?! Już lepiej było zgodzić się na małżeństwo z panem Milewiczem. Tamtej roli chyba łatwiej bym się nauczyła.

Lecz w tej samej chwili usłyszała głos drugiej damy. Głos także melodyjny – co pewnie było rezultatem wielu godzin pracy aktorskiej – z pewnością jednak o bardziej naturalnym brzmieniu.

– Chciała mnie pani poznać. To miłe, choć przyznać muszę, że zaskakujące. – Zerknęła ze znaczącym uśmiechem na towarzyszące jej osoby.

– Tak... – Kinga zaczerpnęła powietrza. – Ja... Właśnie...

Jestem pożałowania godną idiotką, dokończyła w myślach.

– Jak ma pani na imię? – spytała uprzejmie Amelia. Nie ulegało jednak wątpliwości, że z najwyższym trudem starała się nie okazać rozbawienia, które do reszty skonfundowałoby nieszczęsną dziewczynę.

– Mam na imię Kinga... To znaczy... – Zacisnęła dłonie. Musiała się opanować, musiała wziąć się w garść. – Nazywam się Kinga Niwińska – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Jestem córką Leona Niwińskiego. – W tej samej chwili poczuła ulgę. Jak człowiek, który zrzucił z siebie stukilowy ciężar.

Przez moment doświadczyła iluzji kompletnej ciszy, choć przecież

w rzeczywistości wokół panował gwar. Kinga jednak miała wrażenie, że są tu tylko we dwie: ona i ta kobieta. Obie też wpatrywały się w siebie bez słowa. Nie dostrzegła żadnej zmiany w wyrazie twarzy tamtej, może poza nieznacznym światełkiem, które pojawiło się w jej oczach. W końcu Amelia przerwała milczenie.

– Mała Kinga... – rzekła, ale trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy w głosie tym brzmiała radość, zdumienie, czy może coś innego.

W każdym razie Kinga rozciągnęła wargi w czymś, co mogło przypominać uśmiech.

– Już nie taka mała – odparła lekko żartobliwym tonem.

Amelia skinęła głową, po czym zwróciła się z uśmiechem do towarzyszących jej osób:

– Czy uwierzycie, jeśli wam powiem, że gdy ostatni raz widziałam tę młodą damę, była niespełna dwuletnim szkrabem? – Przy czym zabrzmiało to tak swobodnie i wesoło, jakby w całym tym zdarzeniu nie było niczego niezwykłego.

– Czy dobrze usłyszałem? Jest pani córką Leona Niwińskiego? – odezwał się jeden z panów, który, przynajmniej w ocenie Kingi, wyglądał na znacznie bardziej poruszonego niż jej ciotka.

Samo to spostrzeżenie i wywołane nim rozczarowanie sprawiło, że Kinga z trudem zapanowała nad napływającymi do oczu łzami. Przemogła się jednak i także się uśmiechnęła.

– Tak, proszę pana.

– Niebywałe, po prostu niebywałe – odparł coraz bardziej podekscytowany mężczyzna. – Znałem przed laty pani ojca. Ogromnie się cieszę, że mogę poznać jego córkę. Nigdy bym nie przypuszczał... – Przerwał, spostrzegłszy, że hol opustoszał, a na miejscu pozostała tylko ich grupka.

Gdy znaleźli się już na zewnątrz, inicjatywę przejęła znajoma Amelii.

– Rozumiem, że ojciec tej panienki był przyjacielem was obojga? – spytała, a jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej afektownie niż poprzednio, przypominając tym razem świergot ptaków. – Cóż, ja nie miałam przyjemności go poznać.

– Leon był moim kuzynem – wyjaśniła krótko Gajewska, po czym zwróciła się do Kingi: – Zaskoczyłaś mnie, nie będę ukrywać. Wolno mi chyba zwracać się do ciebie w tak bezpośredni sposób?

– Tak – odparła Kinga, z trudem wydobywając z siebie głos. Miała wrażenie, jakby w gardle wyrosła jej jakaś gęsia łuska. – Oczywiście, że tak...

– To moi przyjaciele: Teofil Gąbski... – Gajewska wskazała na mężczyznę, który przyznał się do znajomości z Leonem. – A to Leokadia Jasińska i jej mąż Waław. Po spektaklu planowaliśmy wybrać się na kolację...

– Rozumiem – zarumieniła się Kinga. – Nie chcę przeszkadzać. Chciałam tylko... ciocię poznać... – Zawahała się, nie będąc pewna, jak Gajewska przyjmie tak familiarne określenie. I rzeczywiście, jakby w ułamku sekundy na jej beztrudnej, pogodnej twarzy pojawił się jakiś nowy, trudny do jednoznacznego określenia wyraz, który jednak zniknął. – Nie uprzedziłam o swoim przyjeździe i dlatego proszę nie robić sobie żadnych subiekcji z mojego powodu. Może... – zająknęła się. – Może innym razem... Oczywiście jeśli... będzie to możliwe.

Jeśli będzie ciocia miała czas i ochotę, dodała w myślach. Jednak nie zanosilo się ani na jedno, ani na drugie. W dodatku nawet nie spytała, czy może nazywać ją ciotką.

– Gdzie się zatrzymałaś? – spytała rzeczowo Gajewska.

– W pensjonacie na Plantach – odparła pośpiesznie Kinga, czując żywsze uderzenia serca. Ciotka chyba jednak nie zamierzała jej zbyć, choć

niewykluczone, że duże znaczenie odegrała tu obecność przyjaciół. Maria Burgiewiczowa zawsze dbała o to, co ludzie o niej powiedzą. Z Amelią Gajewską mogło być podobnie.

– Może zechciałaby pani nam towarzyszyć? – wtrącił Teofil Gąbski. – Byłoby nam bardzo miło – dodał, jakby nie miał żadnych wątpliwości, że reszta skwapliwie poprze jego zaproszenie. Tak czy owak, nie pozostawił im wyboru, toteż Kinga natychmiast zaoponowała. I bez tego czuła się wystarczająco onieśmielona wyraźną rezerwą Amelii. Nie było potrzeby dodatkowo komplikować sytuacji wspólną kolacją z jej znajomymi. Jak się jednak okazało, małżonkowie Jasińscy podchwycili z ochotą pomysł przyjaciela, a w każdym razie sprawiali takie wrażenie. Gajewska zaś tylko oznajmiła, że oczywiście, że to się rozumie samo przez się, wobec czego Kindze nie pozostawało nic innego, jak przyjąć zaproszenie. Co nie zmieniało faktu, że z każdą kolejną chwilą czuła coraz większe onieśmielenie.

Gdy tylko dotarli na miejsce, ciekawość wzięła w niej górę nad obawami i niepewnością. Jak dotąd tylko kilka razy miała okazję zasiąść przy kawiarnianym stoliku, ale lokal przy Floriańskiej zdecydowanie różnił się od każdego, w którym wcześniej była. Panowała tu swoboda, niewymuszona atmosfera, o sztywnej etykiecie nie mogło być zatem mowy, zewsząd dobiegały śmiech, muzyka, odgłosy ognistych dyskusji, gwarno tu było jak w ulu. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie, wzajemnie się przekrzykiwano, tak że Kinga zastanawiała się nawet, jakim cudem muzycy są w stanie w ogóle się skupić na graniu. Szybko jednak doszła do wniosku, że poza nią nikt z obecnych nie zwracał sobie tym głowy. Tak jak zapewne nikt ze stałych bywalców salonu ciotki Marii nie zajrzałby nawet do takiego lokalu. Ciotka padłaby chyba trupem, gdyby się tu znalazła, pomyślała Kinga, a gdyby dowiedziała się o mojej tu bytności, z pewnością odsądziłaby mnie od czci

i wiary. Wszystko wskazywało na to, że było to jedno z tych słynnych miejsc, gdzie spotykała się tak zwana bohema. Takich ludzi ciotka Maria za skarby świata nie wpuściłaby za próg swego domu, nazywając ich nihilistami, od których trzeba się trzymać tak daleko, jak tylko się da. Ci zaś, dla odmiany, nie zostawiliby suchej nitki na niej i każdym z jej przyjaciół.

Samo to spostrzeżenie sprawiło, że Kinga natychmiast odzyskała humor. A potem, ni z tego, ni z owego przyszło jej do głowy, że jej rodzice także kiedyś bywali w takich kawiarniach. I że przypuszczalnie był to jeden z powodów, dla których ciotka Maria osądzała ich tak surowo.

A teraz ja tu jestem. Mamo, ojcze, widzicie mnie? Przejęta tą nową myślą Kinga rozejrzała się wokół, jakby w rozbawionym tłumie mogła dostrzec tych dwoje, których nie pamiętała i w związku z tym nawet nie opłakiwała. Czy to jednak znaczy, że nie tęskniła, choćby podświadomie?

Zerknęła na Amelię, ale ta akurat przekomarzała się z kelnerem. Nie ulegało wątpliwości, że przynajmniej na razie nie było co liczyć na poufną z nią rozmowę. Miejsca takie jak to, przy całym swoim uwodzicielskim uroku, raczej temu nie sprzyjały. Kto wie, może to właśnie był powód, dla którego Amelia ją tu zaprosiła?

– Dobrze się pani bawi? – usłyszała i odwróciwszy wzrok od ciotki, spojrzała na siedzącego obok Gąbskiego.

– Bardzo dobrze, dziękuję – odparła i zaraz przyszło jej do głowy, że skoro nie może teraz zadać żadnych pytań ciotce, spróbuje się czegoś dowiedzieć od tego, najwyraźniej życzliwie do niej nastawionego, człowieka. – A więc był pan przyjacielem mojego ojca? – zagadnęła.

– Ja? – Podniósł brwi, a po jego wargach przesunął się zagadkowy uśmieszek. – Nie, nikt nie nazwałby nas przyjaciółmi. Ścieraliśmy się przy każdej okazji. Nie zostawiałem na nim suchej nitki, on odpowiadał mi pięknym za nadobne. Do pojedynku nie doszło tylko dlatego, że żaden z nas

nie potrafił posługiwać się bronią. Ale to nie zmienia faktu, że kiedy zmarł, wokół zrobiło się... jakos tak ponuro, bezbarwnie, nudno. Przedtem zawsze mnie irytował, bo robił wokół siebie tyle wrzawy... A potem długo nie mogłem uwierzyć, że drania już nie ma między nami. Brakowało mi go wtedy bardzo, i czasem nadal jeszcze brakuje. – Po czym dodał, nieco zmieszany: – Przepraszam, nie powinienem był tak o nim mówić... Czasem się zapominam.

– Ale ja się wcale nie gniewam – odparła łagodnie. – Nie pamiętam ojca. Prawie nic o nim nie wiem. – Nagle zaświtała jej myśl, że być może właśnie teraz ma niepowtarzalną okazję, by uzupełnić tę wiedzę. Co było tym bardziej prawdopodobne, że Gąbski najwyraźniej miał ochotę na wspomnienia. I nie zachowywał się w sposób tak zdystansowany jak Amelia. – A czy równie dobrze znał pan także moją matkę? – dorzuciła, niby od niechcena.

Natychmiast spostrzegła, że się zawahał. Zamiast odpowiedzieć, pogładził w zamyśleniu brodę i zatrzymał spojrzenie na pianiście, który z zapamiętaniem wykonywał kolejne rosyjskie walce. Być może jednak coś by w końcu powiedział, ale właśnie wtedy do rozmowy wtrąciła się Amelia.

– Nie zanudzaj dziewczyny, nie widzisz, że jest znużona? – rzekła, mrużąc powieki, i dopiero wtedy Kinga spostrzegła, że były umalowane.

– Nic podobnego, wcale się nie nudzę – zaprotestowała, ale po wyrazie twarzy Teofila Gąbskiego poznała, że niczego już się od niego nie dowie.

– Zjedzmy i chodźmy stąd – zakomenderowała Gajewska. – Także czuję się zmęczona. Poproszę kelnera, aby sprowadził dorożkę. Po drodze odwiezę cię do tego pensjonatu.

– Dobrze.

Czy to znaczy, że jesteś już gotowa do poważnej rozmowy, ciociu? Potrzebowałaś wspólnej kolacji w gronie przyjaciół w wypełnionej po brzegi

kawiarni, bo dzięki temu łatwiej ci było oswoić się z myślą, że naprawdę tu jestem? W tym czasie dokładnie sobie przemyślałaś, co możesz lub zechcesz mi powiedzieć? A może... wręcz przeciwnie? Gdy wyjdziemy stąd tylko we dwie, oznajmisz mi, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego i nie mamy o czym ze sobą mówić?

Do końca kolacji Kinga nie odezwała się już słowem, nikt też do niej nie zagadywał, co bynajmniej nie oznaczało krępującego milczenia, pozostali bowiem wymieniali między sobą uwagi na temat obejrzanej sztuki, gry aktorów, punktując przy okazji wszelkie fuszerki i niedociągnięcia także w scenografii i szczegółach dekoracji. Przynajmniej dwa razy zagadał ktoś z sąsiedniego stolika tudzież przechodzący obok ludzie. Wyglądało na to, że cały ten bez wątpienia artystyczny świątek znał się bardzo dobrze, nawet jeśli nie wszyscy za sobą przepadali. I chociaż wszystko to było dla Kingi nowe i fascynujące, to gdy tylko znalazła się na zewnątrz, z prawdziwą przyjemnością zaczerpnęła rześkiego powietrza. Od razu też spostrzegła spadające z nieba pojedyncze, białe płatki – zapowiedź pierwszego tej zimy śniegu. I w pewnym sensie także zapowiedź zbliżającego się Bożego Narodzenia. Na samą myśl o świątach ponownie poczuła znajome kłucie w sercu.

Dorożka już na nie czekała, zasiadły więc w niej bez słowa i dopiero gdy powóz ruszył z miejsca, Kinga zdecydowała się przerwać milczenie.

– Jak tu cicho – podjęła, wskazując na opustoszałą ulicę, do tego marnie oświetloną nielicznymi latarniami. – W Warszawie o tej porze aleje są pełne ludzi, wszystko wokół tętni jeszcze życiem. Niektórzy nawet mówią, że dopiero nocą stolica pokazuje swoje prawdziwe oblicze... – Naraz umilkła, bo przyszło jej do głowy, że Gajewskiej takie słowa niekoniecznie muszą się podobać. Może uznać je za dowód przemądrzałości pannicy z wielkiego miasta, która nie dość, że tak niespodziewanie i bez zapowiedzi spadła jej na

głowę, to jeszcze ośmiela się kręcić nosem na jej rodzinny Kraków. – To znaczy nie chciałam, aby zabrzmiało to, jakbym... – zaczęła się wobec tego tłumaczyć, ale Amelia skwitowała jej słowa lekkim wzruszeniem ramion.

– Kraków jest niewielkim miastem – odparła. – Ludzie mają tu inne przyzwyczajenia niż w tak wielkich ośrodkach jak Warszawa czy też, nie przymierzając, Lwów. Byłaś kiedyś we Lwowie? – A gdy Kinga pokręciła głową, dodała z rozmarzeniem: – Ja odwiedziłam go kilka razy. Kiedyś, gdy byłam jeszcze młoda, jeździliśmy tam z zespołem. Nigdzie tak dobrze się nie bawiłam.

Ponownie zapadła cisza, ale Kinga wiedziała, że inicjatywa należy teraz do niej. Amelia czekała na wyjaśnienia i trzeba było ich udzielić, zanim dojadą do pensjonatu.

– Wiem, że powinnam przeprosić za tak nagłe i niespodziewane odwiedziny – podjęła. Zdecydowała, że przynajmniej na razie będzie się do niej zwracać bardziej oficjalnie. Przecież dopiero co poznała tę kobietę, a Gajewska traktowała ją z pewnym dystansem, może nawet nieufnością. Choć niewykluczone, że była to także zwykła, niemniej w tych okolicznościach zrozumiała, ostrożność. Dlatego czym prędzej dodała: – Wiem, że wypadałoby wcześniej panią uprzedzić o moim przyjeździe, zapytać, ale...

Ale bałam się, że odmówisz, a może nawet nie odpowiesz, a ja przede wszystkim pragnęłam wyrwać się z tamtego domu, z Warszawy. Czułam, że nie wytrzymam tam dłużej, pomyślała, na razie jednak wolała wstrzymać się z podobnymi wyznaniem.

– Kto ci o mnie powiedział? – spytała Amelia. Nie patrzyła na siedzącą obok dziewczynę. Wodziła wzrokiem po jakby otulonej ciszą ulicy, która w słabym, niemrawym świetle latarni oraz padającego śniegu zaczynała coraz bardziej przypominać bajkową scenerię. – Dziadek?

– Dziadek? – zdziwiła się Kinga. – Nie. Mój dziadek zmarł dziesięć lat temu.

– Wiem. Słyszałam o tym. Nie przyjechałam na pogrzeb, aby nie wywoływać niepotrzebnych komentarzy. Miałam jednak na myśli, że zanim zmarł, mógł ci to i owo o mnie powiedzieć.

Kinga potrzebowała dłuższej chwili, by przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszała.

– Znała pani mojego dziadka? – spytała zmienionym głosem i w tym samym momencie Amelia odwzajemniła jej spojrzenie.

– Nie nazywasz mnie już ciotką?

– Znała pani mojego dziadka? – powtórzyła jednym tchem Kinga.

– Tak, co w tym niezwykłego? – Amelia powiedziała to takim tonem, jakby dziwiło ją zaskoczenie dziewczyny. – Przecież przyjeżdżał do Krakowa, odwiedzał córkę. Mieszkałam blisko, więc czasami go widywałam. Był bardzo miłym człowiekiem. Ale, jak rozumiem, to nie od niego dowiedziałaś się o moim istnieniu?

– Nie – westchnęła Kinga. Nie była pewna, czy więcej w niej było żalu, czy rozczarowania. – Może czekał z tym, aż będę starsza, ale nie zdążył.

Nie pozostawało jej nic innego, jak mieć nadzieję, że takie właśnie były zamiary dziadka.

– A zatem od ciotki? Klara miała siostrę, więc...

– Nie. Od wuja Stefana. To znaczy od męża ciotki Marii.

– Ach tak... – W oczach Amelii ponownie zapaliło się to samo światło, które Kinga zdążyła już zauważyć w teatrze. Tyle że tym razem tak szybko nie zniknęło. – Rozumiem – uśmiechnęła się. – Tak ni z tego, ni z owego opowiedział ci o mnie?

Ton lekkiej, niemniej nieskrywanej ironii tym razem zirytował Kingę. Dały też o sobie znać znużenie podróżą, jak również napięcie, jakiego

doświadczala w ciągu ostatnich kilkunastu dni.

– Sama go spytałam, czy cokolwiek mu wiadomo o moich krewnych ze strony ojca – odparła z rozdrażnieniem. – Czy to naprawdę takie dziwne, że chciałam panią poznać? Ale jeśli to pani niemiłe, nie będę się dłużej narzucać.

A wtedy nie pozostanie mi nic innego, jak wrócić do Warszawy, tak jak wytłumaczył mi to wuj, pomyślała z goryczą. Niemniej gdy tylko wyobraziła sobie ironiczne grymasy ciotki Marii i kuzynki, o ich złośliwych uwagach nawet nie wspominając, przeszedł ją zimny dreszcz.

– Nie ma powodu tak się zaraz dąsać – odparła spokojnie Amelia. – A oto i twój pensjonat – dodała, gdy dorożka się zatrzymała.

– Dziękuję – mruknęła Kinga, zbierając się do opuszczenia pojazdu, i wtedy ciotka ją zatrzymała.

– A może zechciałybyś pojechać do mnie? Mam wygodne mieszkanie... Byłaby okazja poznać się lepiej.

Były to pierwsze naprawdę życzliwe słowa, które Kinga usłyszała z ust tej kobiety. I w dodatku padły w takiej chwili! Wprawdzie nie spowodowały, że nagle zaświeciło słońce, ale przynajmniej mrok nie był już tak przygnębiający jak jeszcze minutę temu. Mimo to roztropniej było nie popadać w entuzjazm. Kinga aż za dobrze wiedziała, że rozczarowanie często, zbyt często, idzie tuż za entuzjazmem – tym bardziej że ona sama wciąż kroczyła po bardzo niepewnym gruncie.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony, ale nie chciałabym sprawiać kłopotów – odparła uprzejmie, jednocześnie zastanawiając się, czy nie zabrzmiało to zbyt oficjalnie. Dlatego zaraz postarała się o bardziej przyjazny, cieplejszy ton. – Wystarczy, że zepsułam pani wieczór. Wiem, wiem, powie pani, że nic podobnego – dorzuciła, spostrzegłszy, że Amelia się zachnęła. – Ale to nie zmienia faktu, że tak się jednak stało. Poza tym

zapłaciłam już za nocleg i nie chciałabym, aby właściciel pensjonatu zaczął snuć nie wiadomo jakie domysły na mój temat – dodała, próbując nawet żartować, choć nie do końca był to tylko żart.

Amelia nie nalegała, za to bardzo uważnie przyglądała się dziewczynie.

– Dobrze, jak uważasz – rzekła wreszcie. – Ale przyjdź jutro, choćby z samego rana, na śniadanie. – Sięgnęła do torebki i wyjęła wizytówkę. – To mój adres.

– Wiem, gdzie pani mieszka – odparła impulsywnie Kinga i zaraz się zarumieniła, bo Gajewska parsknęła krótkim śmiechem.

– No tak. Widzę, że rzeczywiście dobrze się przygotowałaś. Niejechałaś tak zupełnie w ciemno.

– Nie. – Kinga uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak potwierdzić. Co zresztą jeszcze bardziej ubawiło Amelię. – Ale na pewno jutro przyjdę – dodała szybko, by opanować zmieszanie. – Choćby z samego rana.

– W takim razie do jutra – rzekła przyjaźnie Amelia, lecz kiedy Kinga wysiadła już z dorożki, wychyliła za nią głowę. – I jeszcze jedno: Nie mam nic przeciwko temu, byś nazywała mnie ciotką.

ROZDZIAŁ 13

Na dobrą sprawę dopiero następnego dnia, siedząc przy stole w mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej, Kinga dokładniej przyjrzała się swojej dopiero poznanej krewnej. Poprzedniego dnia była na to zbyt spięta, onieśmielona, zdenerwowana. A przede wszystkim skoncentrowana na tym, by możliwie jak najlepiej wypaść w oczach tej kobiety, co chyba – jak sama przed sobą przyznawała – nie udało jej się tak, jak tego chciała. Niewykluczone, że całą sprawę utrudniała obecność innych ludzi, trojga bliskich znajomych ciotki, a także wrzawa w lokalu przy Floriańskiej. I nawet kilkunastominutowa rozmowa, jaką odbyły w dorożce, w niemal zupełnym mroku, nie pozwalała na bliższe poznanie. Było to możliwe dopiero teraz, w świetle dnia, w tej niewielkiej jadalni, w której, wśród mieszaniny różnych zapachów, dominował aromat świeżo zmielonej i zaparzonej kawy.

Amelia miała na sobie poranną, domową suknię, na którą narzuciła kolorowy, by nie powiedzieć pstrokaty, szal. Ciemnokasztanowe, spięte w luźny kok włosy sprawiały wrażenie, jakby przy lada ruchu głową mogły się w każdej chwili uwolnić z klamry i spłynąć na plecy i ramiona swojej właścicielki. Gdy Maria Burgiewiczowa pokazywała się w podobnym stroju i uczesaniu, sprawiała wrażenie kobiety zaniedbanej, a niekiedy nawet ordynarnej – zwłaszcza jeśli akurat miała zły humor i łajała służbę lub wygłaszała litanie krytycznych uwag pod adresem Kingi. Czy też

lamentliwym tonem wypominała Zbyszkowi jego sztubackie wybryki, mężowi zaś obojętność i nieczułość wobec rodziny – oczywiście o ile obaj odpowiednio wcześniej nie wymknęli się z domu. Tak czy owak, poranna rozmemłana wersja ciotki Marii na każdym wywierała przykre wrażenie, czy to na domownikach, czy to lokatorach (gdy akurat któryś zajrzał z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą), czy nawet na stróżu, który ponoć w zaufaniu kiedyś komuś wyznał, że nawet jego stara w porównaniu z doktorową wygląda korzystnie.

A tymczasem Amelia Gajewska prezentowała się tak samo dobrze, jak poprzedniego wieczora, gdy była ubrana w elegancką, wyjściową suknię. Zaś rozgardiasz w jej saloniku miał w sobie coś uroczego, ciepłego, ujmującego... Podobnie jak pani domu.

Wczoraj tego nie dostrzegłam, stwierdziła z pewnym zdumieniem Kinga. Wczoraj wydała mi się taka odległa, afektowana, irytująca. Zimna. Dziś widzę niby tę samą osobę, a jednak jakby zupełnie kogoś innego.

Przede wszystkim jednak Amelia Gajewska wyglądała znacznie młodziej od Burgiewiczowej, choć dzieliła je różnica zaledwie kilku lat, nie więcej. Kiedyś, za młodu, Burgiewiczowa uchodziła za atrakcyjną kobietę, nawet Kinga trochę ją taką pamiętała. I choć nadal zachowała ślady tamtej urody, trudno było zaprzeczyć, że upływ czasu zrobił jednak swoje. Z kolei Amelia Gajewska w dalszym ciągu zwracała na siebie uwagę – Kinga zdążyła to zauważyć już wczorajszego wieczoru w lokalu – choć z pewnością trudno byłoby ją nazwać klasyczną piękną. Miała jednak w sobie to coś, co objawiało się w iskrzącym, znamionującym żywy temperament spojrzeniu, w ruchach, gestach i w uśmiechu, który dosłownie opromieniał jej twarz. Jakby rzucała urok na każdego rozmówcę, pomyślała z nutką mimowolnej zazdrości Kinga. Choć przecież nie można wykluczyć, że magia tego uroku była w dużej mierze zasługą wielu lat pracy na scenie. Aktorstwo to przecież

sztuka uwodzenia, umiejętność czarowania. A kiedy trzeba – także zwodzenia.

Kinga poczekała, aż służąca postawi na stole półmisek z gorącymi bułeczkami, a kiedy ponownie zostały z Amelią same, zdecydowała się zadać pytanie, które od wczoraj chodziło jej po głowie.

– A gdzie jest twój mąż? Czy gdzieś wyjechał? – Zaraz jednak zmieszała się, podchwyciwszy spojrzenie tamtej. – Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– Rudolf od dawna już tu nie mieszka – odparła Gajewska. – Od lat jesteśmy w separacji.

– Och, jakże mi przykro. Nie powinnam była...

– Przede wszystkim nie przepraszaj mnie w kółko. A już na pewno nie z powodu spraw, w których nie tylko nie zawiniłaś, ale nawet nie miałaś o nich pojęcia.

– Przyzwyczyłam się to robić – nie wytrzymała Kinga. – To znaczy przepraszać za to, w czym nie zawiniłam. – Po czym przygryzła wargi. Nie powinna była tego mówić, jeszcze nie teraz. Gajewska przecież wciąż pozostawała dla niej zagadką, dopiero się wzajemnie poznawały, a na tym etapie należy zachować ostrożność.

Amelia, która właśnie podnosiła do ust filiżankę, odstawiła naczynie.

– W przeszłości czasem zastanawiałam się, jak ci się wiedzie. Tam, w Warszawie, u Borgiewiczów. Ale wytłumaczyłam sobie, że nie ma powodu do niepokoju, bo przecież zaopiekowała się tobą bliska rodzina. Chyba po prostu chciałam wierzyć, że jest ci u nich dobrze.

– Nie było mi tam źle – odparła Kinga, ale zaraz spostrzegła, że Amelia jej nie uwierzyła.

– To jeszcze nie znaczy, że było dobrze.

– To jednak spore uproszczenie – zaprzeczyła pośpiesznie, zbyt

pośpiesznie, Kinga. – Wuj był dla mnie dobry. Całkiem nieźle dogadywałam się z ciotecznym bratem... – Zdawała sobie sprawę, że wypadałoby coś wtrącić na temat ciotki Marii, ale słowa uwięzły jej w gardle. Na domiar złego nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Amelia i tak zgadywała prawdę. Na szczęście, przynajmniej na razie, porzuciła ten wątek.

– Jesteś podobna do Klary – rzekła.

– Wuj powiedział mi niedawno to samo – uśmiechnęła się Kinga. – Dziadek twierdził, że bardziej przypominałam ojca, ale... wtedy byłam jeszcze małym dzieckiem.

– Tak – westchnęła Amelia, co mogło sugerować, że podzielała zdanie Hipolita Janowskiego. Sięgnęła po papierosa. – A zatem twój dziadek nigdy nawet o mnie nie wspomniał – wróciła do wczorajszej rozmowy.

– Na pewno by to zrobił, gdyby doczekał, aż dorosnę – przypomniała Kinga.

– Skąd ta pewność?

– A dlaczego miałyby to przede mną ukrywać? – wzburzyła się Kinga. – Przecież to bez sensu.

– Większy sens miało czekanie, aż dorośniesz? – zadrwiła lekko Amelia, wypuszczając z ust niewielką chmurkę dymu.

– Tak, skoro on tak uważał... Zawsze wiedział, co robić. Zawsze miał rację – odparła Kinga, mając nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. W głębi duszy czuła bowiem narastający niepokój i pewnie dlatego, by zagłuszyć to uczucie, dodała, już bardziej buńczucznym tonem: – Może się domyślał, że ci na mnie nie zależało. Ciotka Maria też tak uważała.

Poniewczasie pożałowała tego ostatniego zdania. Nie należało powoływać się na opinię ciotki Marii. I po prawdzie nie należało przypisywać zmarłemu dziadkowi intencji, co do których mogła co najwyżej snuć mgliste przypuszczenia.

– Przepraszam – dodała ze skruchą. – Nie chciałam być nieuprzejma. Nie przyjechałam, aby robić cioci wyrzuty.

– Nie masz za co przepraszać – westchnęła po chwili milczenia Gajewska, oderwawszy wzrok od dziewczyny. Jej spojrzenie śledziło teraz chmury przesuwane się po ołowianym, grudniowym niebie. – Już zwróciłam ci uwagę, że zbyt często to robisz. Cokolwiek się stało, nie ty zawiniłaś. Nie obwiniam też twojego dziadka, w gruncie rzeczy trudno było znaleźć idealne rozwiązanie. To prawda, że nie upominałam się o prawo do opieki nad tobą. Ale prawdą jest też, że nie miałam ku temu odpowiednich warunków. Od kilku lat występowałam już na scenach, ale nie było łatwo. W tym zawodzie liczy się nie tylko talent; ostre kły i pazury także się przydają. Zresztą i to może nie wystarczyć, jeśli się nie ma odpowiednio umocowanych przyjaciół, opiekunów, a przynajmniej jednego... Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Miałam wprowadzić miejsce w zespole, ale oznaczało to konieczność częstych podróży po teatrach całej Galicji i nie tylko. Kraków, Lwów, Stanisławów, Lublin, a nawet Poznań i Łódź. Latem występy w kawiarnianych ogródkach. Nigdzie na stałe, niczym marynarze, których praca, a zatem i życie, polega na zawijaniu do kolejnych portów. I to ciągle łudzenie się, nadzieja, że może ktoś cię dostrzeże, da szansę na prawdziwie wielką rolę... W tych warunkach nie było miejsca dla dziecka. Ani czasu, by je wychowywać, ani możliwości, by zapewnić mu stabilny, prawdziwy dom. A twój dziadek mógł ci to zapewnić. Podobnie jak potem... twoja ciotka. Tak przynajmniej rozumowałam. To wydawało mi się logiczne. Ojciec Klary i jej siostra to przecież twoi bliscy krewni. Na pewno bliżsi niż ja, kuzynka Leona. Na pewno nie byłoby ci lepiej ze mną niż z nimi, możesz być tego pewna. – Obróciła się, by sięgnąć po dzbanek, z którego naląła kolejną porcję gorącej kawy do filiżanek, po czym ponownie zaciągnęła się papierosem. – Własnych dzieci też przecież nie miałam – dodała pozornie od

niechcenia, lecz tym razem w tonie jej głosu Kinga wyraźnie usłyszała nutkę nostalgii.

– Ogromnie żałuję – rzekła miękko. – Bo pomyślałam sobie, jak by to było dobrze mieć jeszcze jakichś kuzynów. – A spostrzegłszy wyraźny grymas na twarzy ciotki, dodała pośpiesznie, jakby się usprawiedliwiając: – Z kuzynką Klementyną jakoś nigdy nie mogłam znaleźć wspólnego języka. Z jej bratem dobrze się dogadywałam, tyle że rzadko mieliśmy ku temu sposobność. Zbyszek raczej nie trzymał się domu, kiedy tylko mógł, wyfruwał w świat. W końcu wyjechał za granicę.

– Ja także dobrze dogadywałam się z Leonem – uśmiechnęła się Amelia, choć po wyrazie jej oczu można było poznać, że ten uśmiech skierowany był ku przeszłości. – Nasze matki były rodzonymi siostrami, bardzo do siebie przywiązanymi, nawet po wyjściu za mąż mieszkały blisko siebie. Pewnie dlatego zaprzyjaźniłam się z twoim ojcem. Był ode mnie niewiele starszy i nigdy się nie sprzeciwiał, gdy chciałam towarzyszyć mu podczas zabaw z innymi chłopcami. To raczej moja mama i babcia lamentowały z tego powodu. A ja po prostu nie tęskniłam do zabaw z dziewczynkami. Lalki mnie nudziły, podobnie jak ploteczki i rozmowy o fatałaszках, gdy już trochę podrosłam. W fatałaszках zasmakowałam dopiero wtedy, gdy zaczęłam jeździć z trupą teatralną. I to właśnie Leon zaraził mnie miłością do teatru. Nikomu innemu w rodzinie nawet by to do głowy nie przyszło. Mama zawsze potem powtarzała, że odkąd wstąpiłam do trupy, nigdy już nie odważyła się podnieść wysoko głowy. Ani na ulicy, ani w sklepie.

– Podobnie mówiła ciotka Maria – wtrąciła Kinga. – Że wyjazd mojej matki naraził resztę rodziny na wstyd.

– Mój ojciec był kupcem galanteryjnym i chyba mniej się przejmował moim postępkiem. Nadal zresztą prowadzi sklep – kontynuowała Amelia, i tym razem pozostawiając uwagę Kingi bez komentarza. Pomimo że cały

czas uśmiechała się do wspomnień, wyraz jej oczu stawał się coraz poważniejszy. Myślami była daleko od tego pokoju. – Starał się mnie zrozumieć i w dużej mierze dzięki niemu nie zerwałam z rodzinnym domem. Odwiedzałam rodziców, gdy tylko mogłam. Nawet jeśli za każdym razem oznaczało to konieczność wysłuchania lamentliwych kazań matki.

Zawsze lepiej dogadywała się z ojcem. To dlatego, że na wszystko jej pozwalał, twierdziła matka. Rozpuścił cię jak dziadowski bicz i tyle, mawiała.

Amelia w duchu przyznawała, że było w tym trochę prawdy. Może nawet więcej niż trochę. Wincenty Gajewski nie tylko nie okazał rozczarowania, gdy zamiast upragnionego, wyczekiwanego syna urodziła mu się córka, ale jeszcze na każdym kroku okazywał swoją radość i dumę z dziewczynki, którą uważał za najbardziej uroczą istotę na świecie. I faktycznie gotów był zawsze spełniać jej życzenia, lecz – wbrew opinii żony, która z przekąsem twierdziła, że gdyby córka poprosiła o gwiazdkę z nieba, to Gajewski bez wątpienia uczyniłby wszystko, co w jego mocy, by jej prośbę spełnić – zarówno on, jak i Amelia zachowali rozsądek. Amelia nigdy nie zażądałaby od ojca czegoś, co było poza jego możliwością. Gajewski zaś bynajmniej nie zachowywał się wobec niej jak oddany sługa, przeciwnie – kiedy trzeba było, nie wahał się zwrócić jej uwagi i dać do zrozumienia, że się myliła. I zawsze, bez wyjątku, przynosiło to pożądany skutek. W każdym razie bez porównania większy niż w przypadku wygłaszanych lamentliwym tonem uwag matki, które zdawały się nie mieć końca. Tak właśnie było, gdy Amelia oznajmiła rodzicom, że chciałyby dołączyć do trupy teatralnej. Że od pewnego czasu marzy, aby występować na scenie.

– Tego jeszcze brakowało, przecież to prawdziwe szaleństwo –

zawyrokowała zszokowana, a zarazem oburzona, pani Gajewska, a widząc, że jej opinia nie wywarła na dziewczynie większego wrażenia, natychmiast zwróciła się do męża: – Zrób coś, powiedz jej, że się nie zgadzamy. Że to sprowadzi na nas skandal i nieszczęście! Ciebie posłucha.

I powiedział... gdy wreszcie miał możliwość, by porozmawiać z córką sam na sam. Choć nie użył takich argumentów, o jakich wspominała rozsierdzona połowica. Zamiast grozić nieszczęściem i skandalem, poprzestał na ostrzeżeniu. Czy Amelia zdaje sobie sprawę, na co się porywa? Piękne marzenia nie zawsze znajdują odbicie w rzeczywistości. Czy jest gotowa na ewentualne rozczarowanie?

– Dlaczego miałyby mi się nie udać? – naburmuszyła się. – Zawsze myślałam, że tatko we mnie wierzy.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego – wetchnął.

– A ja słyszałam, że prawdziwa wiara nawet góry przenosi – zażartowała, ale ponieważ nie podchwycił tego tonu, przybrała inny, zdecydowanie bardziej przymilny: – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. I obiecuję, że jeśli mi się tam nie spodoba albo się nie uda, wrócę do domu, a potem będę od rana do wieczora pomagać ci w sklepie.

Nie odpowiedział, więc przysiadła bliżej i pogłaskała go po ramieniu.

– Wiem, że martwisz się o sklep, o swoje interesy. Wiem, że chciałbyś, abym nauczyła się go prowadzić, skoro... – W ostatniej chwili powstrzymała się, by nie dodać: skoro jestem twoją jedyną spadkobierczynią. Mimo wszystko wolała nie poruszać tej kwestii, ale, jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie, bowiem ojciec i tak niecierpliwie machnął ręką.

– Nie mówimy teraz o sklepie, lecz o tobie. Musisz zrozumieć, że mam prawo niepokoić się o ciebie.

– Zaczynasz lamentować jak mama. – Znowu spróbowała uciec się do żartu.

– Tak, przyznaję. Niewiele mi już do tego brakuje. Być może pojdziesz to w pełni, gdy sama będziesz miała dzieci.

Wolała nie mówić mu, że nie zamierza mieć dzieci, zdając sobie sprawę, że rozmowa mogłaby wówczas zejść na tematy, których nie chciała poruszać. Zamiast tego ponownie pogłaskała go po rękawie.

– Nie musisz się o mnie martwić. Nic mi się nie stanie, bo przecież Leon nie pozwolił mnie skrzywdzić.

Zaraz się jednak zorientowała, że takie postawienie sprawy bynajmniej nie uspokoiło ojca. Jego twarz spochmurniała jeszcze bardziej.

– Leon... To jego robota. On ci tego wszystkiego nakładł do głowy.

Cofnęła rękę tak gwałtownie, jakby dotknęła wrzątku.

– Ty naprawdę mówisz tak jak mama. Mam wrażenie, jakbym to ją teraz słyszała.

Wzruszył ramionami na znak, że nie zamierza wycofywać się ze swoich słów. Równocześnie nie ukrywał niezadowolenia.

– Gdyby nie Leon, nie miałabym zielonego pojęcia o teatrze – perorowała dalej, coraz bardziej rozgniewana. – Nie zobaczyłabym żadnego przedstawienia, nie przeczytałabym żadnej sztuki ani w ogóle żadnej mądrej książki. Czy choćby bardziej ambitnego artykułu w gazecie. Ty i mama nie chodzicie do teatru, mama czyta tylko jakieś głupie romansidła, a ciebie interesują tylko cyfry, zestawienia albo informacje o cenach zbóż i surowców.

– To ma związek z moją pracą – przypomniał. – To zapewnia nam utrzymanie.

– Tak, pamiętam o tym – odparła zapalczywie. – Ja też chcę pracować, lecz zarazem robić to, co naprawdę lubię. Nic na to nie poradzę, że nie nadaję się do prowadzenia sklepu. Ani do poślubienia kogokolwiek, kto robiłby to zamiast mnie.

– A ja powtarzam, że nie chodzi tu o sklep – odparł identycznym tonem Gajewski. – Jeszcze nie wybieram się do grobu, wciąż mam tyle sił i zdrowia, by nie zrzucić tego na twoje barki ani na barki mojego ewentualnego zięcia. I nawiasem mówiąc, nie popycham cię jeszcze do ołtarza. Znam jednak życie dużo lepiej od ciebie i wiem, że egzystencja aktora nie jest usłana różami. Większość z nich nigdy nie zdobywa sławy i jedynie wegetuje, w dodatku w ciągłej poniewierce. Ot, komedianci – czy ci się to podoba, czy nie, tak właśnie postrzega ich i nazywa społeczeństwo. Zwłaszcza zaś komediantki oceniane są według dodatkowych kryteriów, zgadnij jakich. W każdym razie rzeczywistość daleko odbiega tu od wyobrażeń. Nasz piękny Leoś nie powiedział ci o tym wszystkim, bo zapewne sam ma na ten temat bardzo mgliste pojęcie. To, że przeczytał tyle książek i na okrągło przesiaduje w teatrze, nie oznacza, że nabył tak zwanej życiowej mądrości.

– Według mnie jest bardzo mądry – rozgniewała się, dosłownie w ostatniej chwili powstrzymując się przed dodaniem, że uważa Leona za najmądrzejszego człowieka w całej rodzinie. A przynajmniej za najbardziej interesującego, o ile nie za jedyne interesującego z grona wszystkich krewnych i powinowatych. Powściągnęła jednak emocje, nie warto było przeciągać struny. Szóstym zmysłem odgadywała, że takie słowa mogłyby urazić ojca, dotknąć go, zabołec, a tego przecież nie chciała. Choć oczywiście z drugiej strony nie mogła też wykluczyć, że takie twierdzenie rozbawiłoby go do łez – czasami trudno było przewidzieć jego reakcje – tak czy inaczej, wolała nie ryzykować.

Ojciec Leona nie dożył chwili, gdy jedyny syn wyjechał do Stanisławowa i przyłączył się do tamtejszego zespołu. Zdaniem jego matki i tak nie zdzierżyłby podobnej hańby. Leokadia Niwińska w pełni podzielała zdanie swojej siostry, że to, co uczyniły ich dzieci, odebrało dobre imię całej

rodzinie. Zapowiedziała, że nie chce już więcej widzieć syna. Niech sobie radzi w tym swoim wymarzonym teatralnym świątku, niech się na własnej skórze przekona, jak to jest, gdy głód zajrzy w oczy. Ciekawe, czy nadal się będzie mądrzył, że nie samym chlebem żyje człowiek. No cóż, niech zatem spróbuje ugryźć ścianę albo książkę. Zresztą, niech robi, co chce, ale niech sobie nie wyobraża, że gdy tylko bieda go przyciśnie, zawsze będzie mógł się podkarmić na matczynym wikcie. Będzie to możliwe, owszem, ale dopiero, gdy spokojnie, zrozumie swój błąd i wróci na uczciwą drogę życia. Ostatecznie synowi marnotrawnemu ojciec także wybaczył i wydobył go z błota. Tyle że najpierw grzesznik wzbudził w sobie skruchę. Trzeba przyznać, że Niwińska wytrwała w swoim postanowieniu. Podobnie jak w swoim wytrwał jej syn. W rodzinnym domu pojawił się dopiero kilka lat później, gdy matka, złożona śmiertelną chorobą, nikogo już nie poznawała. Ze spokojem przyjął od notariusza wiadomość, że wszystkie oszczędności i pamiątki rodzinne przekazała na ochronki dla sierot, synowi nie pozostawiając nawet jednej korony. Inna sprawa, że oszczędności tych nie było zbyt wiele – zmarły już wcześniej mąż, jako urzędnik w biurze patentowym nie zarabiał kroci, w sam raz jednak, by zabezpieczyć żonę i zapewnić synowi wykształcenie. Które ten młody niewdzięcznik zmarnotrawił.

Anna Gajewska nie była już tak konsekwentna w postępowaniu wobec córki, jak jej siostra wobec Leona. To znaczy i ona nie zmieniła zdania, na każdym kroku dając do zrozumienia, że Amelia zhańbiła rodzinę, a jej uczynek z pewnością przyspieszy zgon jej matki, dokładnie tak jak stało się w przypadku biednej Leokadii. Niemniej nie wypowiedziała córce domu, pozwalała na odwiedziny, a w razie potrzeby – co wcale nie zdarzało się rzadko – zapewniała jej wikt i opierunek, za każdym razem mając nadzieję, że dziewczyna się opamięta. Zło już się wprowadziło, mleko zdążyło się

już rozlać, ale może nie wszystko jeszcze stracone. Jeszcze da się to posprzątać, może nawet plamy nie zostaną, a ludzie w końcu przestaną gadać i zajmą się czym innym. Nie bez znaczenia była tu jednak przede wszystkim postawa męża. Gajewski nigdy by nie pozwolił na wykluczenie córki z ich życia, na zamknięcie przed nią drzwi. Mój dom nigdy nie przestanie być jej domem, oświadczył stanowczo, Amelia nigdy nie przestanie być moim dzieckiem. A gdy rozgoryczona żona zarzuciła go wymówkami, że szkoda, że nie był tak kategoryczny, gdy córka postanowiła zrealizować swój szalony zamiar, do czego by nie doszło, gdyby jej całymi latami nie rozpieszczał, popatrzył na nią surowo. Ona jest moim dzieckiem, odparł, ale nie moją własnością. To wielka różnica, naprawdę jej nie widzisz?

Nigdy też niczego dziewczynie nie wypomniał. Ani razu nie usłyszała od niego owego sakramentalnego niemal stwierdzenia: „A nie mówiłem?”. A przecież znalazłby aż nadto powodów, by to powiedzieć. Dość szybko bowiem okazało się, że miał rację. Jego przewidywania spełniły się co do joty. Nie udało jej się zdobyć sławy. W miarę upływu kolejnych miesięcy i lat coraz skuteczniej docierała do niej świadomość, że jej marzenia nie mają szans na realizację. Nie mogła się bez końca oszukiwać – kariera Modrzejewskiej, Hoffmanki, Siemaszkowej, Popielówny, Wisnowskiej i im podobnych z pewnością nie była jej pisana, a fakt, że i one musiały czekać na swoją wielką chwilę, nie był argumentem. W jej przypadku upływ czasu działał wyłącznie na niekorzyść. Co najwyżej mogła liczyć na drugoplanowe role w ostatnich sztukach. Najczęściej jednak była obsadzana wśród statystów na trzecim planie. O ile w ogóle wyznaczano jej jakiegokolwiek miejsce. Wędrownka z zespołem w tych warunkach faktycznie przypominała niekiedy poniewierkę, zwłaszcza gdy polecano jej obsługiwanie gwiazd. Tak, czasem wykonywała robotę zwykłej posługaczki, w ten sposób dyrekcja oszczędzała na wydatkach.

Czemu zatem nie odeszła, skoro wciąż miała dokąd?

Po pierwsze – nie chciała się przyznać do porażki. Podczas wizyt w domu nie poruszała tego tematu, choć zdawała sobie sprawę, że matka domyślała się prawdy, a ojciec odgadł ją bez trudu. Gdy tylko pani Gajewska zaczynała ubolewać nad tym, jaka czuje się samotna – bo przez całą tę sytuację nie tylko przestała regularnie się spotykać z przyjaciółkami, ale nawet podnosić głowę, gdy tylko wychodziła z domu – Amelia natychmiast zaczynała mówić o planowanych premierach albo – znacznie częściej – oznajmiała, że czas już na nią, że musi wracać do teatru. I nawet interwencje ojca na nic się nie zdawały.

Lecz była jeszcze inna, znacznie ważniejsza przyczyna, dla której nie wróciła na stałe do rodziców – chodziło o Leona. O potrzebę przebywania blisko niego. Nie potrafiła znieść myśli, że mogłaby stracić go z oczu, codzienna rozmowa z nim, sam jego widok, świadomość, że jest niedaleko – wynagradzały wszelkie inne rozczarowania i życiowe niepowodzenia. Przyjaźń i głębokie przywiązanie, zadziergnięte jeszcze w dzieciństwie, sprawiły, że z biegiem czasu czuła, jakby w jakimś sensie byli jednością. Przy czym było to uczucie czysto platoniczne, innego w ogóle do siebie nie dopuściła, i to bynajmniej nie dlatego, że byli kuzynami – była to przecież przeszkoda możliwa do ominięcia, nie oni pierwsi i ostatni – lecz po prostu dlatego, że właśnie taka miłość wydawała jej się doskonała. Idealna. Niczym nie zbrukana. Była pewna, że Leon myślał podobnie, że odwzajemniał te uczucia, dlatego gdy dowiedziała się o Klarze, początkowo w ogóle nie przyjęła tego faktu do wiadomości. Nieprawda, to tylko głupie plotki, uznała. Nie wierzyła nawet wtedy, gdy mówili o tym ludzie, których ani ona, ani nikt inny nie podejrzewał o rozsiewanie niesprawdzonych informacji. Nie przyjęła tego do wiadomości nawet wówczas, gdy Leon osobiście wszystko potwierdził. I dopiero gdy na własne oczy zobaczyła jego wybranek,

zrozumiała, że nie ma sensu dłużej się oszukiwać. Zwłaszcza że jeszcze przed ślubem kuzyn ostatecznie zrezygnował z pracy w teatrze i przyjął posadę w redakcji krakowskiego „Czasu”.

– Zrobił to, przed czym uciekał przez całe dotychczasowe życie – westchnęła Amelia. – On, niby taki marzyciel i wolnomysliciel, postanowił żyć jak poczciwy mieszczanin. I nie zmieniał tego faktu, że pisał felietony na temat teatru, że recenzował kolejne przedstawienia i grę aktorów, że nie zerwał z nimi towarzyskich kontaktów, nadal przesiadywał w odwiedzanych przez bohemę kawiarniach i lokalach. Skoro pobierał regularną pensję i był zależny od swojego pryncypała, stał się po prostu potulnym mieszczaninem, który po pracy wracał do swojej żonki. Jednym z tych, których wcześniej bez litości wykpiwał. A kiedy dałam mu to do zrozumienia, nie tylko się nie zawstydził ani się na mnie nie rozgniewał, ale zwyczajnie mnie wyśmiał. Po prostu wydorosłałem, stwierdził. I jeszcze dodał, że nie będzie się z niczego przede mną tłumaczył, bo sama to zrozumie, gdy spotkam na swej drodze człowieka, z którym zechcę spędzić resztę życia. Chciałam mu wykrzyknąć w twarz, że to już się przecież stało, w dodatku wiele lat temu, ale zamiast tego pozwoliłam sobie na uwagę, że wypada w takim razie żałować, że ciotka Leokadia tego nie doczekała. A tak przecież marzyła, aby się wreszcie ustatkował.

– I co na to odpowiedział? – spytała cicho Kinga. Do tej pory nie przerywała, nie chciała bowiem uronić ani słowa.

Amelia nieznacznie wzruszyła ramionami, wykrzywając przy tym lekko usta.

– Powiedział, że także tego żałuje i pozostaje mu już tylko mieć nadzieję, że jego biedna matka już o wszystkim wie. Wyobrażasz to sobie? – Błady

uśmiech zamarł na jej wargach. – Nie poznawałam go, choć znałam niemal od urodzenia. Klara go tak zmieniła... i ty.

– I co wtedy zrobiłaś? – Kinga nie odrywała wzroku od twarzy ciotki, choć ta nie odwzajemniała jej spojrzenia.

– Ja? – Amelia ponownie wzruszyła ramionami. – Postanowiłam zrobić to samo, co on. Stałam na ślubnym kobiercu. Przyjęłam oświadczyny człowieka, który od dawna zabiegał o moje względy. Ale moje małżeństwo od początku skazane było na klęskę, skoro zawarłam je głównie po to, by ukarać kuzyna... Który w dodatku wcale się tym nie przejął.

ROZDZIAŁ 14

Drogi Wuju Stefanie,

Postanowiłam, że zostanę tu na dłużej. Nie potrafię Ci jeszcze odpowiedzieć, na jak długo, ale skoro ciotka Amelia zaproponowała mi gościnę, uznałam, że postąpiłabym nierozsądnie, gdybym z niej nie skorzystała. Co oczywiście nie znaczy, że przynajmniej na początku nie miałam pewnych obaw. Nasze pierwsze spotkanie nie nastroiło mnie optymistycznie. Nie nastawiałam się wprawdzie, że wszystko od razu pójdzie gładko – cała ta sytuacja przypominała spacer po kruchym lodzie – niemniej uważałam, że jestem do tej wyprawy dobrze przygotowana. Tak właśnie Cię zapewniałam, gdy wyrażałeś swoje wątpliwości. Lecz oczywiście myliłam się, to Ty, Drogi Wuju, miałeś rację – są takie sprawy, do których nie sposób dobrze się przygotować, i takie rozmowy, których przebiegu nie sposób przewidzieć.

Wyobrażałam sobie różne wersje spotkania z Amelią Gajewską, ale kiedy po raz pierwszy stanęłam z nią twarzą w twarz, gdy zamieniłyśmy ze sobą pierwsze słowa, ogarnęło mnie bardzo niedobre przeczucie. Pomyślałam nawet, że porwałam się na coś, co jednak mnie przerasta. Że być może poruszyłam coś, czego nie powinno się

już dotykać, a na pewno tego rozgrzebywać, zwłaszcza po tylu latach. Lecz potem sprawy przybrały znacznie lepszy obrót. Zaczęłyśmy rozmawiać i to, co od niej usłyszałam, bardzo mnie poruszyło. Nie tylko dlatego, że mówiła o sobie, o swoich uczuciach. Znacznie ważniejsze było to, czego dowiedziałam się o moich rodzicach. Zawsze miałam świadomość, że zbyt mało o nich wiedziałam, ale dopiero tu, w Krakowie w pełni do mnie dotarło, że moja wiedza była po prostu żadna. Na dobrą sprawę nikt do tej pory ze mną o nich nie rozmawiał. Dziadek czasami napomykał to i owo o mamie, pokazywał jej fotografie, ale najczęściej były to wspomnienia dotyczące jej dzieciństwa i wczesnej młodości. Nie zaś okresu, w którym poznała i pokochała mojego ojca, gdy zdecydowała się opuścić rodzinny dom, aby spędzić z nim resztę życia. Ciotka Maria nazywała to ucieczką, wielkim skandalem, który okrył rodzinę wstydem i hańbą.

Dziadek nigdy w ten sposób nie mówił. Raz tylko wspomniał, że faktycznie z początku było sporo gadania i domysłów, ale ludzie, jak to ludzie, w końcu znudzili się tematem i znaleźli inną pożywkę dla plotek. Być może rzeczywiście czekał, aż będę na tyle dorosła, by powiedzieć mi coś więcej o rodzicach, o ciotce Amelii, ale już się tego nie dowiem. Fakt pozostaje jednak faktem – o moim ojcu zaledwie napomknął, już nawet nie pamiętam co dokładnie. Ja zaś bynajmniej nie zarzucałam go pytaniami o ludzi, których nie pamiętałam.

W moim przekonaniu to dziadek stworzył mi prawdziwy dom, a fakt, że nie było w nim ojca i matki, niespecjalnie mi przeszkadzał. Potrafił mi ich zastąpić, otoczył mnie troską i miłością, o których wiele innych dzieci, w tym także wychowanych przez rodziców, mogłoby jedynie pomarzyć. Zawsze mówiłam, i do końca moich dni będę powtarzać, że niczego mi przy nim nie brakowało. I nigdy nie

odżałuję, że ten, jak dotąd najszczęśliwszy, okres w moim życiu trwał tak krótko. Nie czułam zatem potrzeby, by wyciągać od niego więcej informacji niż te, którymi się ze mną dzielił. Dla kilkuletniego dziecka przeszłość nie odgrywa dużej roli, liczy się to, co jest tu i teraz, zwykła codzienność, która daje (lub nie) poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczne, zadbane, a przede wszystkim kochane dzieci nie skarżą się na rutynę, w ich przekonaniu jest ona czymś w rodzaju kotwicy, która nie pozwoli na bezwładne dryfowanie po wzburzonym morzu. Tak przynajmniej było w moim przypadku.

Raz jeden dziadek zabrał mnie do Krakowa, aby odwiedzić grób moich rodziców. Miałam wtedy pięć, może sześć lat i jedyne, co sobie przypominam, to moje zniecierpliwienie. To był pogodny wiosenny dzień – pamiętam bezchmurne niebo, słońce i zielone liście na drzewach, a także wesoły świergot ptaków, dzięki czemu nawet cmentarz nie sprawiał ponurego wrażenia. Niemniej chciałam jak najszybciej opuścić to miejsce, wyjść poza mury, do miasta, do ludzi, na obiecane przez dziadka lody śmietankowe. Przeszłam z nogi na nogę i tak marudziłam, że w końcu mi ustąpił, choć najwyraźniej miał ochotę pobyć dłużej przy grobie córki... i zięcia. Być może z tego właśnie powodu nie zabrał mnie już więcej na krakowski cmentarz. Jeździł sam, zostawiając mnie pod opieką niani. Niewykluczone, że i w tej kwestii postanowił poczekać, aż trochę podrosnę. Nie zdążył. Tak jak nie zdążył niczego więcej mi opowiedzieć. A ciotka Maria, jak wiadomo, także się nie kwapiła, by odwiedzić grób siostry. A ja jej o to nie prosiłam.

I dopiero Amelia mnie tam zaprowadziła. W przeciwieństwie do owego pięknego, wiosennego dnia sprzed lat, gdy odwiedziłam to miejsce w towarzystwie dziadka, tym razem cmentarz był dosłownie

spowity grudniowym szronem i szarugą; panowała na nim taka przejmująca, dostojna cisza... Drzewa wokół były bezlistne, a przez to nagie i smutne. Zamiast wesołego świergotu ptaków tylko gdzieś zaskrzeczała wrona. A jednak – co zdumiewające – bez trudu rozpoznałam to miejsce. Zarazem poczułam się tak, jakbym ostatni raz była tu raptem kilkanaście dni temu, podczas gdy w istocie minęło kilkanaście lat.

Tym, co ostatecznie przekonało mnie do Amelii, była jej otwartość. Mówiła o sprawach, z których czasami niełatwo jest się zwierzać nawet osobom, z którymi jest się zżytym, a co dopiero obcemu, nowo poznanemu człowiekowi – a takim przecież, przynajmniej na początku, dla niej byłam. Nasze pokrewieństwo nie może zaprzeczyć oczywistym faktom. Mogła się ograniczyć do bardzo ogólnikowych komunałów, mogła mnie nawet zbyć – a postąpiła inaczej. Dzięki temu moi rodzice przestali być dla mnie mglistym, niewiele znaczącym pojęciem – bo tak właśnie do tej pory było, i nawet ich fotografie nie były w stanie zmienić tego stanu rzeczy – a stali się jak najbardziej realni, prawdziwi. Przestali być prawie obcymi ludźmi, za którymi się nie tęskni i których braku się nie odczuwa.

Los mógł być dla nich łaskawszy, pomyślałam ze smutkiem. A przynajmniej bardziej konsekwentny. Skoro sprawił, że się poznali i pokochali, to czemu ich szczęście nie mogło trwać trochę dłużej? Oboje zmarli tak młodo, jedno po drugim, w odstępie raptem kilkunastu miesięcy. Kilka miesięcy przed swoją śmiercią dziadek wspomniiał, że po wypadku ojca mama już się nie pozbierała. Ze względu na mnie starała się żyć dalej, ale nie dała rady. Oczywiście nie kierował tych słów do mnie – być może uważał, że byłam zbyt

młoda, aby w pełni zrozumieć i przyjąć do wiadomości ich znaczenie. Po prostu pewnej nocy usłyszałam, że z kimś rozmawiał. Do tej pory nie wiem z kim, wtedy nie dociekałam, zresztą całe zdarzenie dość szybko wyparłam z pamięci. Jak się jednak okazało, nie dość skutecznie, bo tamte podsłuchane słowa w jakiś niepojęty sposób po latach do mnie wróciły. Teraz wreszcie rozumiałam ich znaczenie. Nie zwierzałam się jednak z tego Amelii, bo i w jakim celu? Ona ma swoje wspomnienia, nosi w sercu swój własny ból. Ale gdy po powrocie z cmentarza zaproponowała, abym przeniosła się z pensjonatu do jej domu, natychmiast się zgodziłam. Przynajmniej oszczędzisz na wydatkach, zażartowała, u mnie gościnę masz za darmo. Odgadłam jednak, że nie powodowała nią jedynie troska o moje (czy raczej Twoje, Drogi Wuju) finanse. Oczywiście w duchu żywiłam pewne obawy. Czym innym są przecież kilkugodzinne nawet wizyty i wspólne przechadzki, a czym innym mieszkanie pod jednym dachem. Niemniej chyba całkiem nieźle nam to wychodzi. Wciąż jeszcze się poznajemy, ale coraz lepiej rozumiemy. Nie wchodzimy sobie w drogę. Ciotka od czasu do czasu występuje jeszcze na scenie, ale nie miałam jeszcze okazji zobaczyć jej gry. Twierdzi zresztą, że nosi się z zamiarem definitywnego pożegnania z teatrem. Dla aktorki w jej wieku coraz trudniej o rolę. Problem z tym mają nawet te pierwszoplanowe artystki, a co dopiero mówić o całej rzeszy pozostałych, które uciekają się do najróżniejszych forteli, a nawet poniżają, by zarobić parę koron. Ja przynajmniej nie muszę zabiegać o pieniądze, oznajmiła. Od lat nie mieszka już z mężem, są w separacji, ale Rudolf Zimmer w dalszym ciągu wysyła jej potrzebne sumy na utrzymanie, taką zawarli umowę. Ona zaś, wbrew pozorom, wcale nie szasta pieniędzmi na prawo i lewo, co więcej – potrafi

nawet zaoszczędzić. Ojcowskie, kupieckie geny dały jednak o sobie znać i okazały się bardzo przydatne. Sama zresztą przyznała, że od nikogo nie nauczyła się tyle, co od ojca. On podobno wciąż nie porzucił myśli, że może córka zajmie się kiedyś jego sklepem.

– A może ty byłabyś tym zainteresowana? – spytała mnie wczoraj. – Wzielibyśmy cię do spółki, co ty na to?

Uznałam, że żartowała – takim właśnie tonem mówiła – dlatego równie żartobliwym tonem odparłam, że przy takim wspólniku jak ja zarówno ona, jak i jej ojciec szybko by zbankrutowali. Bowiem na handlu się nie znam, choć miałam w szkole podstawy buchalterii. Mój staruszek uważa, że wszystkiego się można nauczyć – oświadczyła z właściwą sobie dezynwolturą. Jego zdaniem najlepszym nauczycielem jest po prostu samo życie. Praktyka.

Namawia mnie, abyśmy razem złożyły mu wizytę. Jest pewna, że ojciec ucieszy się na mój widok. Pomimo zaawansowanego wieku Gajewski w dalszym ciągu prowadzi interesy i choć kilka lat temu owdowiał, nadal jest krzepki i pełen energii. I nadal ciekawy świata i ludzi. Czy to jednak oznacza, że mój widok sprawi mu radość? Miał przecież – oględnie rzecz ujmując – dość ambiwalentny stosunek do mojego ojca, który przed laty narobił bałaganu w głowie jego córki, a tym samym w całej rodzinie. Amelia upiera się jednak przy swoim. Ojcu wystarczy, że jesteś członkiem tej rodziny – rzekła. – Tak mało już z niej zostało.

Zatem, Drogi Wuju, tak się mają moje tutejsze sprawy. Jak już zaznaczyłam na początku, nie wiem, co będzie dalej. Czasem jestem pewna, że przyszłość rysuje się przede mną w jasnych barwach, przepęlnia mnie nadzieja, że wszystko w moim życiu wreszcie się ułoży i przestanę się miotać. Ale też przychodzą takie dni, podczas

których widzę wokół siebie tylko mgłę i wtedy ogarnia mnie zwątpienie, czy dobrze pokieruję moimi sprawami. Czy mi się powiedzie. Mimo to wciąż szukam swojej drogi, bo w przeciwnym wypadku być może przez resztę życia bym żałowała, że tego nie zrobiłam. I pewnie stale zadawałabym sobie pytanie, jak mogłoby to życie wyglądać, gdybym już na wstępie się poddała i pokornie do Was wróciła.

Myślę, Wuju, że mnie zrozumiesz. Zawsze, od pierwszego dnia, gdy pojawiłam się w Waszym domu, czułam, że jesteś mi życzliwy. Dlatego też odważyłam się w końcu przyjść do Ciebie i zwierzyć się z moich trosk. A rozmowa z Tobą podniosła mnie na duchu i dodała energii, tak potrzebnej do działania, nawet jeśli nie pozbyliśmy się resztek wątpliwości.

Możesz przekazać cioci wieści ode mnie. Nie piszę do niej, bo wiem, że sobie tego nie życzy i wciąż jest na mnie zagniewana. Przekaż jej pozdrowienia ode mnie, choć wiem, że o to także nie dba. Pozdrawiam również moich kuzynów; mam nadzieję, że wszystko u nich dobrze.

Tobie po stokroć za wszystko dziękuję i serdecznie – na odległość, w myślach – ściskam Twoje dłonie.

Kinga

Doktor zacisnął dłonie, przezornie odłożywszy najpierw na bok przeczytany przed chwilą list. Podniósł się od biurka, przeszedł w tę i z powrotem po pokoju, a potem zatrzymał się przy oknie. Zastygła w szarym, grudniowym mroku ulica jawiła mu się w tej chwili dokładnie tak, jak opisany przez

Kingę krakowski cmentarz. Te same nagie bezlistne drzewa i szron. Ta sama smutna szaruga. Tyle że tu, na Kruczej, wciąż tętniło życie. Przemykali zasłaniający się przed zimnem i wiatrem przechodnie, przejeżdżały powozy, czasem jakieś furgony. Na podwórzu bawiły się dzieci, stróż wygrażał im miotłą.

Tam, na krakowskim cmentarzu, panowała – wedle relacji Kingi – niczym niezmacona cisza. Kiedy po raz ostatni go odwiedził? Wolał nie liczyć. Choć i bez tego przypominały o sobie dawne, wydawałoby się, skutecznie zakopane na dnie świadomości wyrzuty sumienia. Przez tyle lat nie zabrał tam osieroconej, dostatecznie pokrzywdzonej przez los dziewczynki, choć już dawno powinien był to uczynić. Nie zrobił tego dla świętego spokoju, bo choć nie była to przyczyna jedyna, to jednak – sam siebie nie musiał przecież okłamywać – najważniejsza.

Zamiast niego zrobiła to Amelia Gajewska. Kinga wyrażała się o niej z uznaniem. Wspomniała o jej otwartości. Tamta kobieta zdecydowała się opowiedzieć jej o sprawach trudnych. O swoich uczuciach.

Burgiewicz skrzywił się, stwierdziwszy, że od okna ciągnie nieprzyjemny chłód. Jakby i bez tego nie doskwierało mu w tym domu dotkliwie zimno. Żaden z pieców nie mógł dostatecznie ogrzać pokojów. A już tym bardziej skutego lodem serca.

Mam nadzieję, że cokolwiek postanowisz, powiesz Ci się – napisal, gdy ponownie zasiadł przy biurku. – Masz rację, nie warto już na wstępie rezygnować, trzeba dać sobie szansę. Spróbować, by potem nie żałować. Nawet jeśli zamierzenia nasze się nie ziszczają, nawet jeśli przegrywają z realiami życia – z czym przecież każdy rozsądny człowiek powinien się liczyć – to i tak żal jest mniejszy niż wtedy, gdy się nawet nie spróbowało. A przy tej okazji po raz kolejny już powtórzę – zawsze masz dokąd wracać. Mój dom pozostanie także Twoim i nie ma mowy, aby cokolwiek w tej kwestii

się zmieniło.

Cieszę się, że polubiłaś swoją krewną. Że się rozumiecie, że jej ufasz, że doceniasz jej szczerość. Zarazem jednak pamiętaj, że nikt nie mówi o sobie wszystkiego; w naszych sercach ukryte są też takie miejsca, które trudno przed kimkolwiek otworzyć. A przynajmniej nie dla każdego i nie od razu. Trzeba czasu, by dobrze poznać drugiego człowieka, a tym bardziej w pełni i bezwarunkowo mu zaufać.

Zamyślił się i po chwili zgniótł zapisaną kartkę. Sięgnąwszy po następną, przepisał słowo w słowo to samo... pomijając ostatni akapit, ten dotyczący Amelii Gajewskiej. A potem, by już po raz kolejny nie zmienić zdania, zakleił szybko kopertę i polecił Zosi, by natychmiast wysłała list.

Nie znaczyło to, że pozbył się wątpliwości i rozterek ani że przestał się niepokoić, wręcz przeciwnie. Jednak nie chciał, aby jego niepokój udzielił się Kindze. Wystarczą jej te mgły, o których wspomniała. Wystarczą za wszystkie inne przestrogi.

ROZDZIAŁ 15

– A to właśnie córka Leona, ojciec – oznajmiła Amelia, wskazując na towarzyszącą jej dziewczynę. – Mówiłam ci o niej kilka dni temu.

Wincenty Gajewski skinął głową i poprawił binokle na nosie. Przyjrzał się bacznie Kindze. Przekroczył już siedemdziesiątkę i bez wątpienia wyglądał na swoje lata, ale pomimo zupełnie posiwiałych włosów i wąsów, a także pomarszczonej twarzy zachował bystre spojrzenie, jakie zwykle cechuje pełnych życia i energii ludzi. Takich, dla których ciężka praca nie jest przekleństwem, ale wyzwaniem. Ciekawym zajęciem, w którym się z przyjemnością realizują. Wysoki, bardzo szczupły, wręcz chudy, trzymał się jednak prosto niczym żołnierz przed swym dowódcą.

– Córka Leona... – powtórzył. Uśmiechnął się lekko, może nawet z obowiązku, który niezależnie od różnych okoliczności nakazuje być uprzejmym wobec gościa. Jego spojrzenie pozostało bowiem poważne.

– Dzień dobry, cieszę się, że pana poznałam – odpowiedziała nieśmiało Kinga.

– Nie jest panienka podobna do ojca – zauważył zdawkowo. – No, może trochę... – I zanim zmieszana Kinga zdołała jakoś odnieść się do tej uwagi, wskazał gestem na bawialnię i widoczną tam udekorowaną choinkę. – Życzę wam obu, moje panie, radosnych i błogosławionych świąt Bożego Narodzenia. Zapraszam do stołu.

Jadalnia zrobiła na Kindze miłe wrażenie. Na jej umeblowanie składały się przepastny, drewniany, pokryty politurą kredens, stojący na środku okrągły stół i komoda. Ów nieduży pokój z pewnością nie mógł konkurować z okazałą jadalnią w mieszkaniu Burgiewiczów. Niemniej miał w sobie coś przytulnego, swojskiego, co z miejsca ją ujęło. Przypomniała sobie, że mieszkanie dziadka Hipolita było urządzone podobnie, i uczyniła nawet małą uwagę na ten temat – wypadało się odezwać, a nic innego na razie nie przychodziło jej do głowy; wciąż czuła się niepewnie.

Gajewski skwitował jej komplement nieznacznym machnięciem dłoni, choć widać było, że słowa dziewczyny sprawiły mu przyjemność.

– Ot, nic niezwykłego. Stare to wszystko i niemodne. Nieboszczka, moja małżonka, nieraz narzekała, że czas sprowadzić mahonie i dywany, ale jakoś nie chciałem... Te meble podarowali nam w prezencie ślubnym moi rodzice, przez co ten pokój zawsze przypominał mi mój dom rodzinny.

– Bardzo mi się tu podoba – powtórzyła z przekonaniem Kinga.

– No cóż, to bardzo uprzejme z panienki strony. Młodzi teraz wolą inny wystrój, inne wnętrza. Nawet moja świętej pamięci małżonka przynajmniej pod tym jednym względem łatwiej ode mnie nadążała za duchem czasu. – Lekko się skrzywił. – Mnie moda nigdy nie interesowała. Zupełnie inaczej niż tę... tam – wskazał żartobliwie na córkę. – Wdała się w matkę.

– A to coś nowego – roześmiała się Amelia. – Nigdy nikt mi nie powiedział, że jestem do niej podobna. Ty także do tej pory tak nie twierdziłeś. Ani tym bardziej mama.

– Gust masz taki jak twoja świętej pamięci matka – zawyrokował Gajewski, ale choć oznajmił to surowym tonem, jego oczy rzucały wesołe błyski. – Umeblowałeś swoje mieszkanie dokładnie tak, jak ona marzyła.

– Marzyła o tym, by jej dom przypominał lokum ostatniej aktorki? – droczyła się Amelia.

Kinga obserwowała ich z zazdrością graniczącą z zachwytem. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej była świadkiem podobnej żartobliwej wymiany zdań między rodzicem a dzieckiem. W domu Burgiewiczów nigdy tak nie rozmawiano, nigdy nie żartowano. Czasami Zbyszek wtrącał jakąś prowokacyjną uwagę, która mogła uchodzić za zabawną i zapewne w zamierzeniu taką była, jednak nikt oprócz Kingi tak tego nie postrzegał, a w rezultacie atmosfera jedynie dodatkowo gęstniała. Równocześnie ponownie wróciła myślami do dziadka Hipolita. Do ich wspólnych posiłków i spacerów, podczas których przekomarzali się i żartowali – były to jedynie skrawki wspomnień, ale nawet to wystarczyło, by Kinga poczuła wzruszenie. A jednocześnie stopniowo opadało z niej nieznośne onieśmienie, które towarzyszyło jej od chwili, gdy przekroczyła progi mieszkania Gajewskiego.

– Nie lubię, gdy tak o sobie mówisz – mruknął starszy pan. Wyglądało na to, że tym razem jednak nie żartował. Uwaga córki najwyraźniej mu się nie spodobała.

– Przecież to prawda. – Amelia wzruszyła ramionami. – Potrafię jej spojrzeć w oczy. Niczego nie osiągnęłam, ale to już nie ma dla mnie znaczenia. To już przestało mnie obchodzić.

– W takim razie zapraszam do pomocy w moim sklepie – odparł nieco zgryźliwie. – Bo z moimi subiektami bywa różnie. Ze starej gwardii został jedynie Antoni i tylko dzięki niemu jako tako wychodzę na swoje. Bo ci wszyscy młodzi... Szkoda strzepić języka. Tylko patrz, jak by się przed robotą obronić. Coraz trudniej o dobrego pracownika, nie ci ludzie, co dawniej, nie te wartości...

– Ze mnie także nie miałeś wielkiego pożytku – przypomniała Amelia, która, jak domyślała się Kinga, prawdopodobnie nie raz już wysłuchiwała podobnych utyskiwań. – Nigdy nie miałam serca do tej roboty i nigdy nie

chciałam się jej nauczyć. Jaką masz pewność, że teraz miałbyś ze mnie wyrękę?

– Wszystkiego można się nauczyć. Jeśli trzeba, człowiek potrafi sprostać takim zadaniom, o których wcześniej nawet by nie pomyślał.

– To może w takim razie zatrudniłbyś ją? – Amelia wskazała na Kingę, która w tym samym momencie zmieszała się tak bardzo, że wypuściła widelec z dłoni. I niczego sobie w danej chwili nie życzyła bardziej, jak zapaść się pod ziemię. – Może panna sklepowa okazałaby się lepszym pracownikiem niż ci młokosi, których zatrudniasz? Przecież nie przeszkadza ci obecność kobiet w tej pracy, skoro kiedyś gnałeś mnie do pomocy, a i teraz chętnie byś mnie zobaczył za ladą. Już nie mówiąc o mamie, która godzinami przyjmowała pieniądze w kasie.

Trudno było jednoznacznie określić, czy w spojrzeniu Gajewskiego było więcej zdumienia czy niedowierzania. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w córkę kompletnie zaskoczony, po czym przeniósł wzrok na nie mniej oszołomioną dziewczynę.

– Proszę się nie przejmować – wykrztusiła czerwona jak piwonia Kinga. – Ciocia Amelia żartowała...

– Wcale nie – odparła bezpardonowo Gajewska. – Przecież już o tym wcześniej rozmawialiśmy.

– Rozmawialiście? – powtórzył bezwiednie. Stopniowo jednak odzyskiwał nad sobą panowanie.

– To była niezobowiązująca rozmowa – wyjąkała Kinga. I pomyśleć, że jeszcze kilka minut temu doświadczała błęgiego spokoju! Teraz nic już z niego nie zostało. – To nie był mój pomysł, naprawdę... – dorzuciła.

– W taki sposób z pewnością nie znajdziesz żadnego zatrudnienia – zawyrokowała Amelia. – Ani nawet swojego miejsca w życiu. Zatem może lepiej dla ciebie było zgodzić się na małżeństwo z tym... Zapomniałam jego

nazwisko.

– Zaraz, zaraz... O co tu chodzi? – odezwał się Gajewski. Oszołomienie ustąpiło miejsca podejrzliwości. – Ty mówisz poważnie?

– Jak najbardziej, tatusiu. Ta dziewczyna potrzebuje zajęcia, a ty oddanego pracownika. Przecież zawsze wolałaś polegać na rodzinie niż na obcych, oczywiście z wyjątkiem Antoniego, ale on rzecz jasna jest poza wszelką konkurencją. Z całej zaś rodziny pozostałam ci już tylko ja... i ona. Nie jest to może najbliższa krewna czy powinowata, ale...

– Ale to córka Leona – podchwycił Gajewski, a w jego oczach ponownie zapaliło się osobliwe światełko. – To zapewne chciałaś powiedzieć.

– Tak.

Rozmawiają o mnie w taki sposób, jakby mnie tu nie było, pomyślała z nagłą irytacją Kinga. Jakbym nie miała własnego zdania.

Choć z drugiej strony musiała przyznać, że jak dotąd faktycznie nie błysnęła intelektem. Ba, nie wyartykułowała nawet jednego sensownego zdania, przynajmniej w tej sprawie. Zapewne Gajewski nie nabrał o niej zbyt wysokiego mniemania, i trudno było mu się dziwić. Zbierała się właśnie, by coś powiedzieć, ale pan Wincenty ją uprzedził, zwracając się tym razem bezpośrednio do niej.

– A zatem nie przyjechała tu panienska ze zwykłą wizytą?

– Zapraǳnęłam poznać rodzinę mojego ojca – odparła cicho Kinga. Wciąż czuła płomień na twarzy, musiała zacisnąć dłonie, by powstrzymać ich drżenie. – Żałuję, że wcześniej nie było to możliwe.

Poruszył brwiami, jednocześnie prawie niedostrzegalnie skinął głową.

– Wierzę, że nie było to możliwe – odparł. Zabrzmiało to niemal dobrotliwie. – Jednak, o ile dobrze zrozumiałem, zamierza panienska spędzić tu więcej czasu, niż trwałaby zwykła wizyta.

– Mam taki zamiar – przyznała otwarcie. Nie było sensu udawać, że jest

inaczej.

Czuła się tak, jakby jego wzrok prześwietlał ją na wylot. Było to jednak spojrzenie, w którym surowa powaga najwyraźniej walczyła o lepsze z lekkim rozbawieniem – i to dodało jej odwagi.

– Czy mam rozumieć, że definitywnie opuściła panienka dom swoich dotychczasowych opiekunów? – podjął. – A może doszło do jakiegoś nieporozumienia, które skończyło się panienki ucieczką?

– Nie uciekłam – zaprotestowała Kinga. – Wuj i ciotka wiedzą, dokąd się udałam.

– Dobrze, już dobrze. – Pan Wincenty uniósł obie dłonie. – Musiałem zapytać. Bo widzisz, drogie dziecko, nie jesteś pierwszą panną w tej rodzinie, która postanowiła opuścić dom i rzucić wyzwanie losowi, a przy okazji wszystkim wokół. Ona zrobiła to samo. – Wskazał na córkę. – A także twoja matka – dodał ciszej, jakby z wahaniem.

– Dajesz do zrozumienia, że żadnej z nas nie przyniosło to niczego dobrego? – spytała Amelia i zabrzmiało to co najmniej prowokacyjnie.

– Och! – Machnął dłonią z pozorną niedbałością. – Niczego podobnego nie powiedziałem.

– Ale tak uważasz.

– Moja matka nie była szczęśliwa? – podchwyciła Kinga. – Moi rodzice nie byli ze sobą szczęśliwi? – Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że nie powinna zadawać takich pytań człowiekowi, którego dopiero poznała. I który – wszystko na to wskazywało – miał dość ambiwalentny stosunek do jej ojca. A niewykluczone, że także do matki.

Wincenty Gajewski, który najwyraźniej zamierzał pozostawić bez komentarza ostatnią uwagę córki, na pytania Kingi postanowił jednak odpowiedzieć. Choć nie ulegało wątpliwości, że starannie ważył słowa.

– Tego nie twierdzę. Problem w tym, że ich wspólne życie trwało bardzo

krótko.

– Czasami warto choć przez krótki czas być naprawdę szczęśliwym niż latami nudzić się, a może męczyć się z drugą osobą – wtrąciła dość ostro Amelia. Jakby ten twardy, kategoriyczny ton miał ukryć gorycz w jej głosie. Do takiego przynajmniej wniosku doszła Kinga. I pomyślała, że Gajewski także – na to w każdym razie wskazywało spojrzenie, którym obrzucił córkę.

– To tylko takie teatralne farmazony. – Wzruszył ramionami. – Słowa wzięte ze współczesnych dramatów i powieści. Zdaje się, że teraz w sztuce zapanowała taka moda.

– Chcesz powiedzieć, że ty, dla odmiany, byłeś zawsze taki szczęśliwy w małżeństwie? Nigdy się nie nudziłeś, nigdy nie marzyłeś o innym życiu? – Słowa „z kim innym” zawisły w powietrzu, jednak nie zostały wypowiedziane na głos. I bez nich zresztą Gajewski się obruszył.

– Posuwasz się trochę za daleko – oświadczył takim tonem, że Amelia natychmiast skruszała. Być może, jak przypuszczała Kinga, także uznała, że nieco się zagalopowała. W każdym razie przeprosiła.

Mimo to Gajewski nie uważał sprawy za skończoną.

– Ale jeśli tak koniecznie chcesz wiedzieć, to ci odpowiem. Skoro podjąłem pewne decyzje i zobowiązania, nie snułem potem bezsensownych rozważań. Zawsze ciężko pracowałem, aby zapewnić byt rodzinie, czułem się też odpowiedzialny za moich pracowników. A niekiedy bywało z tym ciężko, chyba nawet ty to pamiętasz, czasem przecież schodziłaś z gwiazd na ziemię. Tak więc nie nudziłem się, nie miałem na to czasu. Podobnie jak twoja świętej pamięci matka.

– Wiem, ojcze. I jeszcze raz przepraszam. – Amelia zacisnęła usta, po chwili jednak rozciągnęła je w nieco wymuszonym uśmiechu. – Zresztą nie kłóćmy się. Nie rozmawiajmy o smutnych sprawach. Nie w taki wieczór jak dziś.

– Masz słuszość – odparł z udaną surowością. – Dlatego zrób nam teraz tę przyjemność i zaparz kawę.

– Ja?

– Tak, ty. Poczciwa Matylda przygotowała kolację i upiekła pierniki. Nie miałem jednak sumienia zatrzymać jej tu na cały wieczór, ma przecież własną rodzinę. Nie zaszkodzi, jeśli tym razem przywdziejesz fartuch gospodyni i przynajmniej zaparzysz kawę. Twoja matka zwykle to robiła, zawsze zresztą znajdowała czas, by przypilnować kuchni. Pewnie między innymi dlatego nie miała go na nudę.

– Chętnie cioci pomogę. – Kinga poderwała się z miejsca. Na samą myśl, że miałyby zostać przy stole tylko z Gajewskim, poczuła się niezręcznie.

On jednak nakazał gestem, by ponownie usiadła.

– Nie, panienko. My tu sobie w międzyczasie pogawędzimy. Opowiesz mi to i owo o sobie. Bez obawy, nie musisz mi się zwierzać z rozterek i uczuć, jakie kłębią się na dnie twojej duszy. Takie wynurzenia podobno ostatnio stały się modne, przynajmniej w sztuce. – Ponownie rzucił krótkie spojrzenie na wycofującą się posłusznie córkę. – Ale podobne bajdurzenia na mnie nie działają. Powiedz, co potrafisz robić, czego nauczyli cię w domu i w szkole. I czy naprawdę chcesz się zabrać do handlu. Chyba się ze mną zgodzisz, że muszę się czegoś o tobie dowiedzieć, zanim podejmę decyzję o zatrudnieniu cię w moim sklepie.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Karta redakcyjna

Owoce zatrutego drzewa. Tom I

ISBN: 978-83-8219-864-5

© Agnieszka Janiszewska i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Cyrulik Wioletta

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Agata Wawryniuk



Wydawnictwo Zaczytani należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek